

KAZIMIERZ KALINOWSKI

W WALCE O CZŁOWIEKA

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

dbl. 1342785 - brzo opiszane

KAZIMIERZ KALINOWSKI

W WALCE O CZŁOWIEKA

WARSZAWA
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ



CM 313725

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13
pod zarządem J. Dziubanowskiego.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 132 /2011/ CM

W walce o człowieka.

Pozwolę sobie na wstępie przed okiem Waszej myśli przesunąć kilka obrazków, które wydają mi się wymowniejsze niżli moje słowo, ponieważ nie sięgnąłem po ich treść do źródła fantazji literackiej, lecz czerpię je z kart książki życia; ono zaś umie lepiej od nas, literatów, pisywać przedziwne sceny dramatyczne, które — wzięte na użytek publicystyki — mają urok poczytnej powieści, ale jednocześnie bije z nich moc prawdy.

Otóż zaprowadzę w środek wielkiego miasta, gdzie w starym układzie murów tętni ruch nowoczesny. Przez szary wąwóz kamienic przewalają się tam i spowrotem mętne fale ludzkie, a zgiełk ich tłumią porykiwania aut i uporczywe dzwonienie tramwajów.

U zbiegu ulic rzucają się w oczy dwa narożniki: na jednym, oblepiony biało-czarnymi klepsydrami pogrzebowemi, kościół, a naprzeciw niego szynk, bajecznie kolorowy od reklam fabrycznych krajowego wyrobu piw i wszelakiego rodzaju wódek.

Jest przedpołudnie niedzielne. Drzwi i okna w żaluzjach i kratkach świątecznego spoczynku. Sklepy wszystkie zamknięte. Otworem stoją jeno owe dwa narożniki: kościół i szynk.

Na jednym rogu huczą organy, a gdy milkną, wypada przez otwarte wrota w tumult ulicy echo śpiewu kapłań-

skiego od ołtarza. Z przeciwka bucha nad bruk uliczny wrzask trąby gramofonu, by przekrzyć wrzawę pijacką. Właśnie czyjaś kłótnia wzmagą się, aż przechodniów zatrzymuje na chodniku przed szynkiem. Ten i ów zagląda już ciekawie do wnętrza poprzez mgławicę dymów tytoniowych, gdy wtem na progu zakłębiło się od szamotania dwóch mężczyzn. Wreszcie jeden drugiego w kark grzmotnął i wypchnął gwałtem na ulicę.

To swego gościa, o typowym wyglądzie zmarnowanego nałogiem inteligenta, wyrzucił gospodarz za drzwi. Już je zatrzasnął za nim, lecz zaraz jeszcze otworzył, by wyrzeć, czy pijak nie wpadł przypadkiem pod tramwaje, właśnie z alarmem mijające ciasną ulicę starego śródmieścia. Ale ten mocno przezeń wypchnięty zatoczył się aż na drugi chodnik i tam pod murem w żałobnych obwódkach skręca się w tej chwili w strasznych torsjach — mimowolnie bezczeszcząc progi kościelne.

— Bydlę — splunął szynkarz przez zęby z pogardą.

— A z pana też człowiek — mruknęła jakaś elegancka pani — żeby takiemu pijanemu nalewać jeszcze nowe kieliszki.

— Widziała pani? — ryknął urażony gospodarz.

— Ano, nie zaglądałam czy to było w filiżankach — odezwała się dama do znajomego przechodnia, wybitnego malarza.

Zaśmiano się w tłumie. Zrobiło się zbiegowisko gapiów, a z rozmów okazało się, że nieszczęsny alkoholik jest bardzo zdolnym profesorem gimnazjalnym, którego świeżo władze przełożone musiały w następstwie tego rodzaju zajęć skandalicznych usunąć ze szkoły, mimo że na resztkę z trudem ocalałej od przepicia pensji czekała co miesiąc w domu żona chorowita z kilkorgiem dzieci.

Tej samej niedzieli wieczorem w salonie owej damy,

która gorszyła się szynkarzem rozpijającym swych gości, bawiło się do późnej nocy kilkanaście osób spowodu imienin jej męża, popularnego w mieście mecenasa. Kieliszki krążyły w wesołym towarzystwie bez końca, a pani domu, używająca wszelkich sposobów namowy do wypróżniania dalszych butelek, nie uznawała przy naleganiu niczych wymówek.

Aż się zdarzyło, że ktoś z gości, do masowego picia przez nią przymuszany — zachował się mimowoli w salonie tak nieprzyzwoicie, jak ów nieszczęsny profesor wijący się w torsjach pod murem kościelnym. Na ten widok wyrwało się z ust eleganckiej gospodyni jedno słówko rzucone szeptem przez ramię najbliższego sąsiada — malarza :

— Bydlę.

Artysta głowę musiał mieć mocną, skoro po libacjach tak był jeszcze przytomny, iż przypomniał jej z pod kościoła zajście, którego oboje byli przypadkiem świadkami.

— A widzi pani mecenasowa. Oburzaliśmy się jednak dziś rano na gbura-szynkarza.

Nie wiem już co mu na to odparła gościnna dama. Ale kiedy historję owej niedzieli pod kościołem i na imieninach, które pono skończyły się jeszcze fatalniej, opowiedział mi ze szczegółami ten właśnie malarz, dobry mój znajomy — wówczas rozegrały mi się w uszach przerażliwą kakofonją dwa wyrazy i zamęczały mnie długo: bydlę i człowiek — człowiek i bydlę.

Kto był bydlęciem tam pod kościołem — pytałem. Gdzie się podział człowiek na imieninach w gościnnym domu mecenasostwa — zastanawiałem się przygnębiony refleksjami na ten temat.

Kiedy uprzytomniłem sobie rolę w społeczeństwie

owego właściciela knajpy naprzeciw kościoła — to mi w myśli ta straszna pijawka, w wygodnem rozleniwieniu pasorzyta wisząca u ciała narodu, urastała do rozmiarów jakiegoś potwora legendowego, który ze swych ofiar legjona wysawszy wszelkie soki pierwiastków człowieczeństwa, doprowadza je do zbydlęcenia, a skoro już w tym stanie tracą dlań dawną wartość, wtrąca je w ściek ulicy kopnięciem pogardliwym.

I ta oburzająca się głośno na metody szynkarza dama, której snobizm każe w domu rozpijać gości aż do stanu bydlęcego, jedynie dla dogodzenia swej ambicji, by wychwalano gościnność jej salonu bardziej niżli przyjaciółek... Ale dla pijaka ma wstręt.

Tragiczne nieporozumienie.

Myślami swemi nad tem wszystkiem podzieliłem się zaraz z owym malarzem. Artysta słuchał mnie z ironicznym uśmieszkiem. Wreszcie zawołał:

— Więc pan by chciał pozbawić nas tej jedynej przyjemności, jaką świat znajduje w alkoholu. To ja pierwszy protestuję — dodał całkiem serjo.

— Jakto — pytam go — więc pan, człowiek wysokiej kultury artystycznej, znajduje przyjemność w czemś, co człowieka upadla, zamienia w bydlę. Jak to pogodzić?

— Ha, trudno — powiada mi malarz — jabym jednego obrazu nie namalował bez tej podniety. I wogóle świat na dzisiejszym szczeblu cywilizacji już się bez narkotyku silnego obejść nie może. A powiadasz pan, że to szkodzi... Ha, co mi po zdrowiu, jeżeli najdorodniejsze jabłko czerw toczy. Otóż czy mógłbym chcieć na trzeźwo czuć, jak mnie mój robak zagryza? Ani myślę. Wolę go wódką zalać, zatruć się jak u dentysty dla znieczulenia operacji. I nic sobie nie robię, że z tego powodu naprzód powie mi jakaś pani mecenasowa, że »bydlę«, a potem

gospodarz jakiej nocnej spelunki zepchnie mnie w rów. To nas wszystkich czeka. Świat dzisiejszy nie wart lepszego losu. Więc niech nam pan nie odbiera tej jedynej satysfakcji, jaką daje picie.

Tak do mnie mówił z całą szczerością, wcale za pijaka notorycznego nie uchodzący, malarz szeroko uznany, którego obrazy znajdują stale chętnych nabywców.

A wywodów jego słuchał w tępej apatii — zmarnowanego talentu poeta, który całe życie topi w kieliszku z rozpacz, że go nikt nie słuchał, gdy chciał śpiewać, a dziś ma zawsze dobrane grono przyjaciół, z upodobaniem zasłuchanych w jego bełkot pijacki, skoro się już na śpiew zdobyć nie może. Ten przyznając artyście rację, mruknął na koniec:

— A cóż byłaby warta nasza poezja pisana na trzeźwo? To tak jak na wojnie w okopach, pamiętam, nie byłby człowiek zabił człowieka, gdyby nie był spity jak bydlę.

— Tak jest istotnie — krzyknąłem, zamykając dysputę — dopóki wódka nie zamieni człowieka w bydlę, dopóty objawia on jeszcze swoje człowieczeństwo. Ale z chwilą gdy raz demon alkoholu wyzwoli z niego zwierzę ukryte w ludzkiej naturze, przestaje on być odpowiedzialnym za swoje czyny, bo wszelkie cechy, odróżniające go od zwierzęcia, ustąpiły w nim już miejsca bydlęciu w tem najgorszem słowa znaczeniu.

Jakże niestety charakterystycznym dla mnie było takie wypowiedzenie się tych ludzi świata dzisiejszego powojennego.

Nie dwudziesty wiek wymyślił pijaństwo. Od początku istnienia rasy ludzkiej prawdopodobnie było ono już w rodzie naszym w rozmaitych postaciach i odmianach i różne fazy przechodziło w dziejach ludzkości —

pospołu z innemi objawami triumfu zwierzęcości nad człowieczeństwem. Ale dopiero ta, nigdy w tak gigantycznych rozmiarach niebywała, potworna rzeź wzajemna narodów całych, jaką my przeżyliśmy pod nazwą wielkiej wojny światowej, rozpętała w człowieku zbiorowym bestję, która przedtem w wyjątkowych razach opanowywała gdzieniegdzie chwilowo gromadę ludzką, ale zazwyczaj pętała tylko jednostki.

Może ten masowy pomór, to istne morze krwi naraz wytoczone z żył milionów ciał, wywołało wszelkie sępy i hjeny ukryte w najniższych pokładach natury ucywilizowanej ludzkości. Dość, że w momencie, gdy kultura dosięgać zaczynała wyżyn podniebnych, czego niemal symbolem stało się jednoczesne uskrzydlenie człowieka przez zawrotne postępy techniki — naraz pod wpływem kataklizmowego wstrząsu dziejowego odpadła z ludzkości maska uduchowienia — odsłaniając dzikie oblicze człekozwierza, gorszego od szakala, bo w bestjalstwie swoim po ludzku wyrafinowanego.

I doprawdy krzywdzi się bydlę najpodlejsze, jeżeli się stawia jego życiowe postęпки niżej np. od bolszewizmu, będącego wszak tylko upiorem rzezi kaźni wielkiej wojny. Bolszewizm zaś wylął się wprawdzie w granicach imperjum rosyjskiego, jego tchnienie jednak poszło z wiatrem od Wschodu po wszystkich ziemiach świata i duch jego przenika dziś — niby dym po pożodze wojennej — każde społeczeństwo.

A jak wojna waliła wszystko w gruzy, nie odwracając swych dział nawet wtedy, gdy na ich drodze stawał boski znak krzyża, tak i ten podły produkt jej, co ze zgłiszcz wojny-rewolucji wieje w postaci żrącego gazu nihilizmu — niszczy na swym szlaku wszelką tradycję

boskiego pierwiastka człowieczeństwa w ludzkości, byle pozostała w niej prostacka pierwotność zwierzęca.

W błoto zapadają się tedy najgórniesze na świat poglądy dnia wczorajszego, co jakby cudownie strzeliste wieżyce świątyń Piękna i Dobra podrywały człowieka z pyłu dróg ziemskich wzwyż i unosiły mu duszę w błękity słoneczne. A z gruzów tych zwalisk ciosa się natomiast kubiki wielkich obór ludzkich, których wnętrza bezduszne wypełnia jeno żłób stajenny. Z chwilą zaś gdy ten pełny żłób stanie się ołtarzem domu życia, kogóż będzie raziło słowo »bydlę« w twarz mu ciśnięte w godzinie upadku?

Jakże naturalnie przy takim obrocie rzeczy dochodzimy do stanu psychicznego, w którym picie na zabój, prędzej czy później, bądź co bądź doprowadzające do zbydlęcenia, staje się »jedyną przyjemnością życiową«, »jedyną satysfakcją« sfer z wyżyny kulturalnej, a dla tłumu chlebem codziennym.

Jakże naturalnie brzmi w ustach poety i artysty szczere westchnienie do wódki, bez której już nie widzą możliwości tworzenia.

Jakże naturalnem staje się w tych warunkach upodobanie publiczności w literaturze i sztuce tworzonej jedynie w oparach szynkowni i przez to roznoszącej oczywiście zarazę życia karczemnego.

Więc nie dziw, że przestaje nas razić ten wszelkiemu prawu urągający szynk, co naprzeciw kościoła jedynie na ścieżaj otwiera swe wrota wtedy, gdy się zamykają drzwi nawet najpilniejszych potrzeb życia codziennego. Aż się wreszcie stępi nasza wrażliwość na widok pijaka plugawiącego swemi wymiocinami progi świątyń. Albowiem bydlę nie rozróżnia muru kościelnego od chlewa.

Rozpowszechniając zaś bez ograniczenia środki,

które wyzwalają z istoty ludzkiej zwierzę, pomagamy właśnie rozwijać się bolszewizmowi, którego celem ostatecznym zagłada w rodzie ludzkim człowieczeństwa.

Tak beznadziejnie chmurami zasnuty byłby widnokrąg naszej przyszłości — gdyby nie zostawała nam dla ocalenia się możliwość walki, gdyby nie wiara nasza w jasne jutro i nadzieja zwycięstwa, pod warunkiem umiłowania życia nie dla nikczemnego użycia, lecz dla celów nieprzemijających, trwałych, wyższych i wielkich.

Jeżeli z jednej strony widzimy, że wojna rozwalając wszystko i doprowadzając do anarchji rewolucji, strąciła z piedestału wszelki autorytet, w następstwie czego umożliwiła masową, ogromne spustoszenie w duszach sprawiającą propagandę bezbożnictwa, to z drugiej strony nie możemy przeoczyć faktu doniosłego, który zresztą w oczy rzuca się na każdym kroku, że coraz szersze zatacza kręgi właśnie wzrost religijności i to przez wojnę wywołany, w czasie kiedy prostaczek i inteligent, drżący na widok potwornej bezwzględności demona zniszczenia, widział i znajdował jedyną ucieczkę w Bogu.

Otóż takie dwa bieguny jednoczesności krańcowo przeciwnych objawów powszechnych obserwujemy po wojnie i w innych dziedzinach.

Naprzykład sprowadzone przez następstwa wojny okropne warunki życiowe każą dziś brutalnie deptać wszelkie wymogi higieny. A tymczasem statystyka wykazuje podniesienie się normy długości życia skutkiem właśnie postępów w zdrowotności publicznej. Gangrena zepsucia toczy coraz groźniej całe społeczeństwo. A jednak nigdy nie było przedtem takich jak dziś postępów w ocalaniu człowieka od degeneracji na skutek zużytkowywania nowych wyników nauki dla celów praktycznych.

Podobnie z gruźlicą, z wenerją, z rakiem, z reumatyzmem, z mnóstwem chorób trapiących ród ludzki.

Tak samo ma się rzecz i z pijaństwem, które po wojnie przybrało rozmiary zastraszające, i tego bynajmniej chwilowy kryzys nie osłabi. A tymczasem nigdy przedtem widoki zwycięskiego zwalczania tej plagi nie były tak pomyślne jak dzisiaj, gdy zrozumiano, że chcąc ją z życia naprawdę wyplenić, czego daremnie próbowano od lat tysięcy, trzeba zaprzestać zmagać się z samem już pijaństwem ostatecznem, lecz brać się w sposób racjonalny i planowy do zwalczania od podstaw całokształtu alkoholizmu.

Ta walka to jest jedynie skuteczny, szlachetny bój dla ocalenia w ludziach pierwiastku człowieczeństwa; bój bohaterski, by nie dopuścić do wyzwolenia się z człowieka dzikiej bestji, która tamte, ludzkie własności stłumi w nim do cna, zadcpcze. To są zapasy śmiertelne człowieka uduchowionego z utajonem w nim bydlęciem.

I to się właśnie w języku naukowym nazywa zwalczaniem alkoholizmu.

A właściwie — ciśnie się pytanie — cóż to jest ów alkoholizm? Nie pijaństwo? O, nie. To bynajmniej nie są rzeczy równoznaczne. I nad tem warto zastanowić się szerzej.

Widzieliśmy n. p. jaką pogardę ma szynkarz dla pijaka. Widzieliśmy z jakim wstrętem odniosła się do rażącego objawu pijaństwa dama, która by nam za obelgę poczytała, gdybyśmy ją pomawiali o rozpijanie ludzi.

Przekonalibyśmy się jak zareagowałyby artysta uparcie picia broniący, gdyby to jego przezwało się pijakiem. No, a kto jest pijakiem? Co jest pijaństwo?

Co do tego panuje powszechne nieporozumienie. Są ludzie, którzy dzień w dzień pijają po kilka szklanek

piwa, po kilka kieliszków koniaku; którzy nie zaczynają jedzenia bez wódki; którzy nie uznają herbaty bez rumu, ni czarnej kawy bez likieru; nie pojmują świąt bez całej baterji butelek wina; nie rozumieją imienin czy przyjacielskiego spotkania bez kosza szampana. Są tacy u nas, i nie ze świecą ich szukać. Zawsze zaś stać ich na ten wydatek znaczny — mimo, że zazwyczaj właśnie oni narzekają na czasy nad wyraz ciężkie, na życie bardzo dziś trudne. Otóż nie ważmy się powiedzieć takiemu komuś: przecież pan jesteś pijakiem. A ileż razy w ustach takiego pana słyszy się słowa oburzenia na pijaństwo proletariatu; co za pogardę usłyszy się w jego głosie, gdy spowodu czyjegoś zmarnowanego talentu, czyjejs zwichniętej kariery, odzywa się: ależ to wstrętne pijaczysko.

Albo znowu weźmy właściciela knajpy, która ma na sumieniu całą rzeszę ofiar opilstwa; on sam nigdy nie używa trunków, któremi truje swych gości, bo mu tego lekarze pod grozą utraty życia zabronili. A Żydzi, w których rękę jest u nas szynkarstwo przeważnie, przecież ci prawie nie piją wcale. Publiczny widok pijanego Żyda należy do rzadkości — mimo że w ich karczmie codziennie ktoś leży pod ławą pijany.

Otóż na takim starym nałogowcu, raz na dni kilka napewne znajdowanym bez przytomności w rowie przydrożnym, gdy go szynkarz wyrzuci z pod ławy; na takim notorycznym pijaku, co tydzień odbywającym nocleg przymusowy w jakiejś szopie policyjnych aresztów, lub co kilka miesięcy stającym przed sądem za awantury wyprawiane w stanie opilstwa — mało już nam zależy, mimo, że smutny los nieszczęśnika budzi nasze współczucie serdeczne.

Mało nam zależy, bo nadzieja wyrwania go z takiego stanu rozpaczliwego czyli uleczenia z tej ciężkiej

choroby, jest już niewielka; jego uzdrowienie bywa niestety zwykle chwilowe, a powrót potem w nałóg prowadzi już zazwyczaj do fatalnego końca w delirium tremens, jako wynik chronicznego zatrucia organizmu, jako następstwo nieuniknione nadużywania napojów alkoholowych.

Natomiast bardziej obchodzą nas ci, którzy tylko używają alkoholu, zapewniając, że się wystrzegają nadużyć, że ich unikają, że w użyciu starają się zachować miarę. Otóż tych wyleczyć jeszcze nie trudno, tych oduczyć łatwiej, tych jeszcze da się przekonać, iż mylą się, przypuszczając, że w piciu wogóle miarę zachować można, skoro właśnie ta osobliwa trucizna ma to do siebie, iż po pierwszym kieliszku następuje nieodparta chęć wypicia drugiego, a już potem traci się poczucie granicy używania go dalej bezkarnie, zwłaszcza, że miara tutaj nie bywa jednakową dla wszystkich.

Zależec nam tedy może na tych — fałszywie zwanych »umiarkowanie pijącymi«, a nadewszystko zależec nam musi na zapobieganiu używania alkoholu przez młodzież, na niedopuszczeniu go do dzieci. I to właśnie będzie nasze zwalczanie alkoholizmu.

Na zjawisko społeczne taką nazwą dziś określane, składa się przedewszystkiem fabryczny wyrób napojów alkoholowych, dalej sprzedaż ich publiczna, powszechne używanie, następnie długi łańcuch płynących stąd klęsk, a więc szkodliwość dla zdrowia tych, co go sami używają i wpływ na ich potomstwo, szkody wynikające z tego pod względem gospodarczym, a co najgorsza, zabójcze oddziaływanie pod względem moralnym i duchowym; to przeistaczanie się człowieka w bydlę.

Wszystkiem tem zajmuje się alkoholologia, która w sposób naukowy, używając do tego środków nowoczesnych

i opierając się na danych statystycznych, bada poszczególne objawy tej klęski — ludzkość trapiącej; tej plagi rujnującej jednostki i rodziny, wyniszczającej narody i państwa, będącej wogóle przekleństwem życia.

Alkoholologia to dziedzina ogromna i bogata swą różnorodnością, a zajmująca wszechstronnością.

Zaczyna od tego, że zaznajamia z istotą alkoholu, z jego właściwościami, pokazuje pochodzenie napojów alkoholowych, ich wyrób i przeróżne rodzaje; wykazuje siłę zawartej w nich trucizny, a demaskuje rzekomą ich wartość odżywczą, oraz urojone zalety, owe w przesądach pokutujące własności rozgrzewania i wzmacniania.

Alkoholologia daje nam dalej obraz oddziaływania alkoholu na istotę żywą wogóle, a w szczególności na ustrój człowieka w postaci zatrucia albo ostrego, albo też przewlekłego. A więc jak działa w krwi; jaki jest jego wpływ na mózg; jak odurza, poraża komórki mózgowe, ośrodki nerwowe; jak przytępia zmysły; jak oddziałuje na gardziel, przełyk, płuca; na żołądek i jego czynności, na kiszkę; co wyprawia z wątrobą, z nerkami, z sercem; jak wpływa na przemianę materji; jakich nieprawdopodobnych zmian chorobliwych zdoła w organizmie ludzkim dokonać w ciągu czasu stosunkowo krótkiego i to przy pozornie umiarkowanem używaniu napojów nawet niezbyt silnych.

Zamienia się potem alkoholologia w powieść najsensacyjniejszą, w jakiś film erotyczno-kryminalno-detektywno-egzotyczny, gdy nas prowadzi do klinik neurologów i psychiatrów i zaczyna opowiadać ich ustami historie melodramatyczne, które na próg domu warjatów przywiodły alkoholika, co się na śmierć nie upijał, co tylko na życie zapijał się umiarkowanie; albo też jeszcze w tragicznieszy sposób popadał w chorobę umysłową, jako nie-

winna ofiara dziedzictwa rodziców, nałogowo hołdujących spirytualjom.

I pokaże nam alkoholologia, jaki to stosunek zachodzi między alkoholem a długowiecznością i śmiertelnością; między używaniem napojów wysokowych a gruźlicą i chorobami wenerycznymi; jaką rolę gra alkohol w statystyce wypadków nieszczęśliwych, w rejestrach nagłych zgonów, w kronice samobójstw, w rocznikach sądowych.

A jeżeli już idzie o ostatnie, to można powiedzieć, że ta do niedawna w dziedzinie nauki wcale nieistniejąca gałąź wiedzy — alkoholologia — stała się niejako promieniem rentgenowskim, który nawskróś przeświecił zasypane archiwalnym kurzem akta kryminalne, by odsłonić kryjącą się za murami sądowymi tajemnicę adwokacką, jako że *spiritus movens* całej przestępczości, że demon zbrodni świata ukrywa się za opalizującym szkłem kieliszka. To nam w alkoholologii udowodni dział medycyny sądowej, potwierdzą statystyki kryminologów i rozprawy psychiatrów, którzy w rodowodzie zarówno zwyrodnialców, idiotów, paralityków, histeryczek i obłąkańców z jednej strony, jak znów z drugiej — morderców i podpalaczy, malwersantów bankowych, defraudantów pocztowych, włamywaczy i oszustów, zawsze natkną się na źródło jednakie: alkohol.

Podobne rzeczy opowie nam higienista szkolny, psycholog eksperymentujący w internacie wychowawczym, w zakładzie dla dzieci anormalnych, w sierocińcu podzutek.

A dla kogo jeszcze spostrzeżenia te, o ratunek w niebogłosy krzyczące, będą zbyt abstrakcyjne — temu służy alkoholologia cyframi z dziedziny bardziej realnej i właśnie najmocniej przemawiającej do umysłu człowieka dzi-

siejszego. Oto prowadzi go w zakamarki jego własnego portfelu i zdumiewa go rewelacją sum, jakie bezpośrednio, a zwłaszcza pośrednio pochłania ta »nawyczka niewinna«, której »trudno sobie odmówić w szarzyźnie życia«.

A potem uchyla przed nim rąbka zasłony, by zajrzeć za kulisy gospodarstwa narodowego, państwowego, i ogarnął myślą owe cyfry dosłownie astronomiczne, którymi musi operować ekonomista badający tajniki przemysłu alkoholowego — i dochodzący do wniosku, że ten przemysł, obok marnotrawienia zdrowia, sił i pracy ludzkiej, zatrzymuje ogromne kapitały, mogące uruchomić dzieła wytwórczości pożyteczniejszej, gdy tymczasem praca, która służy do wytwarzania napojów alkoholowych, jest całkiem nieproduktywna; nie wytwarza bowiem wcale rzeczy, które możnaby nazwać dobrami, nie pomnaża dobrobytu społecznego, środków odżywiania, źródeł prawdziwego spożycia, ale — przeciwnie — ta, na skalę ogromną praca wytwarza to tylko, co szkodzi zdrowiu ludzkości.

Do takiego oto wniosku dojść musi ekonomista i socjolog na podstawie wyników badań nowoczesnej alkoholologii. A publicysta określi to innemi słowy: że cały imponujący w gospodarstwie narodowym świata dzisiejszego przemysł alkoholowy służy jednemu tylko celowi: skomplikowanego wyprodukowywania z człowieka bydlęcia.

Olbrzymia zaś maszynerja reklamy nowożytnej, którą w dzisiejszych warunkach życia musi się ten przemysł posługiwać, i to reklama tak niesłychanie kosztowna ze względu na konieczność zatajania w jego interesie, lub fałszowania nowych wyników badań naukowych, prowadzi wprawdzie do coraz powszechniejszego używania napojów alkoholowych, ale jednocześnie, zabierając ziemię

pod uprawę płodów rolnych na ich wyrób, niszcząc pracę, pomysłowość i kapitał, staje się źródłem ubożenia narodów i ruiny państw, a hamuje nie tylko rozwój stosunków gospodarczych, ale także postęp cywilizacji; prowadzi do zaniku kultury, na jej miejscu zaś krzewi bolszewizm.

Otóż jeżeli alkoholologia zajmuje się po kolei stosunkiem alkoholizmu do kwestji gospodarczej, jego wpływem na życie społeczne; jeżeli rozpatruje go jako czynnik zwyrodnienia rasy; traktuje go jako zagadnienie wychowania moralnego; jeżeli w świetle badań statystycznych studjuje psychologję alkoholizmu: to w następstwie musi jeszcze nie tylko poświęcić czas na kwestję leczenia alkoholików, ale przede wszystkim zapobieżenia złu powszechnemu, powstrzymania dalszego rozwoju strasznej plagi; a zatem otwiera się przed nią druga strona tego zjawiska społecznego: walka z alkoholizmem.

Obchodzić ją zatem musi reglamentacja i prohibicja, ustawodawstwo ograniczające lub zabraniające wyrobu i sprzedaży tej trucizny; przestrzeganie i obchodzenie przepisów prawnych w tej dziedzinie; skutki niepożądane powstrzymania konsumpcji na drodze legalnej; błogosławione następstwa zwalczania alkoholizmu w oświeceniu prawdy, zdobywanej badaniami statystycznymi; rejestrowanie radosnych objawów ocalania dla ludzkości i jej kultury pierwiastków człowieczeństwa — przy jednoczesnym zahamowywaniu wyzwolein z człowieka dzikiej bestji.

To jest zwalczanie alkoholizmu, do którego to celu służyć mają właśnie kursy alkoholologii, urządzane dla wytworzenia niezbędnych kadr działaczy przeciwalkoholowych.

Człowiek, bez względu na swoje stanowisko, a zwłaszcza ideowy pracownik społeczny, lub zawodowy wy-

chowawca, czy duszpasterz, dopóki tajniki alkoholologii są dlań jeszcze ziemią nieznaną, przyrównanym być może do wędrowca, który o zmroku idzie na oślep poprzez obce mu bagna, nawet nie zdając sobie sprawy z grozy niebezpieczeństwa — i dopiero jakieś nagłe skierowanie z murów pobliskiego fortu reflektora w jego stronę, ostrzeże go, że jest na trzęsawisku, pod którym tuż u jego stóp błyska już topiel zdradna.

Takim właśnie przeraźliwie jasnym reflektorem, odrazu rozświetlającym zdradliwe mroki nieświadomego lekceważenia, mimowolnej niewiedzy, całkowitego niezdawania sobie sprawy z istotnej grozy niebezpieczeństwa używania i tolerowania w życiu prywatnem i publicznem alkoholu — którego każda dawka i wszelka postać bywa zgubną zasadzką — są kursy uświadamiające o alkoholizmie.

I taki snop światła, rzucony niejako z fortów obrony człowieka, ma na celu nie tylko gwałtowne zatrzymanie grzęznącego wędrowca tuż nad oparzeliskiem. Komu bowiem taka lampa prawdy na wylot przeświecili mrok bagniska alkoholizmu, ten, naraz olśniony poznaniem tajników nieprzeczuwanych, zastanowi się, zamyśli głęboko, i zrozumiałwszy grozę położenia, zawróci co prędzej z manowców trzęsawiska, by pobiec na owe forty, z których reflektor ocalił go nad samą krawędzią bagna-topieli.

A zastawszy na miejscu dotkliwy brak ludzi w następstwie ogólnej dla sprawy obojętności i apatji zagrożonego społeczeństwa, zgłosi się sam na ochotnika do obrony, do ocalania drugich, do ratowania ogółu z błot bezdroży, co tak zdradnie wciągają w śmierć ohydłą.

I oto w taki sposób powstanie u nas armja ideowa, której widok owego naroźnika z szynkiem na ścieżaj otwartym naprzeciw drzwi kościelnych — nie da już spo-

koju. Armja ideowa, która czuć będzie, że to, z ust żerującego na krwawicy pracowników pasorzyta - karczmarza wypłute słowo »bydlę«, zawisło nie nad tym jednym wypchniętym z szynku w błoto uliczne nieszczęsnym pijakiem-inteligentem, ale nad całym już społeczeństwem — jako ofiarą zbiorową wyolbrzymiałego za dni naszych szynku, w którym potworna trąba gramofonu propagandy bolszewickiej zagłuszyć się stara organy etyki człowieczeństwa, grzmiące w murach świątyni kultury narodowej.

Bojowanie z alkoholizmem to najszlachetniejsza walka o człowieka. Uświadomienie społeczeństwa o niewoli nałogu, to wyzwolenie człowieka.

W ślepym zaułku.

Znakomity uczony i głęboki filozof, a byłby rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Misjonarz Michalski, przemawiając publicznie imieniem Polskiej Akademji Umiejętności, rzucił myśl, która mnie odtąd prześladowe. Powiedział mianowicie, że narody zatrute alkoholizmem znajdują się w ślepej uliczce, z której niema wyjścia na wielki gościniec rozwoju dziejowego.

Jakto, więc na to po wieku mąk niewoli i bohaterskich walk z potrójną przemocą, naród nasz odzyskał nareszcie suwerenność państwową, by zamiast wielką odegrać rolę na szerokich drogach dziejów, zmarnieć miał w zaułku świata?!

No, a cóż innego może nas w przyszłości czekać, jeżeli taki właśnie los ma spotkać narody alkoholizmem zatrute?...

Ale czy nam naprawdę grozi takie tragiczne zata-mowanie rozwoju dziejowego? Czy bowiem i my w istocie należymy do narodów alkoholizmem zatrutych? Może tylko zatrutowanych... W tem jest pewna różnica, ale pociecha nieduża: wszak kto się systematycznie czemkolwiek zatrui, w końcu od zatrucia ginie.

A któż mógłby mnie uspokoić zaprzeczeniem, wykazaniem, że alkoholizm w Polsce nie jest klęską społeczną, że tedy nie musimy jeszcze większego znaczenia

przypisywać temu zagadnieniu, nad którem po szerokim świecie kłopotczą się już moralista z kryminologiem, socjolog z ekonomistą, a najbardziej higienista, psychiatra i eugenik.

Aliści wcale się nie łudzę. Wiem, że gdyby nawet nie było smutnej wymowy cyfr statystyki o tem, jak, na równi z innemi tego świata narodami, hołdujemy najpospolitszej ze współczesnych narkomanij, to i staroświecką metodą zwykłej obserwacji życia doszlibyśmy do tego przeświadczenia, że już nie jednostki tylko, lecz alkoholizuje się społeczeństwo.

Staje tedy przed narodem naszym nieuchronnie owo tragiczne widmo dziejowe: ślepa uliczka bez wyjścia...

W życiu narodów i państw ja tak ją widzę, jak w życiu człowieka prywatnego, boć do tego samego co jednostkę musi alkoholizm zaprowadzić jednostek zbiorowisko. Nie potrzebuję rozwodzić się nad tem, jak alkohol oddziaływa na organizm ludzki, skoro na ten cel mamy na kursach tyle wykładów specjalnych dla udowodnienia, na podstawie wyników badań naukowych, zabójczego wpływu alkoholowej trucizny. Ja zaś, zastanawiając się tutaj nad zagadnieniem alkoholizmu, chciałbym tylko pójść śladem tej drogi życia, która niechybnie prowadzi do owej ślepej uliczki, przez filozofa z Wszechnicy krakowskiej ukazanej jako kres tragiczny.

Tu rola publicysty nietrudna: rzucić na ekran jedynie zwykłe dzieje dnia codziennego, tego życia powszedniego, które nas mija na każdym kroku, o które ocieramy się ciągle i wszędzie, nawet nie zwracając nań uwagi. Bo czyż zastanawiamy się np. nad tem, że idąc ulicami miasta, natykamy się na każdym kroku na lokal, w którym kto tylko chce, może bez recepty zaopatrzyć się w dowolne ilości owej trucizny alkoholowej, zależnie je-

dynie od zawartości portmonetki czy portfelu. Czyliż zastanawiamy się, jakie to sumy pieniężne przepadają w lokalach takich przedsiębiorstw nigdy niebankrutujących?...

Pomyślmyż kiedy nad tem, na co byłyby potrzebne raczej sumy tam marnie zatracone... Komuż to przyjdzie na myśl, poza garstką fanatyków akcji abstynenckiej, spróbować zliczyć te poprostu zawrotne cyfry przez ogół społeczeństwa wydatkowane na tę jedyną rubrykę zgoła niepotrzebną i wyrachować, co by za nie naróć mógł sobie i państwu i przyszłym pokoleniom ufundować z owych rzeczy, o których właśnie marzy, do których wzdycha ciągle, o których stale powtarza, że mu są do życia niezbędnie potrzebne, a na które nigdy nie ma funduszków, bo... rozdrobnione na grosze za »niewinny kieliszeczek«... utonęły w przepastnych kieszeniach uprzywilejowanych handlarzy patentowanej trutki na legendowego robaka ludzkiej troski, w kasach wszechmożnych fabrykantów tradycyjnych kropli na zabijanie ludzkiej nudy...

I czyż można się potem dziwić, że alkoholizm przybrał tak szerokie rozmiary w krajach najbardziej cywilizowanych, jeżeli właśnie ta cywilizacja ze swym rozwojem sama mu ułatwiła masowe zatruwanie społeczeństwa przez udostępnienie trucizny na każdym kroku, przez podsuwanie poprostu człowiekowi tej okazji pod oczy, pod rękę...

Wynieśmy z apteki, za przykładem alkoholu, inne, w rodzaju morfiny narkotyki-trucizny i na wzór tytoniu urządzmy dlań legalne i uprzywilejowane trafiki, sklepy, handelki i wszelkie na każdym rogu lokale publiczne tego typu co dzisiejsze kawiarnie, restauracje, bary i t. p. szynki i karczmy, a zamienimy świat niebawem w olbrzymi szpital warjatów, który powoli a systematycznie będzie przerabiał kraje najwyższej kultury na cmentarzysko.

Zali mamy przypuszczać, że zagadnienie alkoholizmu tak się znów groźnie dla przyszłości kultury narodów i ludzkości jeszcze nie przedstawia? A dlaczego? Oto dzięki temu, że ogół tak masowo hołduje nałogowi alkoholowemu, stał się alkoholowy przemysł potęgą finansową. A że w dzisiejszym ustroju świata, niestety, głos niemal decydujący mają ci właśnie, co mamoną najsilniej potrząsają, przeto wyda nam się rzeczą zrozumiałą, kto w tej chwili w interesie własnym nie dopuszcza, by w opinii publicznej rozbrzmiało rozgłośnie ostrzeżenie, jako że jednym z najdonioślejszych zagadnień życia współczesnego jest właśnie kwestja alkoholizmu. Bo np. to, że jej wpływ odgrywa jedną z ról decydujących w przeżywaniu teraz przesileniu gospodarczem, toby łatwo udowodnił ekonomista, który, sam nie poszedłszy w służbę u Bacchusa, mógłby mieć spojrzenie na te sprawy niezamglone. Podobnie społecznik niejedną kwestję socjalną rozwiązałby snadnie dopiero po usunięciu z drogi do społecznego szczęścia zapory, zawady w postaci klęski alkoholizmu.

A kryminolog? Opowiadał mi pewien wybitny sędzia, że do niedawna był przeświadczony, iż dziewięćdziesiąt na sto spraw karnych z reguły ma źródło w alkoholizmie, pośrednio czy bezpośrednio, dłuższa jednak praktyka sądowa nauczyła go, że i tę resztę na karb alkoholizmu należy policzyć, bo i jej źródłem właściwym bywa dziedziczne obciążenie po rodzicach lub dalszych przodkach alkoholikach. A znowu poważny profesor prawa karnego zwierzał mi się ze swych rozmyślań nad rajem, jakiby się wytworzył, gdyby się dało naraz usunąć radykalnie z życia ludzkiego plagę alkoholizmu; nie kancelarje adwokackie, ale sądy nie miałyby nic do roboty, nietylko więzienia musiałyby się pozamykać, lecz możnaby

nawet większość policji rozpuścić, bo znikłoby źródło zbrodni, a zarazem główna przyczyna nieładu i niebezpieczeństwa publicznego.

Tak mówi uczony badacz dziedziny kryminalnej. Podobnie zapatruje się na alkoholizm etyka, która wyczuwa w nim studnię zatrutą: dopóki z niej pić będzie człowiek, dopóty bojowanie o moralność będzie walką z wiatrakami...

Do tego samego dochodzi i eugenika. Wszak jej troską jedyną to przyszłe pokolenia zdrowe, rasa czysta, ocalenie od zwyrodnienia... A-spytajmy medycyny, czy dopóki człowiek zatrzuwać się będzie alkoholem, może być mowa o potomstwie niezwyrodniałem...

Któż są rodzice matolek, kretynów, idiotów z wodołowiem, jeżeli nie alkoholicy? A te szpitale obłąkańców, te kliniki neurologiczno-psychiatryczne, zapelniające się stale ofiarami alkoholizmu bezpośredniego czy już odziedziczonego, mogą mieć wpływ niezwyrodniający na generacje następne?

A tak silnie oddziaływujące na czystość rasy choroby weneryczne czyliż nie szerzą się potwornie właśnie na podłożu alkoholizmu?

A wyniszczająca ludność gruźlica czyż zagrażałaby nam w tym stopniu co dzisiaj, gdyby organizm nie tracił odporności na jej zabójczą działalność właśnie pod wpływem alkoholu...

I dlatego higienista tak zawzięcie stara się wykończyć z życia społeczeństwa nałogi pijackie, że mu patologia demonstruje istną ruinę ustroju ludzkiego, a internista, jak psychiatra całe litanie chorób wylicza, gdzie winowajcą właściwym bywa alkohol...

Już z tego wszystkiego wyraźnie widzimy, że zagadnienie alkoholizmu wydać się może jakimś labiryntem

splotów tragicznych... Niby w błędne koło weszła weń ludzkość i już wydobyć się zeń nie umie...

Zupełnie tak samo jak nieszczęsna jednostka... tak samo... i ten sam czekałby ją los — gdyby...

Otóż przypatrzmy się naprzód takiej jednostce.

Weźmy ją ze środowiska kulturalnego. Dziecko zamożnego domu poznało alkohol wcześniej niż życie, bo uczta weselna rodziców, która poprzedziła godzinę poczęcia, zakrapiana była obficie koniakiem, szampanem i likierami. A potem, gdy je matka nosiła w łonie, dbał mąż o to, by do każdego jedzenia podawano jej mocne trunki; podobnie było i przez cały czas karmienia dziecka. To też w wieku chłopięcym już z synkiem poradzić sobie rodzice nie mogli. Lekarze nie wychodzili z domu, bez końca radząc nad osobliwościami jego nerwów.

W okresie dojrzewania zaczęły się objawy typu zbożenia i z wiekiem rozwijały się w sposób sprawiający rodzicom i młodzieńcowi niebyłejakie kłopoty. A kiedy w ślad za rodzinną katastrofą finansową śmierć sprzątnęła pokolei ojca i matkę, młody rozbitek stracił w życiu wszelkie oparcie. Żeby stale zaspakajać wrodzony, a nigdy nienasycony głód alkoholu, przestał przebierać w środkach. Wszystko jedno mu było, skąd pieniądze pochodziły, jak nikczemnym nawet sposobem do nich doszedł, jaką tem wyrządził komu krzywdę...

Byle grosz na pijatykę był, o resztę nie dbał — ani on, ani nikt z jego kompanów spod ciemnej gwiazdy, pod którą zaszedł w krętej i śliskiej drodze swego upadku. Aż zagrzążł w trzęsawisku spelunek knajpiarsko-szuler-skich, kędy dla zdobycia wydatniejszych funduszków na wieczystą hulankę legły się najbujniejsze pomysły kryminalne.

To też rychło dawny złoty młodzieniec z szajki zwyrodnialców przeszedł ochotnie do bandy najpodlejszych szumowin społecznych i w roli defraudanta uczestniczył w zakrojonem na ogromną skalę oszustwie.

Rzecz się nie powiodła. Sprawcy zbiegli, nie wykryto i defraudanta. Ten jednak tak napewne liczył, że sprzeniewierzywszy olbrzymią sumę, zrealizuje fantastyczne plany i nieudanie się całej afery do tego stopnia wzięł sobie do serca, że wycofał się z gromady bandyckiej, usunął się w samotność, stał się pijakiem - mizantropem.

Wpadł pod wpływem owego niepowodzenia w manję prześladowczą, krył się przed ludźmi, tylko nocą wychodził z kryjówki. Ale nie tylko pił nocami, także i kradł, bo pracować już nie umiał, zresztą stale bojąc się ludzi, by się przed nimi nie zdradzić z postępków kryminalnych, musiał ich unikać i pod tym względem. A głód alkoholu, idąc w parze z wszelakim głodem, zamęczał... Musiał tedy kraść, napadać, ograbić — i jak zwierzę ścigane, wiecznie się chronić po norach przed okiem sprawiedliwości...

Aż nadszedł czas, kiedy złodziejstwo nic się nie wiodło. Ofiary upatrzone nie wpadały jakoś w ręce. Łachmany nie grzały, kieszki nienapełniane skręcały się coraz boleśniej, a to potworne pragnienie wódką niezaspokojone doprowadzało do szaleństwa

Spróbował wyjść na świat wyjątkowo raz za dnia, ale to dzienne światło, od którego już całkiem odwykł, napełniło go takim strachem zabobonnym, że uciekł w su terenową kryjówkę spowrotem i tam palce gryzł do krwi w rozpacz...

— Co począć dalej?

Wypełznawszy następnej nocy ze swej nory, jął czyhać na ulicznice, by z nich którą ograbić. Doczekał się,

zażądał od niej pieniędzy na wódkę. Odmówiła. Zdarł z niej szal i nim dusił ją do utraty przytomności.

Wtedy ze swym łupem uciekł. Gwizdy alarmowe słyszał za sobą. Sutenerzy już go gonią. Co począć?... Za szal byłaby wódka, a nie można po nią wybrać się zaraz. Musi tymczasem schronić się w kąt bezpieczny. Przez jakieś w zakamarkach śmietniki wydostał się na daszek dziurawej szopy. Zeskoczył, ale szal zaczepił się na wóździach.

Oto znalazł się w zaułku zewsząd murami zamkniętym, sam prawie zawisnąwszy na zrabowanym szalu ćmy nocnej, której towarzysze-alfonsi ścigają go, lada chwila odkryją, dopadną, nożami zadżgają...

A tutaj przed nim uliczka bez wyjścia — tak, jak to życie jego w tej chwili... alkoholem zniewolone do ostatecznego zmarnienia...

Ani się cofnąć, ani wprzód ruszyć...

Bez wódki już żyć nie potrafi, a wódki za darmo dostać nie ma sposobu... Na to właśnie ukradł i nic mu z tego przeklętego szala...

Chyba się na nim powiesić?...

Gwizdy, krzyki przycichły w nocnej głuszy... Zabrał się więc do przygotowań... Aliści zabrakło pijakowi woli... Odważyć się nie mógł...

Ten szal przecież łudził go jeszcze nadzieją zdobycia całej butelki wódki...

W momencie właśnie tego wahania dopadł go pościg.

Od owej nocy tragicznej minęły lata. Dawny złoty młodzieniec, skandalicznie znany na bruku warszawskim, wegetuje między kryminałem a potajemną knajpą mętów wielkomiejskich. Alkohol wpędził go w ślepą uliczkę życia bez wyjścia.

Znałem tego nieszczęśnika niegdyś, gdy jeszcze ro-

dzice jego włosy z głowy sobie wydzielali z bezradności, jak ukryć kompromitujące ich dom pierwsze postęпки młodzieniaszka na drodze kryminalistycznej.

A zatem widzicie państwo, że dla zilustrowania równi pochyłej, po której zwykło się wdół toczyć życie ofiary alkoholizmu, nie sięgnąłem wcale do fantazji literackiej. Wszak w rzeszy tych byłych ludzi, których z ulicznego ścieku, jako pijaków notorycznych, podnosi policja nad ranem i do wytrzeźwienia oddaje aresztom komisarjackim, byłoby takich typowych modeli bez liku i trzeba tylko umieć wśród nich szukać i wybierać...

Nie musi ta droga prowadzić poprzez piekło zwyrodnialstwa czy bandytyzmu. Nie każdy dla zaspakajania alkoholowego pragnienia puszcza się na defraudację, a spostrzegłszy się, że życie zaprowadziło go w ślepią uliczkę bez wyjścia, próbuje skończyć z niem na wisielczym sznurze, czy szalu zdartym nocą z ramion ulicznicy..., która sama może również w takim znalazła się zaułku, skąd ni wstecz, ni wprzód...

Atoli to życie codzienne, o które ocieramy się tak obojętnie, poucza nas właśnie, że po takich i tym podobnych manowcach wodzi swoje ofiary szatan alkoholizmu, dopóki nie wpędzi ich w ślepią ulicę ostatecznego zmarnienia fizycznego czy moralnego i duchowego...

Jednocześnie wszakże to samo życie dnia powszedniego odsłania nam zgoła inną stronę alkoholizmu, zastanawiającą głęboko, acz nie tak sensacyjnie tragiczną. I ta właśnie nas zaniepokoi jeszcze bardziej, mimo, że tu niema tak drastycznych efektów, jakimi operuje tamta.

Oto gdy się po znanych rozejrzemy uważnie, tragedje na tle alkoholizmu nie wydadzą nam się tak znów częste, a natomiast w oczy nam się rzuci powszechność alkoholizmu... tego, jak go różnie ludzie określają —

niewinnego, umiarkowanego, nieszkodliwego... Bo przy-
patrzmy się tylko...

Gdziekolwiek zajdziemy, uważa się alkohol za rzecz
zwykłą i nie traktuje się używania go za coś nadzw-
yczajnego. Ot np. do obiadu siadając, zaczyna się od ja-
kiegoś kieliszeczka czegoś tam, zależnie od okoliczności,
nalewki domowej czy kupnej, wódki czy koniaku. W jed-
nych domach jest to w zwyczaju codziennym, w innych
dopiero przy gościach, a jeszcze w innych rodzinach
tylko wtedy, gdy się je obiad w lokalu publicznym. Po-
dobnie z piwem przy obiedzie i kolacji.

Otóż zapytajmy, co nam specjalista-alkoholog powie
o sumowaniu się szkodliwego wpływu tych pozornie ma-
łych dawek trucizny alkoholowej w owych codziennych
napojach.

A teraz druga serja zwyczajowego picia. Policzmy,
ile do roku świąt obchodzimy w tym samym normalnym,
niepijackim domu, świąt, imienin itp. uroczystości, które
tradycyjnie stanowią znów okazję do wzmożonego wy-
chylania kieliszków, szklanek i razem wzięwszy — bu-
telek, baryłek, beczek, całych kadzi alkoholowych na-
pojów, tych tylko nieszkodliwych, niewinnych, domowych,
leczniczych, wzmacniających, rozgrzewających, antygrypo-
wych, przeciwrumatycznych, słowem, takich, bez których
wogóle cóż warte byłoby życie i zdrowie, ciało, dusza,
duch w człowieku, duch w narodzie, jego siła i odpor-
ność względem wroga, żywotność i t. d. i t. d. czyli po-
prostu tradycja narodowa, gościnność staropolska, zwy-
czaje patriotyczne...

Zresztą ojciec pił całe życie i dożył lat sześćdzie-
sięciu, dziad i pradziad umarli jeszcze znacznie później
mimo, że pili tego, jak my już dziś nie umiemy... i t. p.
Przecież co innego jest upijać się, a co innego pić umiar-

kowanie... A zresztą, panie dobrodziej, nawet i upić się raz na parę miesięcy to rzecz poprostu dla organizmu pożądana właśnie, pożyteczna w wysokim stopniu, cudowną reakcją ożywiająca całą istotę człowieka...

Otośmy wreszcie dobrali się do samego sedna sprawy. Mimo rokrocznie urządzanych kursów i wystaw, mimo raz za razem odbywanych kongresów, inteligencja nasza zapatruje się na kwestję alkoholizmu po dawnemu jeszcze tylko tak, a nie inaczej. To z jej ust wyjąłem i nic nie ująłem. Publiczność uwierzyła już Higienie na słowo niejedno z nowych wyników badań naukowych, mimo, że to nieraz z gruntu burzyło jej dotychczasowe wyobrażenia i podkopywało stare i zakorzenione przyzwyczajenia.

O jednym tylko alkoholizmie może sobie Higiena w nieskończoność mówić i wołać, wyjaśniać i perswadować, a publiczność, której snobizmowi tak imponować lubi zdanie byle zagranicznej powagi, w tym wypadku udaje głuchą na głosy nauki i woli wzamian pochwycić tekst najgłupszy płatnego anonsu i powtarzać go jako argument na swoją obronę dla utrwalenia tyranji zwyczajów pijackich.

Niech nas to wszakże zbyt nie dziwi. Publiczność obserwuje, że ów kupiec codziennie do handelku zagląda na śniadanko obficie zakrapiane — i mimo to interes swój dobrze prowadzi, a nikt mu od alkoholików nie wymyśla. Obserwuje, jak ów urzędnik co wieczór w koleżeńskim gronie odsiaduje w renomowanej knajpce, kędy nigdy bezalkoholowych napojów nie podają, a mimo to w biurze swoje kawałki odrabia, interesantów załatwia, awansuje i nic mu nie staje na przeszkodzie do dygnitarskiej kariery.

Publiczność widuje lekarzy, adwokatów, aż nadto

często przy kieliszkach, a kiedy zajrzy u nich do poczekalni, sprawdza, jak im się powodzi: wszakżeby ta cała klientela nie waliła do gabinetu pana konsyljarza czy mecenasu, gdyby nic nie był wart...

No, a ten aktor, fabrykant, redaktor, ów malarz, powieściopisarz, tamten profesor, uczony i t. d. Iluż między nimi abstynentów? Osobliwy wyjątek! Może się oczywiście trafić między nimi niejeden pijak notoryczny, ale naogół — według orzeczenia opinii publicznej — wszystko to ludzie używający napojów alkoholowych umiarkowanie i nie mogący uchodzić za alkoholików.

Podobnie z rzemieślnikiem i robotnikiem fabrycznym, podobnie z woźnicą i maszynistą, szoferem i pilotem... Owszem, publiczność przyznaje, że są wyjątki, ale znów dlatego tylko, że ci ludzie piją codziennie potrosze, a czasami i więcej, że się tam raz na pewien czas nawet spiją, to ich jeszcze traktować jako alkoholików w mniemaniu opinii publicznej nie można...

Przecież ci wszyscy ludzie pełnią swoje zawodowe czynności normalnie.

Normalnie. Mamy oto do czynienia z osobliwym nieporozumieniem, które trwać będzie dopóty, dopóki nie garstkę działaczy społecznych, przyjeżdżających na kursy, lecz dopóki nie przeszkolimy całej tej publiczności, która tak właśnie, a nie inaczej zapatruje się na sprawę alkoholizmu i spowodu swej zupełnej nieświadomości całkiem go lekceważy.

Może w jej naiwnem wyrażeniu, że przodkowie nasi tego pili i że my nawet już tak nie potrafimy — tkwi dużo prawdy. Prawdopodobnie, jako potomkowie alkoholików, skarleliśmy w stosunku do bardzo jeszcze męźnych pradziadów swoich. Jak zaś wyglądać będzie coraz dalsze nasze potomstwo, łatwo przewidzieć, gdy się

zważy, że teraz pije całe społeczeństwo tak, jak nie mogło pić w czasach, w których ani się nie śniło o takim jak dziś, przy nowoczesnych urządzeniach cywilizacyjnych, udostępnieniu, rozpowszechnieniu wszelakiego napoju alkoholowego. Zczasem zaś dopiero nauka wykaże, czy »normalnie« swój zawód wykonywują ci wszyscy, których dziś publiczność nazywa umiarkowanymi w używaniu alkoholu.

Z tego, co już dziś orzec może alkoholologia, ta niemal najmłodsza gałąź wiedzy, która opiera się na wynikach badań naukowych zaledwie z ostatniego dopiero ćwierćwiecza, należałoby sądzić, że właśnie pod masowym wpływem alkoholu używanego prawie na codzień przez ogół, bez względu już na wiek i płeć, całe społeczeństwo jest w tej chwili anormalne i anormalne muszą być i jego myśli i czyny, jego życie i dzieła i jego potomstwo.

Posłuchajmy co psychiatria, neurologia, charakterologia powiada o osobliwych czynach chronicznie zatrutego alkoholika. A potem weźmy codzienną kronikę naszego współczesnego życia, do czego najlepiej posłużą gazety wielkomięjskie; nieraz wystarczy jeden numer dużego dziennika informacyjnego. Otóż ta nieprawdopodobna, jak na jeden dzień, masa postępów kryminalnych, jakich ongi nie dostarczyłyby nawet dziesiątki lat, ta masa poprostu nieprawdopodobnych postępów, jakich nie bywało nigdy wprzód, świadczy wyraźnie, że to pod działaniem trucizn alkoholowych masowo od dłuższego czasu zażywanych, całe społeczeństwo popadło w psychozę alkoholową, która postępując stopniowo, musi je zaprowadzić tam, dokąd prowadzi poszczególnego alkoholika.

Ta chorobliwa nadwrażliwość, ten psychopatyczny

sposób reagowania na byle drobnostkę, ta poprostu patologiczna drażliwość, która nieomal bez widocznego powodu zdolna jest wytwarzać tragedje tam nawet, gdzie brak miejsca na dramat, wszystko to przypomina manję prześladowczą deliranta, jego mękę wieczystą urojeń i przywidzeń zdrad małżeńskich i zamachów bandyckich...

Zapewne, że samobójstw i zabójstw nigdy nie brakło, ale czy sami w ciągu własnego życia nie obserwujemy z roku na rok tego przerażającego postępu zbrodniczości właśnie tej swoistej, charakterystycznej, która wier nie przypomina studia medyczne nad alkoholikami.

Oto np. na dancingu ktoś dotknięty czyjemś tylko spojrzeniem — zabija najniewinniejszego człowieka.

Sierżant, przez przełożonych ukarany, jak mu się wydało, niesprawiedliwie, w łeb sobie strzela.

Kobieta podejrzewająca narzeczonego o flirt z kim innym — pakuje mu siedm kul pod żebro.

Ojciec wraca do domu, nie zastaje gotowego obiadu — i wymordowuje całą rodzinę.

Gospodarz zniecierpliwiony gwizdaniem lokatora, rzuca w niego płonąca lampę.

Abiturjent chce sobie drogę do matury torować brauningiem.

Wyrostek zrywa się na majstra z siekierą za słowa przestrogi.

Matka spowodu niegrzecznej odpowiedzi córki strąca ją w oczach publiczności z mostu w rzekę...

Przecież to cała klinika patologiczna, a takich pacjentów dostarcza jej każda godzina, jak widać ze skrzętnego rejestrowania tych potwornych nowin przez żerujące na nich ekspresy brukowe. Ale to wszystko, co one bez potrzeby dzień w dzień ogłaszają, nie jest, niestety, tylko przez reporterów dla sensacji i grosza fabrykowane:

życie dzisiejsze tego masowo dostarcza i to w postaciach nigdy niebywałych.

Otóż powtarzam: przypatrując się dzisiejszemu życiu w charakterze czujnego publicysty, a studjując pilnie wyniki najnowszych badań alkoholologii, śmiem twierdzić, że ten stan rzeczy wywoływany bywa w przeważnej części powszechnym alkoholizmem, którego wpływ masowy, którego skutki systematyczne nie mogą nie odbijać się na całokształcie życia społeczeństwa, na jego zdrowiu fizycznym i moralnym, na jego nerwach, na jego psychice.

Nie mogą nie odbijać się na całym społeczeństwie, tak samo jak na tych wszystkich poszczególnych jego jednostkach, które dzień w dzień napozór wcale niewidocznie, zatruwają się alkoholem normalnie, umiarkowanie, zwyczajowo — i napozór zwyczajnie, normalnie odrabiają w biurze życia swoje kawałki codzienne...

A tylko niekiedy, zgoła nieoczekiwanie, jakiś anormalny postępек imię ich otoczy sensacyjnym rozgłosem.

Te mnożące się i w naszym społeczeństwie anormalne postęпки pozornie normalnych ludzi, to znaki ostrzegawcze. Jak pewne u alkoholika objawy chorobliwe ostrzegają psychiatrę, że nadchodzi okres, w którym można się spodziewać delirium tremens, tak publicysty obowiązkiem — skoro zauważy takie niepokojące znaki ostrzegawcze, wołać, że grozi kataklizm żywiołowy.

W każdym nałogu jest coś żywiołowego, a już w alkoholizmie jest chyba coś z pierwotnej chuci, na którą jakże słabe są jeszcze wędzidła morału i rozsądku. Z chwilą, gdy nałóg pijacki społeczeństwo ogarnie, gdy w krew mu wejdzie, dostanie się w głębię jego podświadomości, trzeba już zatargać trzewiami duszy narodowej, by w porę skrzyknąć gromadkę ratowników przed żywiołowym załewem zła i nieszczęścia społecznego.

Na nic wszelako będzie akcja ratownicza, jeżeli ci, co się do niej z dobrej woli wezmą w imię umiłowania sprawy, sami do gruntu nie poznają wszystkich właściwości osobliwych tego zdraдного a groźnego żywiołu.

Na to urządza się kursy przeciwalkoholowe, które czemś więcej się stały, aniżeli szkołą fizycznego zdrowia. Zagadnienie bowiem alkoholizmu przestało być kwestją tylko higieny czy medycyny, wyszło poza ramy zagadnienia ekonomicznego. To zagadnienie społeczne ma dziś dla nas znaczenie zarówno etyczne, jak narodowe, państwowe.

Z alkoholizmem weszliśmy, jak się wyraziłem na wstępie, w labirynt splotów tragicznych. Z owego błędnego koła, w którem musiałaby zmarnieć cała kultura nasza wielowiekowa, wyprowadzić ma naród ta obywatelska straż ratunkowa, którą systematycznie szkołą publicznych kursów zwalczania alkoholizmu.

Kto w tę zaszczytną służbę obywatelską wstąpił, by właśnie pomóc naszemu społeczeństwu wydostać się z owego zakłętego labiryntu, niech sobie tę sprawę weźmie do serca głęboko, a niech przystąpi do pracy z zapałem, mając wciąż w pamięci ową ślepą ulicę, ów tragiczny zaułek bez wyjścia na gościniec rozwoju dziejowego, jaki, zdaniem krakowskiego filozofa, grozi narodom zatrutym przez alkoholizm.

Kto zatem walczy w Polsce z alkoholizmem, by ją od tej ślepej ulicy zmarnienia ustrzec, ten walczy zaiste o wielką przyszłość naszego narodu i państwa. Kto zaś pracę tę utrudnia, wpędza Polskę w ślepy zaułek, w którym zatracićby miała złoty róg swej świetności dziejowej.

Krzyk nagiej duszy.

Uczony sławy światowej, a wielki nasz patriota, profesor Benedykt Dybowski, który zmarł we Lwowie starcem stuletnim, był nestorem polskich abstynentów i ogromne położył zasługi na polu walki z alkoholizmem. Nader cenne dla alkoholologów pozostawił spostrzeżenia, poczynione w ciągu lat nad Bajkałem, na Kamczatce, na Syberji, wogóle w głębi Rosji azjatyckiej, dokąd zesłano go po roku 63-m za nieoficjalny, ale ważny udział w tajnym Rządzie Narodowym. Zapiski takie i z okresu wygnania i z późniejszych jego naukowych podróży po rozłogach moskiewskiego sfinksa, znajdujemy wszędzie w pamiętnikach i dziełach tego znakomitego badacza ludzi i zwierząt. Zwłaszcza interesujące nas rzeczy spotkać można w jego broszurze wydanej przed laty przeszło 30 we Lwowie, a dawno w handlu księgarskim wyczerpanej, gdzie na wstępie opowiada z życia Sybiraków osobliwe sposoby wzajemnego wypróbowywania przez nich charakteru człowieka.

Otóż przy czytaniu tego właśnie wstępu o rosyjskiej »nagiej duszy«, przypomniałem sobie żywo -- mnóstwo podobnych wiadomości, jakie zdobyłem w czasie sześćioletniego przymusowego pobytu na samej granicy Europy i Azji, w Orenburgu nad Uralem, dokąd zostałem wywieziony z Polski zaraz w pierwszych dniach

wojny światowej. Miałem tam nietylko sposobność poznać z bliska prawdziwych Rosjan-Sybiraków, ale o życiu ich nasłuchiwałem się jeszcze opowiadań Polaka, ś. p. Wacława Bieńkiewicza, który jako lekarz przebył kilkadziesiąt lat wśród nich i z nimi.

Otóż syntezą tego wszystkiego, czego się w tamtych dalekich stronach dowiedziałem, a co się zgadza i z poglądem prof. Dybowskiego, jako świetnego znawcy natury rosyjskiej, mogłoby być zdanie, że wydzierający się w obłędzie opilstwa krzyk nagiej duszy, podniesiony swego czasu do prawdziwego kultu w sferach Sztuki, nie przyszedł do nas z wyżyn kultury Zachodu, ale wżarł się w polskie życie z oparami, jakie nawiewał w nasze strony wiatr od Wschodu. Tam właśnie kult alkoholu występuje w sposób tak jaskrawy, że stosunek alkoholizmu do kultury zarysowuje się jako zagadnienie społeczne pierwszorzędne i to ogólnoludzkie — pomijając okoliczności charakterystycznie regionalne.

Każdy alkohololog zwraca dziś uwagę na to (co naukowe badania ustaliły pod każdym względem), że alkoholowy jad z niesamowitą złośliwością zbuntowanego chama rzuca się właśnie na te najnowsze, czyli najpóźniejsze nabytki duszy ludzkiej, które znamionują życia kulturę, że zatem poraża on w człowieku to wszystko, co jest w jego naturze najsubtelniejszego, najwyższego i co go tak wybitnie odróżnia od zwierzęcia.

Jest stara maksyma, przez pijaków na korzyść ich nałogu nadużywana spowodu niezrozumienia jej sensu: *In vino veritas*.

Tak jest: prawda leży na dnie kielicha, ale ta prawda, której człek na trzeźwo nie chciałby wyzwolić z więzów, a która po pijanemu zdradzi nawet te jego tajemnice, które go niejako skompromitują.

Oto z dna kielicha łeb podnoszący djabeł chyłkiem a chutnie rozdziwia pijącemu duszę z tego wszystkiego, w co się ubierał i stroił przed światem on sam w życiu własnem i czem w poprzedzającym jego żywot tysiącleciu istnienia przodków ducha i ciała stopniowo wiek po wieku okrywał nagość swej pierwotności, swej dzikości. A kiedy z wypróżnionego kieliszka cały czart wyskoczy, tak się z tem rozdziwianiem człowieka upora zręcznie, aż przed nim rychło stanie dusza naga i w takt djablego chichotu robi wszystko, co on jej każe, a nie co by sama chciała, bo ona chcieć już sama nic nie może, raz od dawnszy się jemu w niewolę.

Nie inaczej. Przecież najwcześniej pod wpływem alkoholu traci człowiek hamulce w postaci szlachetnych władz umysłowych, jak uczucie wstydu, skromności, poczucie honoru, obowiązku, które zostają rozprężone, przez co dzikie, pierwotne popędy zwierzęce, trzymane dotychczas na wodzy, zaczynają ponosić, a kiedy nagle przez alkohol spętany kierownik-rozsądek wypuści z rąk cugle siły woli — wtedy nic już nie zdoła powstrzymać katastrofy. I wszystko już teraz zależy jedynie od przypadku, co czeka na drodze — rów czy barjera, miękka murawa czy kupa ostrych kamieni, bagno czy przepaść.

A jeszcze więcej od tego zależy, jakiej rasy są konie, które pojazd poniosły — a więc jakie instynkty rodowe, jakie właściwości atawistyczne objawia się w nich w momencie krytycznym.

Życie rosyjskie, które dla psychologa stanowi tyle rozciekawiających zagadek, przedstawia i w dziedzinie kultu alkoholu przepastny bór rebusów psychicznych. W głąb ich zapuszczając się, alkohololog robi odkrycia, na których podstawie łatwo mu ustalić stosunek alkoholizmu do kultury.

Otóż wracając do wspomnianych zapisków Dybowskiego, przekonamy się, że zdobyty pracą przy winie całych pokoleń pogląd, iż na dnie kielicha zawsze leży prawda — stał się gdzieś tam probierzem nieomylnym, służącym do rozpoznawania charakteru ludzi, z którymi ma się do czynienia. I tak Sybiracy — a co do tego wynik dawnej daty badań Dybowskiego zgadza się ze spostrzeżeniami z lat nowszych i z dzisiejszemi zwyczajami tamtejszego świata — upajają swoje nowe »naczalstwo« na pijatykach ku ich czci wydawanych, żeby sprawdzić, jakimi są ich przełożeni w stanie rozmarzenia alkoholowego.

Jeżeli pijanica ślini się, całuje ze wszystkimi, to o nim powiadają, że dobry; gdy zaś plecie przy stole androny w długich oracjach — orzekają: mądrała; gdy siedzi milczący przy libacjach — mówią o nim: poważny. Gdy łąje, wymyśla — srogi; gdy bierze się pod boki i sunie trepaka: wesoły; a kiedy wszystkich innych przepije: zuch.

Poją następnie Sybiracy kolegę swego, przyjaciela, swata, wogóle każdego nowego człowieka ze swego otoczenia, ażeby się dowiedzieć o tajnikach duszy jego najskrytszych, sądzą bowiem, że natura ludzka pod wpływem wódki występuje bez żadnych obstępów, to znaczy, że jest wtedy naga.

Jeden z lekarzy, bawiący w Irkucku, starał się o rękę bardzo bogatej panny, jedynej córki właściciela kopalń złota. Przyjęto go zrazu bardzo życzliwie, ale kiedy w żaden sposób nie zdołano go nakłonić do poddania się próbie pijackiej i gdy nie chciał rozebrać swej duszy do naga, dostał odkosza. Przy naradzie familijnej oświadczonej pannie, której się trzeźwy pretendent do jej ręki, czy wiana, podobał nawet, że każdy niepijący musi mieć

w sobie coś złego, skoro nie chce swej natury na jaw wykazać.

Albo jakże charakterystyczny dla życia rosyjskiego jest opisany również przez Dybowskiego szczegół z jakiegoś przejazdu cara przez Wołyń i Litwę. Wiadomo, że każdorazowe przejście przez terytorjum caratu pociągu wiozącego tyrana Północy, wyprowadzało z równowagi wszelkie życie miejscowe po drodze, gdyż na ten czas zatrzymywano cały ruch komunikacyjny, pociąg cesarski konwojowała masa żandarmerji, a przejeżdżał on przez gęste szpalery wojsk. Otóż po takim »najwyższym« przejeździe wszyscy, którzy na rozkaz mieli »szczęście« chronić życie cara, dostawali po butelce spirytusu i przez szereg godzin wojsko, żandarmerja, kolejarze i tym podobni funkcjonariusze, wszystko leżało do cna pijane, a człowiekowi obcemu, który śmiał gorszyć się takim stanem rzeczy, wyjaśniano, że *przecież nie możnaby nie uczcić w ten sposób carskiego podarku.*

Zresztą nie bardzo trzeba było aż do tego namawiać. Oto n. p. na Kamczatce odbywa się akt odsłonięcia pomnika carskiego w porcie Pietropawłoskim. Przywiozły go dwa statki floty wojennej, których komendanci mieli dla mieszkańców wybrzeża i marynarzy wyprawić ucztę ludową taką, żeby im długo przypominała cara dobrodzieja, a więc zdecydowano dawać wódki, ile w ciągu 12-tu godzin lud zdoła wypić.

Dybowski, który nie zaniedbywał żadnej sposobności, by próbować walczyć z alkoholizmem, a którego uparte starania u władz rosyjskich na miejscu w krajach wygnania, jak i w ich stolicach, były zwykłe głosem wołającego na puszczy, próbował wyperswadować admirałom (których nazwiska późniejsze wojny głośno rozsławiły: Aleksiejew i Awelan), żeby zaniechali projektu

zatopienia tej uroczystości w wódce, ze względu na namiętność do pijaństwa ludu kamczackiego, którego życie on zbadał naukowo, lecz ci zapewnili naszego profesora, że »dla rosyjskiego człowieka niema uczty bez wódki«.

No i zatoczono beczki pod świeży posąg u brzegów zatoki i bez przekąsek masowo fetowano tłum oszalały z uciechy samemi spirytualjami od rannego nabożeństwa do wieczornego capstrzyka — aż wszystkich alkohol z nóg zwałił, jak gdzie kto padł żywym trupem. Późno w noc po tem polu zniszczenia, jakie sprawił alkohol, krążył Dybowski, jedyny trzeźwy, z latarką w ręce, chcąc jeszcze ratować ofiary carskiego traktamentu.

Takie — nieraz aż sławne po świecie spowodu żywiołowej katastrofy (jak np. pod Moskwą na Chodyńskim Polu w czasie koronacji carskiej) masowe pijaństwo, jakiego może na skalę tak potworną nie spotka się nigdzie indziej poza Rosją — ukazuje nam właśnie nagą duszę najnieszczęśliwszej alkoholizmu ofiary: narodu rosyjskiego.

Sam podobne rzeczy, acz w odmiennych warunkach, widziałem w swojej niewoli w ciągu lat spędzonych właśnie na pograniczu dwu kultur, bo na rubieżach Azji. Scena, którą tu odtworzę ze wspomnień tragicznych — jest żywą ilustracją kultu alkoholu.

Był to okres, kiedy w Rosji jeszcze biali walczyli z czerwonymi i moment, o którym mówię, to oblężenie Orenburga przez bolszewików — z każdym dniem bardziej zwycięskich. Wreszcie dało się już zauważyć, że biali szykują się do opuszczenia swego grodu. Gorączkowe przygotowania nie mogły ująć naszej uwagi. Czuliśmy wyraźnie, że wszystko dąży do ucieczki. Nakoniec wieczorem zaczął się wymarsz wojsk, za którymi ciągnęły ciężkie tabory.

O zmroku strzelanina ustała, a w tej ciszy ludność przeżywała trwogę coraz groźniejszą. Nazajutrz rano wszystkimi ulicami ciągnęli ludzie w jednym kierunku, w dolną dzielnicę miasta nad Ural. Szli mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci, a wszyscy nieśli w rękach naczynia. Ten i ów śpieszył tylko z kociołkiem, tamten z kublem, z wiadrem. Dzieci z butelkami, matki ich z ogromnemi gąsiorami, wszystko w jedną stronę.

Nad rzeką tuż sterczały mury ogromnych zakładów oczyszczania spirytusu. Magazyny były ostatniemi czasu niezwykle przepełnione. I naraz ktoś wydał rozkaz, by z kadzi wypuszczono zawartość wprost do rzeki.

Wśród nocy buchnęła z rur ciecz ostra, wonna i potokami w rzekę spływała spieniona. Komu bliżej było — poskoczył tam z miejsca. Ale wieść o tem rozniosła się zaiste lotem błyskawicy po najdalszych dzielnicach.

W ciągu paru godzin całe miasto było na nogach — na to, by w godzinę później z nóg się walić na wszystkich ulicach. Procesje ludzi z naczyniami próżnemi spotykały na każdym kroku tych, którzy wracając stamtąd, nie mogli unieść swoich naczyń napełnionych, bo już nogi nieść pod górę nie chciały pijanych.

Całe ulice zasypane były niebawem szkłem potłuczonym nad cuchnącemi kałużami, obok zaś wszędzie walały się ciała ludzkie. Ten spał cicho... Ten męczył się w wymiotach. Drugi jęczał głośno, błagając o ratunek. A ten i ów nie potrzebował już niczyjej pomocy, gestem trupim zagrządzając drogę nowym pijakom.

Kiedy nadszedł wieczór, ogarnęła miasto większa trwoga, aniżeli myśl o wejściu nieprzyjaciela. Stare kobiety znosiły do mieszkania wodę, by się przygotować na wypadek pożaru. Ale mało gdzie było w domu na-

czynie, skoro wszyscy — z czem mogli — biegli wciąż po wódkę.

Wtem całe miasto zaczęło się trząść w posadach. Huk ogłuszający trwał od kwadransa. Nie wiadano co się dzieje. Za każdym wybuchem większa panika ogarniała wszystkich. To też wybiegano na dziedzińce, na ulice, poszturchując się wzajemnie i zasypując pytaniami.

Ale już wszystkim odpowiadała krwawo potworna łuna pożaru, oświetlająca w noc miasto niby w dzień. Jeszcze chociaż rarekie, rozlegały się wybuchy nowych kadzi spirytusowych, a morze ognia szalało nad najniższą dzielnicą.

Czy nieprzyjaciół wśród tego wszedł do miasta, czy też jeszcze broniło się ono — nikt nie umiał sobie wytłómaczyć. Jedni opowiadali, że załoga cała uciekła. Inni utrzymywali, że całe oddziały wróciły i obległy kadzie spirytusowe.

Byli świadkowie, co szczegółowo opowiadali, że widzieli, jak żołnierze z kotłami, z wiadrami, wdrapywali się na kadzie, by sobie wódki zaczerpnąć — i pijani zsuwali się z krawędzi w głąb — i ginęli w środku.

A potem, kiedy szalała pożoga, w ulicach dymem napętnionych, mieszał się z wonią spirytusu smród mnóstwa palących się ciał ludzkich. Przed wyziewami tej spalenizny nie było się gdzie schronić.

Nazajutrz padła nowa trwoga na miasto. W dzielnicy handlowej motłoch pijany gromił sklepy, plądrował piwnice, rabował składy. Wprawdzie wszystko było zamknięte, zatarasowane, ale już nietylko dźwięczały szyby wystawowe, lecz dzwoniły zgrzytliwie łamane żaluzje żelazne. Kobiety pijane, jak więdźmy, jak furje, rzucały się z kąta w kąt na łatwą zdobycz, i nietylko same porwały czego dopadły — ale wszystko niszczyły, lub na

bruk uliczny wyrzucały przez drzwi i okna — dla drugich, dla nikogo.

I znowu wszystkimi ulicami ciągnęły procesje ludzkie w stronę magazynów bogatych, by się obłowić. A między motłochem uwijali się ludzie ze sfer, których nikt nie mógłby podejrzewać, że pójdą kraść i rabować — wzorem mętów społecznych.

To pod wpływem wódki wyszła z nich naga dusza, a do wszystkiego zdolna, na wszystko się ważąca, albowiem nie było wędzideł, które by ją mogły zahamować. Do cna przeżarł je alkohol.

Wśród takich to okoliczności wkroczyła do Orenburga nad Uralem czerwona gwardja i zaczęły się rządy bolszewickie. Pierwszego dnia — pamiętam — ktoś z bardzo kulturalnych ludzi miejscowych zetknąwszy się z nami Polakami, jął żalić się, że z chwilą, gdy rządy przeszły w ręce ordynarnego chama, na wszelkie dzieła Ducha plwającego z pijackiem przekleństwem — nie da się już niczem powstrzymać zagłady grożącej kulturze.

— Jakiś pan szczęśliwy — odezwał się do kogoś z nas — że kiedy będzie można stąd bezpiecznie uciec, pojedziesz sobie do własnego kraju i wspominać będziesz nas ze współczuciem, że musimy pozostać tu na zawsze, kiedy ty u siebie zastaniesz wszystko po dawnemu... w cywilizacji i kulturze.

— Nie — odparł mu Polak z przygnębieniem — mylicie się... ta zaraza z waszego kraju pójdzie wszędzie; jak swąd onegdajszej pożogi, wciśnie się każdą szczeliną. To bez wpływu minąć nie może. To wszędzie na pewien czas zatruje myśli i uczucia.

Gorzej — jeżeli potrwa, stanie się najgroźniejszym niebezpieczeństwem świata kulturalnego.

Jak w życiu jednostki ohyda pod wpływem opil-

stwa popełniana zrazu przemijająco, przemienia się rychło w chorobę, kończącą się szaleńcem i ruiną, zatrąca wszystkiego — tak i grabież pijanej tłuszczy, co się poczęła u kadzi spirytusowych, przerodziła się w system — stanowiący zagubę kultury.

Człowiek obserwowany indywidualnie jako ofiara alkoholizmu, daje nam typowe widowisko obnażania swojej duszy z wszelkich obstępów kulturalności. Człowiek w masie badany jako społeczeństwo nałogowych alkoholików i to już w długim łańcuchu pokoleń dziedziczące następstwa powszechnego rozpijaczecia — przedstawi nam niesamowity obraz zbuntowanego chama, który ordynarnie rozdziawszy swą zwyrodniałą duszę do naga, używa sobie cynicznie na brutalnem deptaniu wszystkiego co pańskie.

Stąd pochodzi jego plwanie na arystokratyzm nauki, na uświęconość tradycji, stąd rodzi się jego hasło »na pochybel inteligencji«, stąd masowy okrzyk »precz z oświatą«, stąd żywiołowe rwanie więzów kultury, stąd wreszcie nienawistne tępienie etyki i religji.

Bolszewizm, który jest buntem ordynarnego »chama« Wschodu przeciwko »pańskości« kultury Zachodu — to delirium tremens narodu-alkoholika. I jeżeli ze spokojem cierpliwości zaczniemy wnikać coraz głębiej w istotę narkozy powszechnej, porównywując następstwa indywidualne z objawami społecznymi alkoholizmu — dojdziemy do przeświadczenia, że to jest właściwie wynik całkiem naturalny masowej choroby, jak u jednostek chorych nieuniknione bywają owe osobliwe psychozy w stanie obłądzenia opilczego.

Miedzy właściwymi alkoholikom cechami taki znawca rzeczy jak wspomniany Dybowski wymienia dążność z jednej strony do służalstwa niewolniczego, z drugiej do de-

spotyzmu tyranów. Dalej, czyny wszelkie nacechowane nienawiścią i zemstą mają przyczynę w alkoholizmie. U pijaków rozwija się popęd do okrucieństwa, mają upodobanie w znęcaniu się barbarzyńskim nad istotami od siebie słabszymi.

Podobnie popęd do złodziejstwa, do grabieży, to tylko następstwa alkoholizmu. Człowiek pierwotny przywłaszczał sobie cudzą własność bez żadnych skrupułów. I ten atawistyczny złodziej i okrutnik dziki siedzi w człowieku cywilizowanym w zupełnem utajeniu, dopóki alkohol nie strzepnie jak fatałaszaków całego garnituru skrupułów kultury z jego istoty. A naówczas naga dusza hula — niby dziki koń po kozackim stepie.

Jak nałogowy złodziej bywa z reguły nałogowym pijakiem, tak masowa grabież nie zdarzała się na trzeźwo. Wszystkie egzekucje krwawe, strzelanie do ludu, jak całe barbarzyństwo wojenne (a także myśliwskie) odbywa się zawsze i wszędzie pod bezpośrednim wpływem alkoholu. Gdy wysyłano w okresie naszych powstań oddziały wojsk na mordy i pożogi do siół Polski i Litwy, regularnie upajano żołnierzy. Oficerowie gwardyjscy wysyłani na łowy przechodniów po ulicach miast zrewoltowanych — zataczali się z upicia; kozacy siekący nasze niewiasty nahajkami, zwycięscy Warszawy, jak sprawcy rzezi Pragi; żandarmi torturujący setkami różeg naszych więźniów — wszak wszyscy bywali pijani. Słynny Suwarów toć pijanica, który skakał i piał po koguciemu ku ucieście swoich żołdatów. Murawiew Wieszatiel zalewał się arakiem, podobnie jak Nowosilcow, jak ci wszyscy poprzednicy tyranów sowieckich — byli notorycznymi pijakami i jako tacy słynęli ze złodziejstwa i brutalnej samowoli; z ochoty do mordu i znęcania się okrutnego, z potwornego zwyrodnienia i spaczenia instynktów.

I naród rosyjski, liczący wśród synów swoich tylu ludzi szlachejnych i słusznie zażywających sławy w świecie kulturalnym — musi oczywiście tylko wstydić się takich osławionych »rodaków«.

Jeżeli mowa o spaceniu instynktów, to Dybowski znał studentów - pijaków, którzy bez wstrętu zjadali padlinę leżącą po drodze na wiejskich wycieczkach i chwaliли się, że potrafią zjeść kawałek mięsa wykrojonego ze zgniłego trupa ludzkiego w prosektorjum anatomicznem. Do tego stopnia alkoholik staje się nieczułym, niewrażliwym na wszystko to, na co reaguje człowiek kulturalny — a brak wrażliwości fizycznej i moralnej idą z sobą w parze. Chłód i gorąco, dym i smród, wyziewy cuchnące alkoholu, amonjaku i siarkowodoru, przepełniające lokale knajp, w których najchętniej przebywają po kilkanaście godzin bez przerwy, stać się mogą dla nich rozkoszą.

Dopiero dziś, gdy wiedza rozświetla skutki wpływu alkoholizmu na psychiczną stronę życia człowieka, znaleźliśmy klucz potrzebny do zrozumienia ciemnych kart dawnej historii świata; klucz, który nam również drzwi otwiera do tego labiryntu zagadek psychologicznych, jakim jest dzisiaj świat powojenny. Jego naga dusza staje przed nami w świetle najnowszych badań alkoholologii jako potworne następstwo odwiecznego w niektórych krajach i powszechnego rozpijaczek — i ostrzega jak tragiczne memento, że do zatyry kultury prowadzi kult alkoholu.

On w dziejach ludzkości pozabijał nietylko ludy na szczyblu cywilizacji pierwotnej w onych praczasach, o których nie wiemy jaką miewał wtedy nazwę, ale i narody czcicieli wina na tak wysokim stopniu kultury, jak n. p. w historycznej starożytności Rzym. Nowsi badacze przy pomocy alkoholologii coraz częściej decydują się na wysu-

wanie tego właśnie motywu przy ustalaniu przyczyn upadku państw i marnienia narodów.

Z dziejów Grecji widzimy, że kult alkoholu odgrywał w jej życiu rolę bardzo ważną. I tam już przerażając się jego następstwami, występowano przeciwko niemu, nie pozwalano tedy używać wina kobietom ni młodzieży. Lacedemonicy wiedzieli jak ono działa niekorzystnie na hart duszy, więc zabraniali go pijać, a chcąc na przykładach wykazać upadlające skutki pijaństwa, poili rożmyślnie pogardzanych niewolników, ażeby wśród swojej młodzieży wzbudzić tem odrazę do napojów alkoholowych.

Jak pili Macedończycy, świadczy turniej opojów urządzony przez Aleksandra, Wielkim zwanego, kiedy przeszło 40 szermierzy wraz z rekordowym zwycięzcą konkursu, padło wybitych przez ukrytego w puharach wroga.

Kiedy w Europie stały narody jeszcze na stopniu kultury kamienia łupanego, już Chińczycy pędzili wódkę z ziarn prosa i ryżu, i po dziś dzień każdy folwark chiński w kraju usuryjskim ma zawsze małą, prymitywną gorzelnię dla użytku domowego.

Widzimy tedy, że alkoholizm od wieków niepamiętnych był i jest po dziś dzień powszechną słabością ludzką, grzechem pierworodnym i grzechem śmiertelnym, jak się o nim wyrażał Dybowski, a zarazem klęską straszną dla społeczeństw — i dlatego prawodawcy tacy jak Mahomet czy Mojżesz, nie mogli przechodzić nad nim do porządku dziennego.

Faraonowie w Egipcie, królowie Babilonu i Niniwy pili i przykładem zgóry rozpijali swoich poddanych, doprowadzając z czasem do upadku najpotężniejsze mocarstwa świata.

Dzięki badaniom archeologicznym wydobyto z pod ziemi w południowo-zachodniej Azji zabytki państw wiel-

kich niegdyś, spoczywające całe dziesiątki stuleci pod ochroną warstw naniesionych ljasu i tam obok murów miast obejmujących przestrzeń kilka razy większą od dzisiejszego Paryża, obok olbrzymich pałaców, wspaniałych świątyń, haremów, wiszących ogrodów, posągów, malowideł i wszelakich ozdób, odkryto całe biblioteki, w których archiwa spisane na cegiełkach wypalanych dają świadectwo nie tylko o życiu ludów dawno zeszyłych z widowni świata, ale obchodzące nas właśnie dowody, że napoje alkoholowe na ogromną skalę wyrabiano już wówczas z daktylów, fig, jagód winnych; że oprócz win pędzono z ziarn zbożowych wódkę i sycono miody.

Już ówcześni zwycięscy królowie, nakładając kontrybucje na pokonanych sąsiadów, obok złota, srebra, tkanin, wielbłądów, koni, zboża i t. p. — wymagali jeszcze okupu składającego się z napojów alkoholowych, a więc i ludy, które umiały okupywać się winem i wódką, znały się zapewne dobrze na wartości tego rodzaju trunków.

Dowód zaś jaką kult alkoholu wytwarzał kulturę, znaleźć możemy w owych archiwach cegiełkowych spisanych przez historjografów z urzędu, np. w jednej z samochwalczych opowieści tak głośnego monarchy despoty, jak Atsunarsipał, gdy zdobywał miasto Saru i gdy na jego mieszkańców padła — jak tam czytamy — trwoga przed chwałą Assura, jedynego boga prawdziwego, i gdy nieszczęśni pokonani, do nóg mu padając u bram miasta, wołali: będziemy mówić językiem twoim, będziemy czcić bogów twoich, wyrzeczemy się całej przeszłości swojej, bylebyś ocalił życie i mienie nasze...

A w odpowiedzi na to tyran wylicza, co za masy łupów wszelakich pobrał z pałaców i świątyń zdobytych, jak majątki ziemian i dobra kościelne pozajmował na własność lub sługom podarował — i wreszcie mówi tak:

Zbudowałem na placu piramidę, poczem wszystkich, którzy się buntowali, odarłem ze skóry i temi skórami okryłem piramidę. Jednych kazałem wmurować w środku piramidy, innym przebijałem wnętrzości na jej szczycie, a innymi, na pal wbitymi, obsadziłem wokół piramidę.

Przed wyjściem z miasta jeszcze wielu odarłem ze skór, żeby niemi okryć wały cytadeli, gdzie odtąd wiejszać mają buntowników, a wyższym urzędnikom poodcinałem członki. Po zdobyciu miasta Kmabu nie zostawiłem przy życiu jednej istoty z jego obrońców: wymordowałem mieczem, a resztę spaliłem na stosie.

Znowu gdzieindziej powiada: Z ciał wyrzniętych do nogi mieszkańców zbudowałem piramidę, młodzież i dzieciwice spaliłem na popiół, a władcę miasta odarłem ze skóry.

W taki to sposób na zgłiszczach miast spustoszonych, na popiołach ludności spalonej, zaprowadzał porządek jeden z ówczesnych tyranów, który mężom stanu wykoływał własnoręcznie oczy i to swoje barbarzyństwo, dyszące potwornem okrucieństwem, kazał rylcem uwieczniać.

Otóż czy u takich wyrodków ludzkich można czemkolwiek innem wytłumaczyć stan niepoczytalności, w jakiej tego rodzaju aktów mogli dokonywać, jeżeli nie do ostatnich granic doprowadzonym alkoholizmem?!

On jeden tylko — jak o tem wszelkie badania naukowe nas przekonywują — potrafi zamienić człowieka szlachetnego i rozumnego w bestję gotową do okrucieństw barbarzyńskich, do jakich niezdolny jest zwierz najdzikszy. To jest ów moment, gdy pod wpływem alkoholu wyłazi z człowieka jego naga dusza.

Widzieliśmy ją w dziejach swojej martyrologji narodowej, jak w dzikim paroksyzmie delirium tremens na

starców bezbronnych, na dziewice i dzieci rzucała się w postaci pijanych siepaczy czy otępiałych z alkoholu oprawców.

Na pięć wieków przed Wrześnią, hakatą i innemi pomysłami berlińskiemu wywłaszczenia Polaków z ojcowizny, niemiecki mnich Johann Falkenberg zwrócił się, a było to w parę lat po Grunwaldzie, do wszystkich monarchów świata z charakterystycznym pamfletem. Ta syneza ducha ich dziejów jest typowym krzykiem nagiej duszy opojów, zarówno w erze rozbójników krzyżackich, jak w epoce wiernych poddanych notorycznego i dziedzicznego alkoholika na tronie, sprawcy największej w dziejach świata rzezi.

Otóż w pamflecie owym czytamy, że król Jagiełło jest bałwanem, a Polacy bezecnemi psami, których jako odstępców wiary tępić jest większą zasługą, niżli pogan. Kto z monarchów pozwala Polakom w chrześcijaństwie broić, pójdzie w ogień zniszczenia. Toteż monarchowie świata bez żadnego względu powinni wszystkich Polaków wraz z ich królem wytępić ogniem, a na szubienicach do słońca powywieszać ich szlachtę. Polacy zelżyli majestat Boski. Na odszczekaniu winy poprzestać, to za mało. Trzeba ich zmieść, zetrzeć, by nie zostało śladu — ausrotten, ausrotten.

Tak dosłownie pisał mnich Falkenberg do »godnych chrześcijan duchownych i świeckich, aby za zagładę Polaków otrzymali żywot wieczny«.

Czyliż nie przewija się przez całe dzieje ta dzika pieśń: ausrotten? A jeżeli uwzględnimy różnice kultury i ogromny wieków przedział, to nam się wyda, że niczem treść jej nie różni się od owego hymnu na cześć barbarzyństwa, jaki w obłędzie opilstwa piał tyran asyryjski, własnoręcznie wykluwający jeńcom oczy.

Jakimże tedy kwiatem najprawdziwszej kultury będzie postawiony dla kontrastu obok tamtych wyczynów państwowych okrutnego barbarzyństwa, przykład odrębnego ducha dziejów pełnego szlachetności, jak polski akt Unji Horodelskiej:

»Nie dozna łaski zbawienia, kto się na miłości nie oprze. Miłość jedna nie działa marnie; promienna sama w sobie, gasi zawiści, osłabia urazy, daje wszystkim pokój, łączy rozdzielonych, podnosi upadłych, gładzi nierówności, prostuje krzywizny, wspiera każdego, nie obraża nikogo i ktokolwiek się schroni pod jej skrzydła, znajdzie się bezpiecznym i nie ulęknie się niczyjej groźby.

»Miłość tworzy prawa, rządzi królestwami, zakłada miasta, prowadzi do dobrego stanu Rzeczpospolite, wydoskonala cnoty sprawiedliwych, a kto nią gardzi, ten wszystko utraci«.

Oto na takich wyżynach kultury prawdziwej była dusza narodu polskiego w swoim złotym dziejów wieku, zanim nie wszczepił w nią kultu alkoholu wiecznie na jej zagładę niby czart czyhający sąsiad.

Dobrze zaobserwujemy w Polsce następstwa coraz powszechniejszego w narodzie alkoholizmu za Augustów, a kiedy po szalonych ostatkach saskich nastąpiła tragedia rozbiorów, z trudem tylko zmagął się naród w niewoli z działaniem jadu, jaki w żyły jego tężyzny sączyli zaborcy przez rozpijanie ludu.

Widzimy na każdym kroku, że właśnie z postępem cywilizacji kult alkoholu zatacza kręgi coraz szersze, ale pod jego wpływem właściwa kultura cofa się i zanika, a natomiast w momentach, gdy maska fałszywej kulturalności opada, krzyczy przeraźliwie ta alkoholem do głosu przypuszczona naga dusza pierwotnego barbarzyńcy, zdolnego dziś — jak widzieliśmy wszędzie pod-

czas wojny światowej, czy w rozpętaniu rewolucji, do aktów, w swej dzikiej brutalności nieustępujących postępcom najokrutniejszym ukoronowanych opilców Wschodu z przed lat tysięcy.

Prusacy odchodząc po klęsce wojennej ze zrabowanych w Polsce ziem zachodnich, zostawili mnóstwo urządzeń cywilizacyjnych: gościńce, koleje, poczty po wsiach, bruk i elektrykę po miastach, okazałe dla szkół gmachy.

Ale spróbujmy zajrzeć w głąb życia tych dzielnic, a każdy dzień bliższego obcowania z ludźmi i zaglądania za firankę ich codziennego trybu, przekona nas, że po Niemcach, tyle wykrzykujących o wnoszeniu na nasze ziemie kultury, pozostał i wżera się w życie polskie przesąd, że używanie alkoholu na codzień, to objaw dobrobytu i kultury.

Carski sługa w roli zaborcy opuszczając po pijanemu Polskę, mało co miał do zostawienia ze stworzonych przez siebie urządzeń cywilizacyjnych, a i to jeszcze, co było śladem starej naszej kultury, niszczył po barbarzyńsku, burzył, palił. Niestety, cofając się, nie mógł już zabrać z sobą tego, co przez wiek najazdu na polskiej ziemi uroniła jego naga dusza w ciągu wieczystego pijaństwa.

To ów fatalny kult alkoholu deprawujący ducha narodu, przesycający nas do szpiku zgnilizną moralną.

I oto właśnie największe dla przyszłości naszej niebezpieczeństwo — to ten pijacki, kabaretowy, rewjowy, karczemny wrzask z polskiej kultury odartej nagiej duszy, który napełniać zaczyna życie prywatne i publiczne, zapanował już w literaturze i sztuce — i po kolei tłumi wszystko, co dotychczas było świętością.

To też kult alkoholu zwalczając — bronimy kultury, ocalamy chrześcijaństwo, ratujemy Polskę.

Polskie być albo nie być.

Mówią dzieje ludzkości, że zawsze źle bywało, gdy nie chciały narody słuchać swoich proroków.

A proroka słowo nie zawsze o świątyni mury odbija się echem; nie musi rodzić się w pustelni samotnika; ulatać w świat z celi klasztornej.¹ Czasem się latami męki wykuwa w pracowni uczonego. Niekiedy błyskiem jasnowidzenia rozświeśla mroki rozdroży społecznych, gdy przez usta męża stanu jak grom pada z mównicy publicznej.

Bywało, że gościniec pochodów przyszłych wieków wskazała wzniesiona nad rycerstwa zastępy buława hetmańska. Tak różnorodne opończe narzuca Opatrzność na ramiona wybranych przewodników ludzkości. Jenó nie zawsze naród swojego zrozumie proroka.

Bywa niejeden jako sfinks między wieków piramidami, stojący w pośrodku zawieruchy dziejowej: on dobrze zna cel, jemu jutro nie tajne; ale milczy on i czeka, aż się wszelakie zło wypełni, a wówczas dopiero jego wybije godzina, jego czyn wyprowadzi z chaosu. Inny zaś, byle kamień przydrożny zamieniwszy na ambone, ciska w tłum słowa proste, jasne jak groty słoneczne i serca niemi przenika, targa sumieniami. Aliści lud niby głaz martwy, na żar ognia z nieba nieczuły — odchodzi robić swoje.

Innych wreszcie proroków słowo objawione, zanim do dusz ludzkich ma trafić, przejść musi poprzez filtry Sztuki, a natenczas zdarza się często, że się wszelkie potęgi zła sprzysięgną, byle słowo one zataić przed narodem, przynajmniej opóźnić lub zagłuszyć, choćby pomniejszyć, po swojemu wypaczyć. Tak trudno przewodnikowi ludzkości bywać wysłuchanym.

I dlatego dzieje rodu człowieczego są wieczystą tragedją zbłądzeń na dróg rozstaju — spowodu przeoczenia lub nieumiejętności odczytania napisu na jedynym drogowskazie. Walka dobra ze złem toczy się dalej ze szczęściem zmiennem. Jeno nie każdy naród może sobie pozwolić pod grozą zagłady na triumf zła.

Że niejeden orlego wzroku patriota polski, wgłąb myśli sięgnąwszy, zrozumiał, iż właśnie naszemu narodowi zwycięstwo zła groziłoby naprawdę zatrata — to nic dziwnego. Jeżeli jednak zdaje sobie z tego sprawę znakomity cudzoziemiec, to do postawienia Polsce tak trafnej djaagnozy życiowej doprowadzić go mogło wielkie serce altruisty i wielki umysł mędrca, bardzo szerokie ogarniający widnokreśli życia ludzkiego.

Tak właśnie aż na dno naszej duszy narodowej wzrokiem genialnym zajrzał mąż sławny, którego trumnę złożyła Francja w swoim Panteonie obok Napoleona.

Mówię o Marszałku Foch'u.

Że dowodził armją tak liczną, jakiej przed nim nie miał pod swemi rozkazami żaden wódz naczelny; że stał się zwycięzcą w bitwie tak wielkiej, jakiej nikt przed nim nie stoczył — to świadczy, że był niezrównanym strategikiem. Ale, że jemu przypadła w udziale ta epokowa rola w gigantycznym boju dwu światów o przyszłość ludzkości — to dowodzi, że Foch w jej dziejach jest postacią opatrnościową.

Otóż ów cichy i skromny, a w pełni tego słowa potężny hetman wojsk sprzymierzonych dla zdruzgotania ogarniającego świat systemu triumfu siły nad Prawem, gwałtu nad Sprawiedliwością, zła nad Dobrem, materji nad Duchem — zaiste był jednym z proroków, których Bóg zawsze w chwili właściwej na ziemię posyła w przebraniu różnorodnem.

On sam najtrafniej to osądził — gdy kardynałowi Mercier na mowę o jego genialności odpowiedział:

— Nie — ja byłem tylko w Bożej ręce narzędziem.

Zdanie tego wielkiego generała nad generałami, którego dusza gorzała serdecznem umiłowaniem idei pacyfizmu: zdanie tego wypróbowanego przyjaciela Polski, którego wiara głęboka — niby prostaczka z kompanji pątników — na kolanach trzymała przez cały czas mszy w kaplicy jasnogórskiej w gorącej za Polskę modlitwie; jego — powiadam — zdanie o tem, co nas czeka — to spojrzenie orlej żrenicy w daleką przyszłość narodu.

On z wyżyn swej wielkości duszy widział przed Polską gościniec szeroki, daleki, w jasne jutrznie wiodący — ale pod jednym warunkiem: że w narodzie naszym zatriumfuje idea etyczna, dla której on zwycięstwem swoim odwalił kamień, naoścież otworzył bramy.

Oto posłuchajmy, co mówił Foch do Polaków — jako jeden z tych proroków, których słowa przestróg zwykły ludy słuchać obojętnie albo już za późno.

Było to w pierwszych latach naszej odzyskanej niepodległości.

Niedawno dopiero z ziem polskich odpłynęły — »cudem Wisły« pod Warszawą zatamowane — fale mętne olbrzymiej powodzi hord bolszewickich. Od polskiej piersi odbiły się i opadły już bezsilne. Ocaliliśmy Europę kul-

turalną, a przez nią i cały świat chrześcijański przed za-
lewem dziczy, która niosła tchnienie szatańskiego zła.

Właśnie wracali do domów nasze wojska zwycię-
skie po rozgromieniu wrażego najazdu — gdy do Paryża
wybrali się dwaj polscy Arcypasterze.

Poszli złożyć hołd Foch'owi. Ledwie zdążyli się przy-
witać, już marszałek jął mówić o Polsce, rozbierać głą-
boko zadania, jakie po zwycięstwie warszawskiem cze-
kają nasz naród. Niejako w natchnieniu przemawiał długo
do dostojników duchownych, z patriotyzmu dobrze mu
znanych, używając — jak oni wyrażają się o tej jego mo-
wie — proroczych tonów naszego Skargi.

Treścią słów Foch'a było to jedno, że musimy wszel-
kich sił użyć w narodzie na to, by skruszyć potęgę zła
moralnego.

— Powiedzcie Polsce — wołał z głębokiem prze-
jęciem — że dzisiaj jest to wasze »być albo nie być«.

Co? Otóż, albo sami na nic skruszymy potęgę zła,
albo to zło, jak rdza zeżre w nas hartowną stal polskiej
duszy narodowej.

A więc być nam, albo nie być. Albo ze złem
walczyć uparcie, bohatersko, nie dać mu się za żadną
cenę, we wszystkim pokonać je, zwyciężyć: — albo pa-
trzeć na jego w społeczeństwie postępy bezradnie i przez
tę swoją bezczynność ulec jego potędze, a wtedy zmar-
nieć, upaść i jako naród zniknąć z powierzchni ziemi,
dać się zatracić pod kopytami najazdu jakichś Hunnów
przyszłości.

Zastanówmyż się, jak wygląda ten ogrom zła, które
mogłoby nas pochłonać, niby trzęsawisko. Bądź co
bądź po wojnach i rewolucjach wieku dwudziestego
niema już dziedziny życia osobistego czy społeczne-
go, w którąby się nie wdarło zło moralne w stopniu

tak znacznym jak nigdy poprzednio. Gdzież tego przyczyna? W czym źródło?

Otóż inteligenta, któryby pragnął zajrzeć do tego źródła — najlepiej posłać na kurs alkoholologii. Niechby posłuchał tam systematycznych wykładów uczonych specjalistów. Każdy wykład będzie krzyczał w niebogłose potwornością cyfr statystyki, która wszelkie wykrętne argumenty przeciwnika w puch rozbija swoją straszną prawdą.

A więc staje powaga na niwie prawniczej i udawania, że wszelka zbrodnicość, wszelka wogóle przestępczość ma dziś właściwie źródło w kieliszku; że gdyby to źródło wyschło, nie mieliby co robić adwokaci ni sądownicy, możnaby prawie zamknąć więzienia, nie byłoby potrzeba utrzymywać ogromnej armji policyjnej. Okazuje się, że cały tak skomplikowany i kosztowny aparat sądowy wraz z mnóstwem dziedzin życia państwowego z nim właśnie związanych — istnieje bezpośrednio lub pośrednio, tylko spowodu alkoholizmu.

Dalej staje inna powaga naukowa, znakomitość na polu medycyny, specjalista sławny w zakresie neurologji i psychjatrji. Ten wyjawia tajemnice, których zdradzić nie mógłby kapłan z obfitego plonu swego konfesjonału. Referuje, nawet niejedno demonstrując, z własnych doświadczeń naukowych, z własnej praktyki lekarskiej, takie rzeczy, na których podstawie dochodzi się do wniosku, że cała dzisiejsza psychjatrja ma źródło w alkoholizmie — i że gdyby go wcale nie było, to możnaby zamknąć domy warjatów, sanatorja nerwowych, nawet większość wogóle szpitali, podobnie jak zakłady wychowawcze i poprawcze dla dzieci anormalnych, nawet przytułki dla podrzutków, wreszcie część sierocińców; całą zaś armję

pracowników tyłu kosztownych instytucyj dziś niezbędnych — zaprzątnąć czemś społecznie pożyteczniejszem.

Jednem słowem, najnowsza nauka z matematyczną ścisłością, zwłaszcza dzięki nowoczesnym zdobyczom statystyki, stwierdza, że kataklizmowa powódź zła moralnego i — co za tem idzie — także materialnego, tryska z zabójczego źródła dzisiejszej narkomanji powszechnej; źródła, bez którego ludzkość współczesna obywać się nie chce, mimo, że nauka ją ostrzega, iż w następstwie tej plagi ziemia zacznie się wyzbywać człowieka, skoro już coraz trudniej o ludzi na duchu i ciele zdrowych, choćby pośrednio skutkami jadu alkoholowego nie wyniszczonych.

Oto źródło zatrute, skąd piekielną moc swoją czerpie rozpanoszona dziś po świecie potęga zła moralnego, potęga, którą Foch radzi Polsce skruszyć za wszelką cenę — jeżeli nie chcemy, by ona skruszyła w nas ducha. To nasze polskie być albo nie być.

Publicysta, który stał się uczestnikiem kursu alkoholologii dla inteligencji, wyszedłszy z ostatniego wykładu, mógłby sobie powiedzieć: Skoro dane mi było poznać źródło istotne przyczyn wszelakiego zła, winienbym wołać głośno: niema sprawy ważniejszej nad walkę z alkoholizmem. Toteż pracę we wszelkich dziedzinach należy zaczynać od tego, by najpierw uświadomić ludzi, że alkoholizm jest żywiołem zniszczenia.

Dopóki społeczeństwa nie uświadomimy, jak straszne jest to niebezpieczeństwo — dopóty nie mamy nawet prawa ciskać w nie piorunami oburzenia, ani gorzyć się coraz głębszym jego upadkiem. I dlatego gdyby się dało — należałoby zaprzęgnąć do tej walki coprędzej wszystkich bez wyjątku działaczy społecznych, a przede wszystkim kobiety na tej niwie pracujące — oczywiście

wprzód przemieniwszy każdą i każdego w abstynentów bezwzględnych — własnym przykładem świecących przy propagandzie.

Ksiądz przy katechizacji i nauce religii, na egzorcie, na rekolekcjach, w kazaniu niedzielne i na misjach, od ołtarza i u konfesjonatu, niechby korzystał z każdej sposobności dla szerzenia wśród wiernych tej prawdy, że wszelki grzech rodzi się w kieliszku. Nauczyciel w szkole i poza jej murami, zarówno wtedy gdy uczy dopiero abecadła, jakoteż gdy przygotowuje już do egzaminu dojrzałości, niechaj pamięta, że w jego rękach niby wosk da się ukształtować przyszłe pokolenie narodu, że od niego jako wychowawcy, właśnie zależy, czy to będzie pokolenie zdecydowanych abstynentów, szerzących w społeczeństwie ideę walki z alkoholizmem, czy też następne generacje marnieć będą coraz bardziej jako ofiary narkozy spirytusowej.

A nikt niema tyle okazji do ciągłego wpajania w najpodatniejsze jeszcze umysły, w najwrażliwsze właśnie w wieku młodocianym serca i dusze pamiętnej już na całe życie dalsze zasady moralnej, co jest dobre, a co złe, i skąd wszystko zło dzisiejsze płynie.

Jeżeli dziecko, któremu powiedziano w szkole, czemu nie należy psu wyłupić oka, ni strzelać do skowronka nad rolę śpiewającego — zapamięta sobie to nazawsze z dobrym skutkiem, dlaczegoż by nie miało zapaść mu w głąb duszy na wszystkie przyszłe lata pouczenie przez nauczyciela, czemu to nie należy nigdy zajrzeć do kieliszka.

A pamiętajmy, że ten nauczyciel ma co krok sposobność — kropla po kropli drażnić w duszy swego ucznia ów misterny otworek, przez który do całej jego istoty przeniknie na zawsze przekonanie o bezwzględnej

szkodliwości alkoholu. Boć pedagog zacznie sobie grunt pod tę naukę przygotowywać już w epoce bajeczek elementarnych, a przypominać to będzie potem uczniom w sposób urozmaicony, coraz to z innej strony rzecz oświetlając — przy lekcji higieny albo gimnastyki lub literatury i śpiewu, przyrody i etyki, czy historii i geografii, gdyż niema doprawdy przedmiotu, którego by się nie dało użyć w szkole w rozumnej propagandzie idei walki z alkoholizmem przez uświadamianie o jego różnorodnem niebezpieczeństwie i o zawsze złych następstwach.

Jak z jednej strony kościół jest uzupełnieniem domu i szkoły w sprawie wychowania człowieka, tak z drugiej ważną rolę w wychowaniu obywatela spełnia w państwie i armja, przez którą przechodzi prawie każdy mężczyzna. I znowu czego jeszcze nie dokonało duchowieństwo i nauczycielstwo — temu dopomóc może w pewnej mierze służba w wojsku, o ile armja zamieni się poniekąd w szkołę alkoholologii teoretyczną i praktyczną, i o ile mundur wojskowy stanie się dla narodu synonimem żywego przykładu trzeźwości. Musi ją szerzyć i przestrzegać surowy rozkaz dowódcy-abstynenta, podobnie jak wyrok sędziego, obrona adwokata, rozporządzenie policyjne czy okólnik ministerjalny.

To samo, co powiadam o wojsku, na lądzie, wodach i w powietrzu, jako jeszcze niezbędnej do czasu obronie narodowej, to samo w całej pełni mogłoby się odnosić do armji urzędniczej.

I znowu dopóki abstynencja — przestrzegana dziś dla pilota na aeroplanie wojskowym — nie będzie obowiązywała funkcjonariuszów państwowych od ministra do woźnego — dopóty zło moralne, którego tak dla naszej Rzplitej bał się Foch w swej genialnej mądrości, przetrwać będzie jak rdza olbrzymią maszyną administracyjną.

To samo z przemysłem, handlem, nawet rolnictwem. Dopóki głównym filarem, na którym się one u nas wspierają dzisiaj, będzie olbrzymia butelka, dopóty nietylko kruche muszą być ich podstawy, ale też dopóty zalew zła moralnego z tego źródła płynący, grozić będzie naszemu istnieniu narodowemu.

Do takiego wniosku dojść musi publicysta po wysłuchaniu referatów kongresu alkoholologicznego, czy choćby tylko po zaznajomieniu się z treścią wykładów kursu dla prelegentów do walki z alkoholizmem. A wówczas gdy sobie to wszystko uprzytomni — wołałby chętnie pod adresem działaczy publicznych: Rzućcie wszystko inne na pewien czas — dopóki ta idea nie zatriumfuje i na wszystkie strony głoście grożące nam niebezpieczeństwo od tego wielkiego wroga, co się czai na dnie małego kieliszka.

Niechaj lekarz, najbardziej do tego powołany, wpaja w społeczeństwo świadomość, że nietylko temu zaszkodzi butelka, kto ją sam wypróżnił, ale i tym, co nic nie zawinili — a za rodziców alkoholików cierpieć będą całe życie. Niech ekonomista roztacza na wiecach publicznych zatrważający obraz ruiny materialnej, jaką niesie z sobą alkoholizm nie dla tych tylko jednostek, które w nałóg popadły, ale dla całego społeczeństwa, dla państwa. Niech prawnik nie tai przed narodem grozy położenia wytwarzanego przez narkotyzowanie się ludzi; niech głośno powie, ukrywaną w interesie szynkarzy, prawdę — co jest prawie jedyną przyczyną, dla której trzeba z podatków obywatelskich utrzymywać policję, sądy, więzienia, domy szaleńców i paralityków, szpitale gruźlików, weneryków i inne nieprzeliczone zakłady opieki społecznej.

Niechaj działaczka społeczna zmobilizuje wszelką akcję w tym jednym kierunku: przekonania ludzi skąd się biorą wszystkie ich niedomagania i co sprawia stałe

bolączki, na które się narzeka, którym chciałoby się zaradzić — a nie dostrzega się uniwersalnego; ich źródła, które jako studnię zatrutą, wiecześnie epidemie roznoszącą, trzeba przedewszystkiem zasypać raz na zawsze.

O tem niech mówi broszura popularyzatora wiedzy i odczyt społecznika. Niech tego pełną będzie literatura beletrystyczna, niech to się stanie tematem sztuk pięknych. Niech teatr i kino snują dokoła tego bogatego tematu dramatycznego kalejdoskopowe obrazy, któreby tłum zaciekawiając, wzruszały, porywały — i przez rozrywkę pouczyły, przekonywując, nawracały, uzdrawiały.

Tak samo radio, które z każdym miesiącem zdobywać sobie będzie coraz szersze rzesze codziennych słuchaczy, niech ono idzie na usługi tej życiowej propagandy: niech fale eteru rozbrzmiewają raz za razem tą tragiczną pieśnią hamletową, którą Polsce współczesnej rzucił w testamencie życzliwości przyjaciel francuski: To wasze być albo nie być!

Cóż jednak wszystko to pomoże — jeżeli mamka i piastunka dzisiejszego społeczeństwa, jego codzienna wychowawczyni i mistrzyni — prasa — milczeć o tem będzie? A czyż może ona nie milczeć?

Chciejmy zrozumieć jej trudną rolę. Oto może niejednen redaktor zdaje sobie sprawę, że tak jest istotnie, że zatem należałoby pisać o tem, co grozi społeczeństwu, jeżeli nie zaprzestanie używać napojów spirytusowych. Cóż, kiedy dziennik jest własnością konsorcjum, którego np. większość akcji posiadają jeżeli nie szynkarze w dosłownem tego słowa znaczeniu, to kapitałiści związani z przemysłem tego rodzaju.

Powiedzmy, że inny dziennik należy do człowieka, który nie ma nic wspólnego z właścicielem gorzelni, browaru, fabryki likierów, restauracji, kawiarni, czy jakiej-

kolwiek innej spelunki pijackiej. Jest zatem niezależny od fabrykantów wódek i właścicieli koniakowych kabaretów.

Ba, niezależny. A ogłoszenia, z których duże dochody pozwalają mu pokrywać koszty piór pierwszorzędnych i informacji natychmiastowych. Jakże obejść się bez tych anonsów niezawodnych, zawsze płatnych w terminie — a reklamujących wina, piwa, wódki, ich fabryki i miejsca sprzedaży — eleganckie handelki i szynczki popularne, modne... Więc redakcja milczy o grozie alkoholizmu. Bo gdyby się zdecydowała w dziale swoich artykułów wołać »nie pijcie!« podczas gdy w dziale ogłoszeń płatnych wszystko krzyczy: »pijcie« — znalazłby się czytelnik dziennika w położeniu owego nieszczęsnego alkoholika, który popadłszy w halucynację, słyszy w każdym uchu głos inny: z jednej strony namowę do butelki, z drugiej zaś przestrozę przed nią — i nie wie, którego głosu posłuchać.

O takim właśnie tragicznym dwugłosie powiem jeszcze ciekawe słówko na zakończenie. Otóż podczas kursu alkoholowego zaprowadzono słuchaczy na jeden z wieczorów do kliniki neurologicznej znakomitego psychiatry Piltza. W ciągu parogodzinnego świetnego wykładu tego profesora z demonstracjami chorych, uczestnicy kursu przeżywali chwile, które im na całe życie zostaną w pamięci. Kilku młodych księży wychodząc stamtąd, zapewniało mnie, że kurs całoroczny nie byłby im dał praktyczniejszej nauki — nad to, czego tam doznali.

Oto wśród żywych okazów patologicznych, jakie im przedstawiono, jeden zwłaszcza wywarł wrażenie niezwykle silne. Alkoholik w tej klinice leczony zwierzał się publicznie ze swego stanu. A więc do lewego ucha szepce mu głos diabła namowy złe, do prawego zaś głos

anielski sący radę dobrą. Cóż za mękę ten biedak przechodzi, gdy w lewym uchu słyszy zapewnienia, że tamten głos z prawej strony — właśnie od złego pochodzi ducha i wierzyć należy jeno temu z lewej.

Kiedy dziś przed oczy wywołuję wspomnienie tej nieszczęsnej ofiary nałogu opilczego, to na tle rozmyślań nad dzisiejszym stanem przerażających postępów powojennej psychozy narkomanji — staje przede mną tragiczne widmo naszego narodu z rozpętanymi już z wiekowych kajdan rękami — z twarzą zwróconą ku bezmiernym widnokręgom jasnego jutra błogosławieństw pokoju.

Nad jego prawem uchem pełen dobroci głos szczerego przyjaciela odzywa się życzliwie:

— Jeżeli chcesz żyć, musisz skruszyć potęgę diabelską zła moralnego. Zacznij od zasypania studni zatrutej, która jest zła wszelakiego źródłem wieczystem. Słyszysz — to twoje być albo nie być...

Tymczasem nad lewe ucho pochyla się przyjaciel fałszywy z chichotem szatańskim:

— Być albo nie być — wszystko jedno! Co cię jutro dalekie obchodzi — używaj póki żyjesz! Żle ci było hulać za Moskale? Niech żyje pijaństwo i rozpusta! Górą przekupstwo! Na wszystko w życiu pocieszycielką wódka. Być albo nie być — pijmy!

Kiedy po jakiejś nieprawdopodobnej orgji noworocznej stolica Polski położy się nad ranem spać pijana, czy nie zamajaczy wam w myślach smutny cień marszałka Focha, nawołujący polskich biskupów:

— Użyjcie wszystkich sił dla skruszenia potęgi zła moralnego...

O, kiedyż narody zaczną słuchać głosu proroków? — tragiczne z piersi wyrывa się pytanie. A nie przestrzegał nas już Skarga przed pijaństwem; on, który wszystko prze-

widział, co nas kiedyś ma spotkać, zdawał sobie sprawę i z następstw niebezpiecznego objawu, że »począwszy od małych aż do wielkich każdy chce pić wino i wszyscy mierność opuścili«. I pytał Jan Kochanowski: »Jeśli człowiek rad się stworzeniem, a nie bestją widzi, czemu rozum, którym od zwierząt jest różny, dobrowolnie swem pijaństwem tłumi.« Rozpacział nad tem Stanisław Staszic, że »włóściaństwo i mieszczaństwo w ślad za szlachtą i urzędnikami za narkotykiem alkoholowym goni«.

Kiedy wogóle wertujemy księgę dziejów naszych z ostatnich kilku wieków, nabieramy przekonania, że każdą z tych kart, której dziś się wstydzimy, pisała historia w Polsce pijanej. Gdy przeciwnie, każda świetlana postać naszej przeszłości bywała z trzeźwością w zgodzie i na tle powszechnej wstrzeźliwości rozgrywała się każda chwila górna, z której jesteście dumni.

Najwyższe napięcie patriotyzmu w narodzie szło zawsze w parze z abstynencją — że przypomnę choćby rok 63 i poprzedzający go okres manifestacji religijno-patriotycznych.

Zato w niewolę szliśmy pijani. I ci, którzy nas w ręce najeźdźcy oddawali, którzy nas wrogowi zaprzędawali, byli właśnie pijakami. Wystarczy rzucić jeno dwa, wiele mówiące nazwiska z epoki Trzeciego Maja, tych, co konstytucję zwalczali, hersztów Targowicy, Szczęsnego Potockiego i hetmana Branickiego. Niemy sejm w Grodnie, to tłum pijaków. A tego znów sejmu, co na pierwszy rozbiór przystał, marszałek, niecny Adam Poniński, pod koniec życia obdarty chodził po ulicach Warszawy, wstępując do każdej szynkowni na prostą gorzałkę, aż go kiedyś zimą znaleziono martwego pod murem. Godny koniec sprzedawcy Ojczyzny.

Niechaj to straszne, bolesne wspomnienie, pospołu z proroczą przestrogą marszałka Foch'a, którego zwycięstwo rozwarło Polsce bramy potrójnego więzienia, wstrząśnie opinią publiczną, jako że przebrała się już miara zła moralnego.

Czas wytrzeźwieć!

Truciciel ducha.

Świetny psycholog alkoholizmu, a sławny pisarz Stanisław Przybyszewski, najpocześniejsze w arsenale Szatana miejsce wyznacza właśnie alkoholowi, który według jego wyrażenia — musiał stać się przyczyną strącenia Aniołów do piekieł. Tuż przed śmiercią snute przez niego uwagi syntetyczne na temat niszczyielskiego nałogu, któremu w ofierze, niestety, złożył życie całe i talent genialny, muszą być dla alkoholologów niemniej interesujące, jak przebogaty pod tym względem materiał — specjalnych godzin studjów, zawarty w niesamowitej twórczości artystycznej znakomitego autora »Złotego Runa«.

Mimo długoletniego doświadczenia życiowego, jest on oczywiście w błędzie, rozróżniając alkoholizm szkodliwy i nieszkodliwy, bo my wiemy, że takiego niema. Jemu się wydaje, że alkohol wesoły — *vin gai* — chociaż nawet i pod stół z nóg wali człowieka, niewinnie tylko podnieca i rozwesela, ma więc mieć skutki dobroczynne przez umożliwianie życia towarzyskiego, które bez niego byłoby rzekomo zabójczo nudne. To jedno zdanie z gruntu fałszywe. A drugie jest już absurdem: to wypowiedziany w jego pamiętnikach sąd, że dla człowieka normalnego alkohol nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. I dopiero jako strasznie niebezpieczny uważa Przybyszewski *vin triste* — alkohol smutny, nad którym

zastanawiając się głębiej, rzuca spostrzeżenia istotnie ciekawe.

Oto powiada, że jest to alkoholizm ludzi, którzy przychodzą już na świat obarczeni jakimś przekleństwem, ludzi niezdolnych do życia bez tej fatalnej protezy, jaką stanowi jakikolwiek środek narkotyczny. Nałogiem niebezpiecznym staje się według niego alkohol jedynie dla owych ludzi — cytuję dosłownie — urodzonych pod znakiem straszliwego Saturna i trucicielskiego Księżyca, ludzi, których dusze Szatan pławi w ciemnym morzu melancholji, szarpiającej tęsknoty i bezustannego a dławiącego smutku.

Przy porównywaniu z innemi narkotykami — przyznaje on np. morfinie, że chociaż niszczy, to jednak przez pewien czas potęguje siły umysłowe. Tymczasem *vin triste* — według jego spostrzeżeń — tylko na krótko wzmacnia siłę nerwów, by ją niezadługo sparaliżować — wtedy alkohol stępieja i znieczula nerwy, które tracą wrażliwość na ból i cierpienia, a oszłamia mózg, któremu każe pracować, jakby na całkiem innej platformie.

Pod wpływem tego alkoholu smutnego — jak się wyraża Przybyszewski — dusza całkiem się przeobraża, wymienia się na inną, która musiała bytować w człowieku, ale była trzymaną na uwięzi przez duszę trzeźwą. Alkohol wyważa tę duszę trzeźwą z zawias, odrętwia ją, a wtedy na arenę wkracza obca jakaś dusza, której istnienia nawetby się nie przypuszczało, a która skierowuje z szatańską złośliwością w stronę, gdzie czyha na człowieka najcięższy Ból — zaprzepaszczenie i zagłada.

Jak widzimy, psycholog-artysta ocenia te stany zgodnie z nauką, trafnie; na koniec zaś rzuca głęboką konkluzję: Omamem i złudzeniem chwilowa ulga w cierpieniu — szalbierczy środek, który na chwilę łagodzi ból zębów, by go jeszcze więcej spotęgować.

Ale co ciekawsze, że Przybyszewski, w ślad za uwielbianym przez siebie Edgarem Poe, traktuje alkoholizm nie jako chorobę, tylko w nim widzi jeden z najgroźniejszych przejawów choroby, jaką dotknięte jest astralne ciało człowieka. To dusza, która jest chorą, a najboleśniejsze właśnie to chorobliwe pragnienie, by przed ową chorobą uciec. Dowcipnie określił, że alkoholizm to niby biedne złudzenie strusia, który kryje głowę w piasku, bo zdaje mu się, że go nikt nie widzi.

Posłuchajmy jeszcze, w jaki sposób Przybyszewski usprawiedliwia Edgara Poe, który skończył na delirium tremens. Jego alkoholizm nie wydaje mu się straszną i przebolesną predyspozycją dypsomana, który obarczony przekleństwem, ciężącym na całym szeregu ubiegłych generacji, ma wogóle do wyboru obłęd lub też fikcyjny przed tym obłędem ratunek — w alkoholu. U tego piekielnego wampira, jakim jest *vin gai*, szukał Poe ucieczki nie tyle przed nadmiarem strasznych zrządeń losu, ile przed samym sobą.

Szukał ucieczki przed jednym z najboleśniejszych stanów psychicznych, jakie przeżywają tylko ludzie nadmiernie wyczuleni, żyjący niejako na dwu platformach: rzeczywistości i snu, a raczej zdeformowanej rzeczywistości, a jeszcze więcej monstrualnego snu. Stanem tym zaś jest lęk przed życiem, trwoga przed śmiercią, a równocześnie pragnienie śmierci.

Stanem tym, według jego słów, to niesłychanie skomplikowane uczucie, którego stałemi komponentami przerażliwy, do obłędu doprowadzający lęk we wszystkich tonacjach, począwszy od lekkich fizjologicznych drżeń serca — aż do paroksyzmów strachu w obłąkaniu rzeczywistym, strachu przed jakimiś zwidami satanicznymi.

Cóż — kiedy alkoholik djabła z siebie wygania Belzebubem, bo chce chorobę swą zwalczać jej własnym objawem, więc wiecznie kręci się w tem zaczarowanym kole, z którego wyjścia niema, jeżeli się raz w nie dostało.

Otóż patrząc na dzisiejsze życie człowieka — a mam tu na myśli w tej chwili przedewszystkiem sferę inteligencji, na której stan psychiczny oddziałują całokształt współczesnej twórczości artystycznej — doznaję wrażenia, że społeczeństwo dostało się właśnie w takie wieczne koło zaczarowane, z którego niema wcale wyjścia — a raczej byłoby — to jedyne jakie my uznajemy — wyrzucenie się alkoholizmu i wogóle narkozy, do której ucieka się przed życiem.

Przypominam sobie czasy, kiedy u nas krytyka uwzględniająca w pisarzu pewne poczucie odpowiedzialności obywatelskiej — przestrzegała przed dziełami Przybyszewskiego, wyczuwając w nich — poza wysokim artystyzmem — pierwiastki destrukcyjne, które mogą oddziaływać deprawująco. Było to jeszcze wtedy, gdy kraj nasz ani słyszał o propagandzie przeciwalkoholowej choćby na skalę dzisiejszą.

W kilkanaście lat później, gdy się znalazłem na wygnaniu w głębi Rosji, a już się w niej szerzyć zaczęła gangrena bolszewizmu, pomiętam rozmowę z przedstawicielem najwykształceńszej inteligencji rosyjskiej na temat zabójczych wpływów literatury, które właśnie grunt przygotowały tam pod niszczący kulturę chwast nihilizmu komunistów. Wówczas do najmodniejszej lektury inteligenta rosyjskiego należał Przybyszewski i był w tej sferze wyjątkowo popularny.

Otóż mój wysoce kulturalny interlokutor, obok kilku sławnych autorów własnego narodu, rzucił też nazwisko Przybyszewskiego, mówiąc z rozpaczą: »To genjusz, któ-

rego porywające nas utwory powstają w stanie obłądu opilczego. To niewątpliwie truciciel ducha.»

Minęło znowu lat kilkanaście. Dzieła Przybyszewskiego dawno przestały być sensacją. Natomiast ów, niegdyś z jego właśnie książek rzucający się w oczy krytyki, pierwiastek deprawacji ogarnął wszelką twórczość literacką — wiersz i powieść, odcinek w kurjerze i feljton radiowy, teatr i kino, ba, przeniknął kompozycję muzyczną i plastyczną. Niby refren pijackiego tanga z rewjowego teatrzyku szerzy się na falach eteru przez radio bije w uszy i oczy z ekranu i z desek sceny, z gazety i książki — zewsząd i wszędzie się niesie, jak zaraza, reklamując głośno rozkosze odurzenia, apoteozując trans pijacki, zachęcając natrętnie do masowej ucieczki od życia w topiel narkozy.

Oto już nie prasa brukowa i niebrukowa, w każdym numerze perfidnie drwiąca z prohibicji, a piórem najlepszych feljetonistów propagująca masowo pochwałę pijaństwa. Ale cała twórczość artystyczna naszych czasów — to systematyczny truciciel ducha — poprostu przez to, że artysta twórca — mówiąc słowami Przybyszewskiego — obarczony przekleństwem ciążącym już na całym szeregu pokoleń, ma do wyboru: obłąd w jakiejkolwiek formie lub też fikcyjny ratunek przed tym obłądem znowu w alkoholu. Czyli — twórczość wiecznie kręcić się będzie w tem błędnem kole zaczarowanem, z którego — jak on sam przyznawał tragicznie — żadnego wyjścia niema, jeżeli się raz w nie dostało.

Perspektywa beznadziejna zaiste! A proszę mi pokazać pisarza czy plastyka, któryby dziś tworzył nie w stanie narkozy. Biografia kilkudziesięciu najgłośniejszych w świecie twórców w różnych dziedzinach literatury i sztuki zdradza nam ich zakulisową tragedję: bywali ofiarami

nałogu. Czy twórczość artystyczna tych dusz chorych mogła być zdrowa?

Sensacją swoją przyniosła ich autorom rozgłos. Ale czy my teraz, od chwili gdy nauka zbadała dokładnie stan psychiczny ofiar narkozy i uznała jego zupełną chorobliwość — możemy oklaskiwać produkcję zwyrodnienia i stawiać ją na wyżynach kultury tylko dlatego, że w formie osobliwej daje treść nadzwyczajną — odpowiadającą stanom chorobliwym oszołomień narkotycznych lub delirium tremens.

Czy zaś potrzeba rozwodzić się nad tem, jaki twórczość artystyczna wpływ wywiera na ducha narodu — zbawienny lub zabójczy, zawsze potężny, a cóż dopiero z postępem czasu, gdy rozwój środków technicznych ułatwia jej szybkie dotarcie do mas najszerzych w sposób niedawno jeszcze nawet nieprzeczuwany.

I oto przed tymi, co w społeczeństwie propagują walkę z alkoholizmem staje zadanie nowe, niesłychanie doniosłe. Wszak szerzenie trzeźwości będzie szło na marne, dopóki apologja pijaństwa nie zniknie ze sceny i literatury, z prasy, kina i radja. A tymczasem ona tam wszędzie trwać przecież musi do czasu, gdy pisarz, który to wszystko tworzy, nie stanie się abstynentem szczerym, z przekonania.

I nad tem właśnie należy działać na niwie walki z narkozą powszechną zastanowić się jak najrychlej — co począć, co i jak przedsięwziąć, by przedewszystkiem unicestwić tego groźnego truciciela ducha, który stokroć niebezpieczniej i skuteczniej, aniżeli ongi w Rosji literatura nihilistyczna, przygotowuje dziś u nas podłoże podatne pod zarazę bolszewizmu, ta zaś wybuchu wszak najnsadniej w atmosferze ruiny materialnej i moralnej,

będącej niechybnem następstwem alkoholizmu. A narodu duch zatruty — to dopiero bólów ból!

Cóż nam tedy począć, by ten naród ocalić?

Pod wpływem walki, jaką toczyć zaczęły wszędzie w krajach kulturalnych organizacje i instytucje uznające pornografię za zło niebezpieczne dla społeczności ludzkiej — wprowadza powoli ustawodawstwo państw cywilizowanych cenzurę wydawnictw i widowisk, która ma na celu niedopuszczyć do szerzenia się tą drogą zepsucia i zwyrodnienia, podobnie jak teraz wzięto się do zapobiegania handlowi kobietami, do walczenia z chorobami wenerycznymi szerzonymi przez rozpustę publiczną, podobnie jak oddawna musiały kodeksy karne przewidzieć wypadki nawoływania do wszelkiej zbrodni, zachęcania do niej, zachwalania jej w sposób publiczny.

Weźmy to wszystko pod uwagę my, którzy na zasadzie tego, co nam rzekła nauka i co nam wciąż mówi życie, a co rejestruje statystyka, zdajemy sobie sprawę, że alkoholizm jest samobójstwem jednostek i narodów, że instytucje czy osoby, które są owej plagi sprawcami, spełniają czyny, które prędzej czy później muszą być przez postępowe prawodawstwo uznane za obrabowywanie ludzi z zarobków i z mienia, za odbieranie im życia, za masowe trucicielstwo ciał i dusz.

A jeżeli sobie jasno uprzytomnimy to wszystko my, co apostołować chcemy odrodzenie narodu przez ustrzeżenie człowieka od wszelkich trucizn narkotycznych — to nam nie wolno z czystym sumieniem poprzestawać na borykaniu się z sabotażem ustawy przeciwalkoholowej; nam nie wolno spocząć, dopóki nie zniknie ostatni afisz, ostatni anons prasowy, kinowy i radiowy, ostatnia reklama świetlna z nad ulic miasta, tak jawnie, tak krzykliwie zachęcająca ludzi do trucia się narkotykami.

Ale jednocześnie z tą całą robotą, właśnie na to, by ona nie szła na marne, musimy wszcząć na wielką skalę akcję, by skrępować i z nóg zwalić tego wszechobecnego i przepotężnego szatana, którego nazwałem truci-cielem ducha, a który nam będzie bez końca bruździł na każdym kroku przez kino i radjo, w teatrze i kaba-recie, w książce i kurjerku.

Wszelkie krępowanie swobody słowa w dzisiejszym wieku wydawałoby się niemal nie do pomyślenia. A jednak zwalczanie dziś pornografji przez społeczeństwo i państwo nie wzburza opinji publicznej — poza wyjątkami, nad którymi można przejść do porządku dziennego.

Otóż niechże to i nas zachęci do spróbowania podjęcia walki z wrogiem. Jak? Ano — jakieś drogi i sposoby znaleźć musimy, by trafić tam, skąd grozi dziś owo niebezpieczeństwo.

Celem naszym będzie nie pozwolić na rozszerzanie książki beletrystycznej, na wystawianie sztuki scenicznej, na granie rewji, na wyświetlanie filmu, gdzie tylko w sposób karygodny autor — albo bezpośrednio, dosłownie, albo w kompozycji artystycznej, przez wytworzenie w czytelniku czy słuchaczu takiego wrażenia — pochwała pijactwa, apoteozuje alkoholizm.

Ale oczywiście to nie wystarczy, bo zostaje sam autor, a temu jako artyście nie wolno zabronić tworzyć w sposób nieskrępowany — to też zastrzegam się, że nie do tego dążę, sam będąc literatem zawodowym. Wierzę jednak, że i do ogółu autorów współczesnej twórczości — pospołu z całym społeczeństwem — trafią rychło fenomenalne postępy alkoholologii i tak go przekonają, że sam uwierzy, jak ja o tem od lat kilkudziesięciu jestem przeświadczony, że artysta nie ma prawa w dziełach swoich być truci-cielem ducha.

A tembardziej do tego prawa nie mają — w imię poczucia odpowiedzialności obywatelskiej, jaką na siebie dziś biorą w służbie publicznej — dwie najpotężniejsze instytucje dnia dzisiejszego: prasa i radio. Wierście mi państwo, że jeden świetny feljeton knajpiarski pióra ulubieńca publiczności w rodzaju kochanego przez wszystkich Makuszyńskiego czy tylko Zbierzchowskiego, albo znowu feljeton Boy'a tak w czytaniu przemilego, a w arsenale walorów kryjącego baterje destrukcji; taki feljeton knajpiarski w niedzielnym kurjerku o nakładzie krociowym; albo jedna piosenka z rewjowych przebojów w rodzaju pijackiego tanga, śpiewana uroczym głosem przez jakiś popularny chór Dana, a dzień w dzień powtarzana przez radio i programowo i na życzenie — doprawdy zdoła stokroć więcej zdziałać w interesie przemysłu alkoholowego — aniżeli jego grubopłatny anons w prasie o piwie, wódce czy koniaku i likierze, drukowany literami większymi nawet od tytułu dziennika, lub orgją światła krzyczący z dachu narożnika na skrzyżowaniu ulic wielkomiejskich. I śmiem się wyrazić, że gdyby nasze kongresy, nasze kursy miały tylko tę jedną mieć zasługę, żeby się robota abstynencka dobrała do tego wszechmożnego truciciela ducha i zaczęła go krępować i unieszkodliwiać — to już byłoby warto włożyć w nią więcej trudu, niż się wkłada z dobrej woli, ponieważ to praca dla ocalenia ducha narodu.

Dziedzictwo pierworodnych.

Było to w Łodzi, mieście tysiąca kominów. Naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Zdrowia, dr Skalski, zorganizował dla nauczycielstwa kurs alkoholologii. Na dzień otwarcia go sprowadził z Krakowa dwóch prelegentów: dyrektora kliniki psychiatrycznej, znakomitego profesora Piltza — i mnie. Zaraz po moim referacie inauguracyjnym, profesor wszedł na podium, obwieszane jego tablicami z dziedziny charakterologii i wykladał całe dwie godziny, świetnie usposobiony, sypiący jak z rękawa niezwykłą ciekawość budzące przykłady z własnych wspomnień, zwłaszcza z ulubionego czasu pobytu w Szwajcarii, u swego mistrza, wielkiego Forela (który wkrótce po Piltzu zeszedł ze świata połączyć się z uczniami gdzieindziej).

Słuchał tego z ogromną uwagą wojewoda łódzki, z którym tuż po wykładzie doktora Piltza usunęliśmy się we trzech do sąsiedniego gabinetu na chwilę wypoczynku. Tu zwraca się on do krakowskiego profesora w takie mniej więcej słowa:

— Po tem, co pan powiada, chyba wszyscy pierworodni musieliby odczuwać dziedzictwo alkoholowe, skoro zazwyczaj moment ich poczęcia przypada na najbliższe godziny po libacjach ucztę weselnej...

A na to Piltz jął nam opowiadać, znowu ze swych wspomnień szwajcarskich, historję tak doprawdy sensacyjną, że w wykładach wobec audytorjum szerszego, jak się sam wyraził, umyślnie tego przykładu unikał...

Oto głośnej sławy Forel miał cichego, pono świętobliwie żyjącego przyjaciela, który w wieku chłopięcym, pod wrażeniem śmierci ojca w *delirium tremens*, wyrzekł się raz na zawsze używania alkoholu, i tylko raz w życiu pozwolił sobie na to, w noc własnego wesela. Forel dobrze sobie to zapamiętał, ponieważ oboje państwo młodzi popili się do tego stopnia z gośćmi, że musiał ich aż ratować.

Poza tym wybrykiem jedynym, przyjaciele domu obserwowali tam życie wzorowe i rodzinne i obywatelskie. Nie mogli jeno pojąć, skąd się brały postęпки syna... Nietylko bowiem majątek dostał ogromny i świetne wykształcenie, ale wychowanie idealne obok żywego przykładu szlachetnych rodziców.

Tymczasem młodzieniec pełen talentów i przymiotów osobistych, ulubieniec młodych i starych, zaczął od tego, że podrostkiem uwiódł siostrę, okradał matkę, weksle ojca fałszował, potem w karty przegrał majątek żony, ojcowe dobra zrujnował tak, że w łachmanach się włóczył, wreszcie z więzienia dostał się do doktora Forela na kurację beznadziejną...

Studjował profesor Piltz tego pacjenta, jako typ alkoholika dziedzicznie obciążonego. Pamiętał, że stał się świadkiem, gdy po jego ucieczce z zakładu, wyprowadzono nieszczęśnika do kryminału, bo w zwadzie o kieliszek niezapłaconego absyntu, dźgnął oberżystę śmiertelnie nożem w bok...

Byłem pod wrażeniem tej — zdawałoby się, nieprawdopodobnie wymyślnej historii, brzmiącej dopiero

tragizmem w ustach powagi naukowej, gdy natknąłem się na pewną nieszczęśliwą matkę, zwykle przy spotkaniu żalącą się bez końca na pełnego zmarnowanych zdolności syna-alkoholika, i opowiadającą mi wtedy swoje osobliwe sny, w których dopatruje się rad zaświatowych dla uratowania straconego w nałogu dziecka... Może nie zastanowiwszy się, że mam do czynienia z osobą przeczuloną swemi nieszczęściami rodzinnymi, powtórzyłem jej na gorąco opowiadanie profesora, z myślą, że tak straszny przykład każe jej hamować się w pobłażaniu rozpieszczonemu synowi, któremu nie umie odmówić grosza na wódkę, ile razy jej grozi, że w braku pieniędzy na zabawę, odbierze sobie życie.

Tymczasem opowiadanie moje wywołało u tej pani skutek nieoczekiwany. Oto z egoistki, dotychczas nie dbającej o nic, co nie było jej osobistem zmartwieniem powodu własnego dziecka, przedzierzgnęła się naraz w gorącą propagatorkę abstynencji wśród znajomych i nieznanym, których z przejęciem przestrzega, co może ich spotkać...

A stało się to pod wrażeniem snu, jaki miała zaraz po wysłuchaniu osobliwych dziejów pacjenta doktorów Forela i Piltza. Nie zdołam go oczywiście powtórzyć tak, jak go usłyszałem wówczas z ust tej pani. Jej to się śniło. Ja to widzę...

Grają mi w oczach bajecznie kolorowe obrazki krajkowskiego wesela. Tętnią grajkowym rytmem wozy i konie migają pawimi pióry; obraca się w zawrotnym wirze kalejdoskop kierezyj, gorsetów, koralu i setnych świecidełek; kręci się szalona karuzela barwnych wstążek i kiecek; dzwonią kółeczka u pasów, tętnią, dudnią podkówek... I cała wieś rozśpiewana, roztańczona... Oj dana, da-dana... Atoli wszystko zagłusza wrzawa pijacka.

Ordynarne wykrzyki mącą harmonję piękna tradycji i w tumanie kurzawy rozwiewa się wizja bajecznie kolorowa...

A zza węgła kamienicy wyjeżdża kawalkada karet wielkowiejskich, wioząc orszak balowo strojnych pań i panów... Za nimi sunie majestatycznie powóz w białe konie, cały w śnieżnym kwiecie i w mirtach. Wiwat państwo młodzi!...

I długie bielą się stoły, pełne tortów i kielichów.. Szampan się leje strugami. Pani już siania się w ramiona tancerza, nie ze znużenia, nie od wrażeń nadmiaru... Cućcie ją czarną kawą z likierem, przecież jeszcze uczcie ślubnej daleko do końca, mimo że oblubieńcowi już język się płacze przy toastach dziękczynnych. Muzyka rżnie nanowo... Jeszcze jeden taniec dzisiaj... Snuje się korowód par coraz śmieszniej się zataczających...

A wtem zadzwieczyły szyby od balkonu, drzwi się rozwarły brutalnie... i oto pochód wkracza niesamowity na salę balową, płosząc weselnych gości. W podrygach głupkowatości suną pary matołków i kretynów. Rytm tańca nic się nie zgadza z ich wodogłowieciem... Nucą pociesznie śpiewkę z przytułku dla dzieci anormalnych. Głuszysz ją dziki wrzask ludzi — zdawałoby się — ze skóry obdzieranych... Jakaś niesamowita pogoń, ucieczka z domu warjatów. Chichot obłąkańczy. Ryk dzikiego zwierza w porzasku...

To dozorczy szpitalni dopadli furjatów i pakują ich w kaftany bezpieczeństwa... Jeden z szaleńców naraz jak gdyby porażony, całkiem się uspakaja, rozgląda ciekawie i pyta, czy przyszedł na wesele swoich rodziców, bo widzi, że goście weselni pijani... A pamięta, że mu ojciec opowiadał, jak się strasznie spił na swoim weselu.

Właśnie ktoś z pijanych biesiadników nowy toast wymyśliwszy, huknął: »Zdrowie pierworodnych«... Zagrała kapela. Warjat puścił się w tany z panną młodą, a pan młody z korowodem kretyńców. I tak do rana tańczyło całe miasto pijane, dopóki wszyscy z nóg się nie zwalili...

Ale mnie się widzi, że sen się nie skończył nieszczęśliwej matki alkoholika... Ja go widzę dalej. Ja go widzę dalej bez końca. Tak weseli się cała Polska, i pokrywa się misterną siecią przytułków i szpitali, które zapełniają ci właśnie, których pierwsza naprawdę chwila życia wybija w takt pijackiego tańca weselnego ich rodziców, a którzy męcząc się strasznie w życiu jako niewinne ofiary pijackich zwyczajów weselnych, nie zdają sobie nawet nigdy sprawy, skąd się wzięło to ich opłakane dziedzictwo pierworodnych.

Narodziny nałogu.

Było to kilka lat temu. Zaproszono mnie dla wygłoszenia serji odczytów do jednego z miast prowincjonalnych, będącego starą stolicą biskupią. Zamieszkałem w seminarjum duchownem. Zająłem tam pokoje któregoś z księży profesorów, który wówczas bawił zagranicą na studjach. Zastałem szafy, pełne zaciekawiających książek, otwarte, kuszące, by się do nich dobrać i zasiąść w zacisznym kącie na długą lekturę, tymczasem wśród miłej gościny nie było ani godzinki wolnego czasu.

Po wizycie u Arcypasterza, zawieziono mnie do miejskiego teatru, gdzie miałem odczyt publiczny treści religijnej. Nazajutrz, po zwiedzeniu historycznych kościołów, znalazłem się w gimnazjum męskim dla wygłoszenia wykładu o Sienkiewiczu, w kilka godzin później na jakiejś pensji żeńskiej dałem prelekcję o Jacku Malczewskim z pokazem przeźroczy, a wieczorem w seminarjum Kółko abstynenckie urządzało akademię z moim referatem na temat: alkohol a moralność. Właściwie to tylko program, ślicznie wykaligrafowany, nazywał to referatem, ja zaś w rozmowach zgóry zapowiadałem, że nie będzie to ani wykład, ani tem mniej przemówienie do alumnów, lecz raczej dla nich materiały, który przysługującym kaznodziejom przyda się może, gdy im wypadnie na taki temat przemówić do ludu.

Kiedy największa z sal starego gmachu klasztornego już się zapełniła klerykami, a w pierwszych rzędach zasiedli duchowni profesorowie i starsze duchowieństwo z miasta, przyszedł po mnie ksiądz regens. Pamiętam, prowadził mnie długo po krużgankach, a kiedyśmy zaszli, chór zabrzmiał przepiękny, jak gdyby się jakie miało zaczynać misterjum. W przedziwny nastrój wprowadził ten śpiew całe zgromadzenie. I okazało się, że tego właśnie było potrzeba, lecz bynajmniej nie przed moim odczytem, który miał wypełnić główną część akademii, tylko przed czemś, co stało się niespodzianką, bo program zapowiadał jeno zagajenie, ksiądz regens mi powiedział, że to ma być przedstawienie prelegenta w kilku słowach, a tymczasem w rzeczywistości słowo wstępne stało się mową, po której ja się już zrzekłem swego mówienia i tylko z trudem dałem się uprosić, tak bowiem, zdawało mi się, byłem tam już całkiem niepotrzebny po tem, co powiedział ów ksiądz profesor na powitanie.

Szkoda, że szczegółowo nie pamiętam co i jak mówił, chociaż to bardzo było niedługie, ale został mi w pamięci z tego jeden obrazek. Postaram się właśnie ten moment odtworzyć, o ile mi się uda...

Jest wieczór zimowy. Plebanja stoi na uboczu od wsi, na górcie samotnej. Zwykle słyszeć tam tylko zdaleka nocne naszczekiwanie psów. Ale tym razem zagłusza wszelkie odgłosy z mieszkań ludzkich ponure a rozgłośne wycie wichury. W domu wszyscy poszli spać, żeby nie słyszeć tego djablego chichotu, jak to określał stary kościelny. Zamiast śnieżna trwała już szereg godzin bez przerwy, drogi zawiane do niepoznaki upewniały, że nikt nie wybierze się na plebanję, ani po księdza nie przyjedzie. Proboszcz jednak kłaść się nie myśli, mimo, że

dawno brewiarz skończył i gazetę przeczytał, do książki zaś zasiąść nie może, tak go denerwuje huragan na dworze, a zwłaszcza jego odgłosy w kominie. Chodził więc szerokim krokiem po jadalni obszernej dokoła stołu.

Młody był, bez ludzkiego towarzystwa jakoś obchodzić się nie umiał i jeżeli w samotności nie był zajęty modlitwą lub lekturą, to doznawał jakiegoś niewytłomaczonego niepokoju, z którym poprostu nie umiał sobie dać rady, nieomal wpadał w rozpacz. I właśnie w ten wieczór zimowy działo się z nim coś podobnego. Z krążenia po pokoju zaczynało mu się kręcić w głowie. Raz i drugi potknął się o kredens, a kiedy za trzecim razem o jego róg zawadził, przystanął, drzwiczki odchylił nieodmknęte po wieczerzy — i wgłąb spojrzął, bezmyślnie, bo ani jeść, ani pić mu się nie chciało.

Naraz drgnął... To wzrok jego niespodzianie padł na stojącą na półce w kąciu butelkę, do której nie miał zwyczaju zaglądać. Sięgnął po nią natychmiast, obejrzał nieznajomą etykietę, odkorkował, powąchał, odstawił i zaczął po całym kredensie poszukiwania za kieliszkiem. Odnalazł go wreszcie na innej półce, serwetką z kurzu otarł i na stole postawił. Kiedy nad nim pochylał butelkę, z komina wydarł się tak przeraźliwy odgłos wichury, że proboszcz wstrząsnął się na całym cielem, mimowoli przypomniawszy sobie starego kościelnego, który pewnikiem nazwałby to śmiechem djabelskim. Ręka zadrzała, kropli kilkoro padło poza szkło, więc chwycił kieliszek w drugą rękę i przytknąwszy go pod flaszkę, dolał do pełna spokojnie...

W taki oto sposób odbyły się w zimowy wieczór narodziny czyjegoś nałogu — kończył swoje opowiadanie poważny ksiądz profesor wśród niezwyklej ciszy, jaka zapanowała w murach seminarjum. I nagle po dłuższej

pauzie zwrócił się do zasłuchanych kleryków z zapytaniem:

— Czy mogłoby to być nastąpić, gdyby ten młody proboszcz jako alumn zapisał się do Kółka abstynencyjnego i poznał gruntownie wyniki studjów o alkoholizmie?

Tego rodzaju zapytanie, jakie tam w seminarjum rzucił ów duchowny pedagog, może zaiste do głębi wzruszyć ludzi, którzy zajmując się stale zbliżając się do zagadnienia tragicznego, przejrżeli nawskróś bezdenną otchłań alkoholizmu — i dlatego chodząc dalej po gościńcach życia, już z maniackim uporem powtarzają każdemu napotkanemu przechodniowi: Człowieku, inaczejbyś na świat patrzył, gdybyś przeszedł kurs alkoholologii...

A ten i ów z reguły odpowiada:

— Alkoholologii? a cóż mnie to może obchodzić?... To ostatecznie dobre dla medyka czy chemika, wogóle dla jakiegoś specjalisty w tej dziedzinie, lecz nie dla ogółu laików. Zresztą mógłby się tem zainteresować bliżej alkoholik... Mnie to przecież nie dotyczy — kończy każdy z miną nawet oburzoną.

I właśnie w tem miejscu rodzi się zasadnicze pytanie: czy jest ktokolwiek, kogoby to miało nie obchodzić?... Zaczniemy tedy od stanu duchownego. Czy to dotyczy kapłana? Spotkał mnie niedawno pewien prałat znajomy i powiada tak:

— Szkoda, że już bardzo stary, bo wybrałbym się na te wasze kursy posłuchać o co wam właściwie idzie. Ja was całkiem nie rozumiem. Dla mnie sprawa była zawsze jasna: pijaństwo, jak obżarstwo, grzechem jest i koniec. Więc koniecznie trzeba szerzyć wstrzeźliwość, umiarkowanie. A wy dzisiaj, słyszę, zwalczacie umiarkowanie w picciu, wpadacie w szkodliwą przesadę, alkoholikami nazywacie ludzi, których nikt nie widział

nigdy w stanie pijaństwa. Nie mogę was zrozumieć. Póki byłem proboszczem, to ile razy nie mogłem już poradzić sobie na wsi z pijakami, pisałem do znajomego klasztoru, by mi jakich ojców przysłali na misje, no i miałem przez pewien czas spokój w parafji...

Rozmowa z tym czcigodnym emerytem przypomina mi dwa jeszcze nieporozumienia, z jakimi mamy ciągle w naszej akcji do czynienia, pospołu z tamtem, kogo ta rzecz dotyczy. A więc jedno, że alkoholizm a pijaństwo to są rzeczy różne, oraz drugie z tem związane; czy w dziedzinie alkoholizmu może być mowa o umiarkowaniu? I już wyjaśniając obie te wątpliwości, dajemy częściowo odpowiedzi na tamte: czy każdego muszą obchodzić wiadomości z nowoczesnej alkoholologii? Ona to na podstawie badań naukowych doszła do przekonania, że kiedy pewnego rodzaju umiarkowanie da się zachować ostatecznie we wszystkim innem, w jednym alkoholizmie niesposób wypośrodkować — co jest w miarę. Nauka bowiem nie zna dawki tej trucizny, któraby mogła być dla organizmu jej używającego — obojętną. Przecież ta sama ilość alkoholu, która doraźnie jednemu nawet nie zaszkodzi, może drugiego z miejsca zabić. Tak samo człowiek, który codzień napozór bezkarnie używa tej trucizny, pewnego razu od niej ginie, mimo, że ilość i moc była nieodmienna.

Jakże tu znaleźć miarę wobec pewności, do jakiej nauka doszła, że dawki alkoholu, w pojęciu laika najniewinniejsze, tak się szcasiem w ustroju sumują, iż doprowadzają organizm ludzki do ruiny snadniej, aniżeli jednorazowe zatrucie go ilością ogromną. I właśnie z tego wynika rozróżnianie pijaństwa od alkoholizmu. Wyrazy w mowie naszej: pijak i pijaństwo — jedno znaczą, że myślimy o piciu nie wody, lecz napojów rozpijających,

do upicia doprowadzających, a więc, jak to dziś naukowo nazywamy, napojów alkoholowych.

Powiadając: pijak — mamy na myśli człowieka uprawiającego pijaństwo, czyli sobie uprzątniemy zaraz dobrze znane sceny, na które przywykliśmy jeszcze oczyma dziecka patrzeć niejako przez szkiełka śmieszności, bo to przecież coś tak komicznego — ten pijany pocieszenie się zataczający, niemogący ustać w miejscu prosto, bełkocący zabawnie, gdy chce coś powiedzieć, lub dławiący się przytęm czkawką... To znowu sceny wstrętne: pijak w rowie leżący we własnych wymiocinach... Albo momenty straszne: awantury groźne z żoną, dziećmi, sąsiadami, ze stróżem czy policją, pijak bije, pijak znęca się nad kimś, pijak tłucze wszystko czego dopadnie, demoluje całe mieszkanie...

Wszystko to właśnie określać słowem pijaństwo przywykliśmy zdawien dawna tradycyjnie. A tu przychodzi do głosu nowa gałąź wiedzy, rozwijająca się dopiero w ostatnich lat dziesiątkach — alkoholologia, i alkoholikiem nazywa człowieka porządnego, o którym sąsiedzi, znajomi, zapewniają, że nie pije, przełożeni w pracy nie mogą zarzucić mu pijaństwa, rodzina, domownicy, gotowi przysięgać, że go nigdy nie widzieli pijanym, on sam zresztą przyznaje, że stanu upicia jeszcze nie zna... A jednak lekarz zbadawszy go, stwierdzi, że ma takie i owakie silnie rozwinięte choroby właśnie na tle alkoholizmu. Cóż zatem medycyna najnowsza tem mianem określa, należy copredzej wyjaśnić laikowi, który na dobre zniecierpliwiony woła: kto u licha jest alkoholikiem?

Należyta na to odpowiedź może dać jedynie kurs alkoholologii, pobieżną — jej podręcznik. Ale ostatecznie można to powiedzieć i w słowach prostych. Jak pierwszy papieros rodzi nałóg palenia, tak pierwszy kieliszek wy-

twarza alkoholizm. Idzie o to stopniowe przyzwyczajanie ustroju do tej trucizny. I szczerem człowiek się nie spostrzeże nawet, kiedy się to stało, że jego organizm doznaje pewnego rodzaju głodu alkoholu i musi — poprostu musi go czemś zaspokoić. Przecież w naszym otoczeniu spotykamy na każdym kroku ludzi, którzy bez trunków nie umieją się obchodzić, jak bez tytoniu, i w braku tego cierpią dotkliwie. Oswoiliśmy się z widokiem tak zwyčajnym, że ten nie może jeść obiadu lub kolacji bez piwa, a tamten umie jeść tylko po wódce lub przy wódce, jeszcze zaś kto inny musi bez jedzenia wypić swój kieliszek o pewnej porze, bo albo spać nie potrafi, albo nie będzie miał sił do roboty. Tak się z tem już wokoło zdawna oswoiliśmy, że nas to ani nie razi, ani nie dziwi.

Tymczasem tak właśnie postępuje tylko alkoholik, a więc człowiek chory na alkoholizm, chorobę ciężką i przewlekłą, z której wyleczyć się trudno, bo musi być wyleczona gruntownie, by się przestała powtarzać coraz gorzej, a do jej leczenia namówić alkoholika podwójnie trudno, bo już nałóg wziął go w swoje kleszcze i nie puszcza, a po drugie: »czegóż wy ode mnie chcecie, przecież ja się nigdy nie upijam, pijakiem nie jestem«... O takich to właśnie powiada nauka lekarska, że są o wiele niebezpieczniej chorzy, często nieuleczalni, skoro w początkach nie zabrano się do ich kuracji; powiada, że następstwa ich stanu są daleko groźniejsze zarówno dla nich samych, jak dla otoczenia i dla społeczeństwa, aniżeli tamci, którzy upiją się raz na pewien czas aż do nieprzytomności, lecz gwałtowną reakcją jakoś sobie z tą szkodą poradzić zdoła sam organizm, nie zniszczony stale, powolnem, ale systematycznym zatrutowaniem się alkoholem.

Dawnemi czasy na wsi wchodził na ambonę misjonarz i gromy ciskał na pijaków, wyklinał pijaństwo, nad gminą, w której karczma rej wodziła, załamywał ręce niby nad Sodomą-Gomorą, a po jego odjeździe proboszcz w najlepszej wierze zalecał w swej parafii picie umiarkowane... A dzisiaj, kiedy z postępem wiedzy nowoczesnej, opierającej wywody swoje na badaniach klinicznych, na wynikach ankiet naukowych, na obliczeniach statystycznych, okazało się, że mamy do czynienia z najprawdziwszą chorobą, szerzącą się epidemicznie skutkiem nieznamości rzeczy, i że alkoholizm jednostek należy leczyć, a w społeczeństwie zapobiegać mu przez uświadamianie masowe — to czyż dzisiaj może nie mieć dokładnego o tej sprawie pojęcia duszpasterz jako proboszcz i spowiednik, jako katecheta i kaznodzieja, prowadzący misje i rekolekcje, moderator sodalicyj, kapelan, patron organizacji młodzieży, asystent Akcji Katolickiej, ksiądz-publicysta i społecznik, który musi mieć w pamięci słowa panującego nam Ojca Świętego, że »walka z alkoholizmem jest walką świętą, a działacze abstynenccy współpracują wybitnie w prawdziwym apostołacie Kościoła«...

Jakże wobec tego inaczej odniesie się ten kapłan dzisiejszy do sprawy alkoholizmu jako nieszczęśliwej choroby społecznej, aniżeli dawny jego poprzednik, wymyślający pijakom, ponieważ zrozumie, że z nią tak trzeba walczyć, jak z gruźlicą, jaglicą i wenerją, i tym sposobem klęskę świat ogarniającego alkoholizmu tak szcześnie zmniejszyć, jak się nauce najnowszej udało ludzkość ocalić od plag w rodzaju ospy czy dyfterytu. Ale gdy tam wystarczało, by sprawę szczegółowo, poprostu zawodowo znał jedynie świat lekarski, a co najwyżej do przeprowadzenia szczepień ochronnych potrzebował pomocy urzędów; tu, gdy idzie o walkę z alkoholizmem, wszystko

ma się odwrotnie. Cóż pomoże, gdy lekarz będzie przekonany, że alkohol spożyty przez matkę karmiącą działa w mleku zabójczo na niemowlę, jeżeli o tem dokładnie pouczoną nie zostanie każda kobieta, od profesorki aż po ostatnią proletariuszkę.

Cóż z tego, że uczony znający tajemnice nasionka, z którego powstaje człowiek nowy, sprawdził, iż ono zostało uszkodzone, jeżeli rodzice w godzinie poczęcia mieli w krwi alkohol, a w nieświadomości tego, miliony ludzi nadal będą na uczcie weselnej zatruwać alkoholem nowożeńców i świat zapełniać będą w następstwie tego epileptycy i kretyni, nieszczęśnicy obarczeni alkoholizmem dziedzicznym, rodzący się z usposobieniem do psychopatji i neurastenji, ludzie, których rodziców alkoholizm, niemal bez ich własnej winy, prowadzi wreszcie do kryminałów i szpitali warjatów.

Czy tej sprawy może nie znać spowiednik, czy o tem szczegółowo nie musi wiedzieć proboszcz, który niby ojciec i przyjaciel parafjan, kojarzy małżeństwa i katechizuje młodzież... Przecież gdybyśmy kolejno przeszli wszystkie zawody ludzkie, wszelkie stany i stanowiska, napewne nie znalazłoby się człowieka, o którym dałoby się powiedzieć: no, tego mogłoby to nie obchodzić... Wiadomości z alkoholologii niezbędnie są potrzebne każdemu, jeżeli nie dla niego samego nawet, to w interesie drugich.

I takim przedewszystkiem jest właśnie kapłan i nauczyciel, obaj wychowawcy społeczeństwa. A jako tacy muszą pamiętać, że walka z alkoholizmem należy do najtrudniejszych zagadnień pedagogicznych, jak jednak jest zaszczytną, o tem świadczą słowa Papieża Piusa X, że »nad nią niema większego dzieła społecznego«. Czyż można zaś walkę tę prowadzić, nie znając alkoholologii?

Zrazu wyobrażano sobie, że wystarczy na rycinie przy-
patrzeć się zmianom, jakie zachodzą w sercu i wątrobie
pod wpływem alkoholu, przeczytać broszurkę popularną
na ten temat — i już ma się pojęcie o sprawie. Tymcza-
sem z latami alkoholologia urosła do rozmiarów niespo-
dziewanych i dzisiaj kurs z tej dziedziny, chcąc się zmie-
ścić w kilkudziesięciu wykładach, musi poprzestawać jeno
na pewnym wyborze tematów, a resztę słuchacz, zdo-
bywszy na kursie niejako fundamenty, dobuduje sobie
dalszemi studjami, zwłaszcza, że literatura tego przed-
miotu rozwija się szybko i staje się wszechstronną. Al-
koholizm bowiem okazał się zagadnieniem nadzwyczaj
różnorodnym.

Tu się splata medycyna i higiena z socjologią i eko-
nomją, ale ma tu przede wszystkim do mówienia religja
i prawodawstwo, etyka i pedagogja; to jest kwestja za-
przątająca zarówno myśl eugenika, jak kryminologa, bu-
dząca ciekawość charakterologa; to jest największa klęska
społeczna, nad którą mozolne studia przeprowadzać musi
neurolog, psychiatra, psycholog. Zagadnienie olbrzymie,
a jego rozwiązanie doniosłe w szerokich następstwach.
Opierając się na najnowszych wynikach badań alkoholo-
gów, zastanawiają się psychiatrzy, czy przeżywany teraz
przez cały świat kryzys nie ma poniekąd źródła w psy-
chozie narkozy, w której właśnie dominujące miejsce zaj-
muje zawsze i wszędzie alkoholizm. A jednocześnie Arcy-
pasterze Kościoła przyglądając się kryzysowi gospodar-
czemu, społecznemu i politycznemu w świecie współcze-
snym, orzekają, że to kryzys duchowy przede wszystkim.

Jeżeli z tym sądem zestawimy tamte przypuszczenia
psychiatrów, że źródłem powszechnego zła mogłyby być
następstwa masowego narkotyzowania się ludzkości, zo-
baczymy, że w obu wypadkach idzie o duszę... I w istocie

walka z alkoholizmem jest przede wszystkim i najbardziej boowaniem o duszę, ratowaniem duszy, wyzwaniem duszy. Niczem są wszelkie inne szkody, jakie on wyrządza indywidually i społecznie, w porównaniu z tem działaniem niszczącem, jakie szerzy poprzez mózg w sferze psychicznej i tą drogą zabójczo oddziałuje na dusze ludzkie i dalej na ducha społeczeństwa.

A jeżeli tutaj toczy się bój o dusze, to komuż w tych zapasach miejsca ustąpić w pierwszych szeregach, czyliż nie duchownym właśnie naszym, nie duszpasterzom? I kogoż to najbardziej miałaby obchodzić znajomość dokładna sprawy alkoholizmu, jako najgroźniejszego wroga dusz, jako najgroźniejszej choroby dusz — jeżeli nie tego przyrodzonego dusz opiekuna, nie tego przyrodzonego dusz lekarza... A jeżeli tak, to z czemże on się wybierze do swych chorych, skoro nawet nie zna ich choroby, jej istoty, nie wie co w jakim wypadku na nią zapisać, jak ją w poszczególnych momentach indywidualnie potraktować przy takim skomplikowaniu różnorodnych niedomagań... Wszak medyk, jak teolog i prawnik, szczegółowe odbył studja, zanim do swego zabrał się zawodu. A tutaj groźna epidemia takie szerokie zataczająca kręgi i przebieg jej tak złośliwy... Czy wolno lekkomyślnie podążyć w charakterze pogotowia ratunkowego na teren zarazy bez znajomości lekarskich?

Otóż kto zajrzał w odmęt tego piekła, w jakie pogrąża się dusza ludzka, dostawszy się raz na manowce nałogu alkoholowego, ten nabrał pojęcia, ile tu potrzeba delikatności obok gruntownej wiedzy w zakresie ciężkiej choroby woli, którą jest alkoholizm, by trudnej sprawy nie popsuć, lecz właśnie coś pomóc, ulżyć. I dlatego właśnie kapłan musi gruntownie przestudjować i wszechstronnie się zaznajomić z najnowszym stanem alkohologji.

Ona mu powie o rzeczach dziwnych, o jakich nie miał pojęcia, a dopiero wszystko to poznawszy, zda sobie sprawę, jak się zbliżyć do biednego chorego i jak z nim postępować, a co radzić jego jeszcze biedniejszej rodzinie, gdy zacznie się przed księdzem użalać

I jeszcze o jednej się rzeczy przekona, mianowicie, że lekarzowi nie wolno dopuścić do sytuacji, w którejby jego pacjent powiedział: Lekarzu, wpierw ty ulecz się sam... Stanie wtedy przed okiem jego myśli wielka postać owego kardynała, który bezwzględny abstynentem i abstynenckiego ruchu w świecie sztandarowym przywódca, stał się dopiero pod wpływem opryskliwej odpowiedzi strofowanego proletariusza: Pijemy wódkę dlatego, że nas nie stać na wasze napoje... Nigdy do tego doprowadzić nie wolno działaczowi przeciwalkoholowemu, by mu ktoś śmiało wyrzucić: »A ty sam?...«

I na tę myśl przesuwa się spowrotem poprzód oczy moje — kreślony przez poważnego księdza profesora w klasztorным gmachu seminarjum duchownego, obrazek plebanji na górze w czas śnieżnej zamieci. Ten cichy wieczór zimowy i to raz za razem z komina przeraźliwe wycie wichury, niby chichot szatański... To bez miary smutne osamotnienie młodego proboszcza i ta godzina ludzkiej słabości. To nagłe osłabienie woli, ten moment załamania się charakteru, to poddanie się pokusie... a może właśnie walka z nią staczana... a może tylko uleganie zwyczajowi bez zdawania sobie sprawy z istoty niebezpieczeństwa... To wszystko tak zrozumiałe w naturze ludzkiej i tak bardzo ludzkie...

A jednak gdyby w tym momencie, który tak trafnie pedagog duchowny nazwał narodzinami nałogu, zajrzała jakimś nieokreślonym sposobem przez okna do pokoju proboszcza wieś, ta jego parafia — toć chyba wycie

wichury w kominie wydałoby mu się szyderczym śmiechem tłumu calutkiej okolicy... Jakto, on, który przemawiając na święcie młodzieży o tem, jak jej patron doradzał pamiętać, że do wyższych stworzeni jesteśmy rzeczy — byłby mógł powiedzieć: a kiedy ci w ręce wetkną pierwszy kieliszek, rozłucz go demonstracyjnie!... Jakto, on, który przemawiając w stowarzyszeniu dziewcząt w dniu święta druchen o przeczystym dla nich wzorze życia Najświętszej ich Patronki, mógłby przysłtym gospodyniom doradzać: a kiedy w szafie na półce natkniesz się niespodziewanie na butelkę, to zamiast nad kieliszek, przechyl ją nad zlew i wysącz do ostatniej kropli!... Jakto, on!...

A cóż dziwnego? Wszak w czasach, gdy on był na studiach, ruch przeciwalkoholowy znajdował się zaledwie w powijkach, o alkoholologii nie słyszeli jeszcze uczeni, abstynencja zaś należała do dziwactw, stanowiących jeno przedmiot pośmiewiska... Tak było u nas i wszędzie — i dopiero postęp wiedzy mógł pierwszy wyłom wyrąbać w twardym, wielowiekowym murze niewiedzy i przez nią ciemnoty ludzkich zabobonów i tradycji zwyczajów. Tak było — ale już nie jest. Dzisiaj taki proboszcz, jakiegośmy widzieli ówdzie w wieczór śnieżnej zamieci, znałby gruntownie z kursów i studjów najnowsze wyniki badań naukowych w zakresie alkoholizmu i napewne sam prowadziłby w swojej parafii zorganizowany ruch przeciwalkoholowy, któremu patronują dziś w Polsce i w świecie książećta naszego świętego Kościoła.

Świat chorych dusz a radość życia.

Zebrało się paruset słuchaczy w największej sali państwowej uczelni, której nazwa, Szkoła Higieny, upewnia, że przeznaczono ją na szkolenie tych, co mają dbać o zdrowie. Zjechali się z wszystkich stron Rzeczypospolitej na Kurs, który rokrocznie prowadzi Departament Służby Zdrowia w osobie kierownika jednego z najważniejszych referatów Ministerstwa Opieki Społecznej, w warunkach niesłuchanie trudnych troszczącego się o zdrowego ducha w państwie, bo o trzeźwość obywatela. A do jakiego stopnia od niej właśnie zależy zdrowie ducha i ciała człowieka czyli życia radość, o tem w szeregu wykładów powagi w zakresie alkoholologii przez cały tydzień mówią w murach tej na europejską skalę zakrojonej uczelni, na której czele stoi pierwszy w Polsce minister zdrowia. Przypuszczam więc, że w gmachu, w którym jak rok długi to magiczne słowo jest ciągle na ustach i w myślach wszystkich, każdy przedmiot, każda cegła tchnie już ku nowym przybyszom to hasło: zdrowie, zdrowie...

A ja się Was, Szanowni Państwo, zapytam: Gdzie się podziało zdrowie? Czyście je z sobą przywieźli, przynieśli stamtąd gdzie mieszkacie, czyście je widzieli w ulicach stolicy, czyście je spotykali po domach i instytucjach, w których pracujecie, czy znacie ludzi zdrowych, rodziny zdrowe, stany, zawody, środowiska, w których panowałoby

naprawdę zdrowie, zwłaszcza zdrowie psychiczne, umysłowe, duchowe. Pokażcie mi w dzisiejszych czasach dusze zdrowe. Pytam, bo mam wrażenie, że w epoce największego triumfu higieny, tego pałacu bogini, w erze, w której o zdrowie przez rok więcej dba świat, niż troszczył się o nie przez wieki, że w tych naszych czasach właśnie znikło z krajów cywilizowanych to wszystko, co się składa na określenie: zdrowie dusz ludzkich.

Zresztą gdyby tu rozchodziło się o chore jednostki. Ale tu się ma przecież do czynienia ze zbiorowiskiem dusz schorzałych, to społeczeństwo jest już dzisiaj chore, psychicznie chore, anormalne. Zapytacie Państwo zapewne: a któż to statystycznie udowodnił, że niema ludzi psychicznie zdrowych między nami. Ano, jeszcze takiej ankiety na miljardy ludzi obliczonej nie przeprowadzono. I jeżeliby statystycznie chcieć to wybadać, możeby trudności okazały się zaduże. Ale wierzcie mi Państwo, że czasem wrażenie odniesione, spostrzeżenie zrobione przez umysł bystry, intuicja publicysty, starczy za wymowę cyfr statystyki urzędowej. Herezja to z mojej strony, w sali, gdzie każdy prelegent operować będzie w ciągu kursu danymi naukowymi opartymi na statystyce, podawać w wątpliwość jej wyrocznię. Więc właśnie do niej się zwrócę.

Oto w Londynie na czele urzędu rejestrującego pochod chorób umysłowych stoi lekarz - psychjatra, który dokonał sensacyjnych obliczeń. Stanowiłyby one w świecie naukowym rewelację, gdyby można im uwierzyć. Ano, tak. Wszystko, co słuchaczom na podstawie cyfr statystycznych powiedzą prelegenci Kursu, będzie to prawdziwe dlatego, że alkoholologia jest nauką najnowszą w medycynie i opiera swe orzeczenia na podstawie spostrzeżeń i badań z lat ostatnich dopiero, powiedzmy, trzydziestu,

dwudziestu kilku, a to już są czasy, kiedy statystykę w naszych krajach przeprowadzić dla celów naukowych bywało rzeczą możliwą i miała ona już wartość naukową niewątpliwą. Tymczasem w wieku poprzednim nie w każdej dziedzinie ufać dziś możemy obliczeniom poczynionym nawet w najlepszej wierze przez świat naukowy.

Naprzykład choroby umysłowe w połowie stulecia dziewiętnastego nie były jeszcze traktowane w sposób dzisiejszy i dlatego nie można oprzeć statystyki porównywującej stan ich ówczesny z czasem nam współczesnym, a właśnie tak postąpił wspomniany statystyk londyński. Wskazuje on, że lat temu 80, przypadał jeden obłąkany na 535 osób, lat temu 40 już tylko na 312 osób jeden chory psychicznie, a przed dziesięciu laty jeden na 150 osób, czyli liczba ta wzrasta szybko i gdyby choroby umysłowe wzrastały się w stopniu podobnym, to według hipotez tego psychjatri, za lat 40 każdy setny Europejczyk będzie mógł być uznany za obłąkanego, a za lat trzysta nie będzie jednego człowieka normalnego pod względem zdrowia psychicznego, cała Europa zamieni się w szpital warjatów.

Powtarzam, że w tej statystyce jest słaba strona, jeżeli idzie o dawne czasy, oraz, że może trzeba by uwzględnić, iż ostatnia wojna światowa musiała zwiększyć procent ludzi popadających w stan anormalny. Ale ten lekarz londyński mimo wszystko, co byśmy mieli mu do zarzucenia w jego obliczeniach, ma słuszość, bo to są objawy dające tyle do myślenia, że i bez statystyki możnaby to prorokować, a raczej, miałyby rację zupełną, gdyby w Europie nie było takich, jak ta warszawska, uczelni i gdyby w nich nie odbywały się na coraz większą skalę kursy takie właśnie jak niniejszy.

Z tego wynikałoby, że z owym londyńskim lekarzem możemy się spierać jedynie o to, za ile lat będzie z nami już tak źle, ale musimy uznać, że ta groźba nad nami wisi coraz wyraźniej. On jednak mówi o chorobach umysłowych w całej pełni, ja zaś wracam do tego, co powiedziałem na początku: ludzi psychicznie normalnych, a więc w pełni zdrowych na duszy nie spotykamy wokół siebie w ostatnich latach i z trudem możemy się takich doszukać kędyś wśród przyrody, może jeszcze na wsi. Natomiast po wielkich miastach nie za lat 300, jak się jemu zdaje, lecz za kilkanaście lat nie znajdzie się ludzi normalnych.

Możeście się Państwo nad tem nie zastanawiali i wydaje się Wam przesadą wszystko co tu mówię. Ale przyjdzie się sprawie bliżej, a przerażenie Was ogarnie na widok postępów zarazy szerzącej się gwałtownie w postaci psychopatji. Potocznie tyle się mówi dzisiaj o nerwowości, o nerwicach, neurastenji, co dowodzi, że nerwy ludzkie są bardzo napięte, że siła i odporność nerwowa dzisiejszych ludzi słabnie, wyczerpuje się, co prowadzi właśnie do stanów neurastenicznych i do wielu innych cierpień cięższych w dziedzinie psychjatrji.

Jeżeli stal i żelazo przez dłuższy czas ulegając nieustającym a krótkim wstrząśnieniom, nagle, napozór bez przyczyny, pryskają, pękają, to cóż dopiero mówić o ustrojach żywych, o nerwach ludzkich, stanowiących substancję tak delikatną i niesłychanie wrażliwą. A czasy dzisiejsze to dla nerwów ludzkich wieczysta szarpanina, nieustający nigdy łańcuch krótkich a mocnych wstrząśnień. Te trudności życiowe, po wielkich miastach zwłaszcza, z nędzą mieszkaniową związane, z brakiem zarobku, z niepewnością jutra, to życie w ciągłej trwodze o to, co przyniesie za niespodziankę dzień następny...

Ale gdyby nie to wszystko, gdyby nawet powrót do warunków normalnych, poprawa stosunków powszechna, gdyby... Wniknijmy w życie dzisiejsze, wczujmy się w to jego tempo przyśpieszone, odmierzymy tę gorączkę wieczystą, czy może kto dzień przeżyć dzisiaj normalnie spokojnie, bez pośpiechu nerwowego, jeżeli wokół niego huczy stale dzwon alarmowy. Wszystkim musi się śpieszyć, bo wszelkie zawody zamieniono w wyścig pracy, a życie w arenę zawodów sportowych z całą bezmyślnością i brutalnością rekordów, z całkowitym brakiem idei...

Zapewne, że to przyśpieszone tempo życia i ciężka walka o byt ułatwiają zapadanie całym masom ludności na neurastenję. Ale dzisiaj całe rzesze ludzi rodzą się już psychopatami. I właśnie ta obecność między nami na każdym kroku psychopaty tworzy atmosferę, w której nikt nie może być normalnym psychicznie, bo to psychopatyczne otoczenie tak denerwująco oddziałuje na ludzi jeszcze trzymających się mocno — iż wreszcie życie zaczyna nam się zamieniać, jeżeli jeszcze nie w zakład dla obłąkanych, to przynajmniej w przytułek psychopatów.

Kogo tak nazywamy — spytacie Państwo z ciekawością, dziś bowiem każdy proces kryminalny, każdy sensacyjny wypadek w prasie rozmazany szeroko, przynosi tę właśnie nazwę charakterystyczną dla czasów naszych, czasów ludzi psychicznie chorych i anormalnych epidemicznie. Kogo tak nazywamy? Jeden z najświetniejszych znawców tego zagadnienia, znakomity uczony polski, prof. Wachholz w Krakowie, zapytany o to, nie mógł w jakiejś krótkiej definicji dać odpowiedzi dla zadowolenia laika, musiał dawać przeróżne przykłady z przebogatej praktyki własnej w zakresie kryminologii, wogóle oświeślać rzecz z różnych punktów widzenia, na dowód, jak rozległe dziedziny życia obejmuje ta sprawa.

Według jego określenia, medycyna przez psychopatję rozumie zmniejszoną odporność centralnego ustroju nerwowego i nienormalność reakcji na bodźce zewnętrzne i psychiczne. Chcąc to zrozumieć należycie, przypatrzmy się psychopacie w jego życiu codziennem. Uderzy nas przedewszystkiem rys charakterystyczny, że lada drobnostka, lada głupstwo, na które człowiek normalny nawet nie powinienby zwrócić uwagi, co najwyżej zareagować nań łagodnie, wyrozumiale, potrafi psychopatę już wyprowadzić z równowagi, ba, doprowadzić do stanu gwałtownego wybuchu o nieobliczalnych następstwach.

Mało powiedzieć, że psychopata na bodźce błahe, na małe podniety ledwie dające się zauważyć, reaguje nadmiernie, a w każdym razie niewspółmiernie z przyczyną, więcej jeszcze: psychopata potrafi reagować zaraz tak silnie, że ta reakcja ma już wszelkie cechy objawów patologicznych. A więc w takim stanie psychopatycznego afektu traci przytomność, działa naoślep, nie zdaje sobie sprawy ze swego postępu, a często po wszystkim nawet nie pamięta co robił, co się z nim działo...

A teraz zapytam, czy w momencie, w którym tu zwracam uwagę na ten rys tak niezmiernie charakterystyczny, nie przesuwa się Państwu przed oczyma pamięci cały film zdarzeń rzeczywistych z szeregu lat ostatnich? Odwija się obraz za obrazem, w biurze, w sklepie, w tramwaju, w kawiarni, na dancingu, w sali restauracyjnej, na dworcu kolejowym i w pociągu, w hali fabrycznej i w izbie rzemieślnika, w zaciszu domu rodzinnego i na sali sądowej, w sypialni i w szkole, na ratuszu i w parlamencie, w suterrenach zaułka nędzy skrajnej i w pałacu wykwintnej kultury... Wiek, płeć, stan, różnice klasowe, poziom wykształcenia, wszystko to nie gra roli żadnej...

Wszelkie możliwe typy już się nam przesunęły przez ekran wspomnień w różnorodnych okolicznościach, w najodmienniejszych warunkach — i wszędzie coś podobnego wytwarzało jakąś osobliwą scenę dramatyczną, a ileż razy kończącą się tragicznie... Przecież dzisiejsze życie składa się z samych takich obrazów, nad których skomplikowaniem dawniej autor-beletrysta i dramaturg musiał przemyśliwać, podczas gdy teraźniejsza rzeczywistość bywa stale sensacyjniejsza od jego fantazji.

A bohaterami tych obrazów codziennych, z których układa się patologiczny scenariusz filmu kryminalnego dnia dzisiejszego, bywają coraz częściej ludzie zajmujący w społeczeństwie niebyłejakie stanowiska, to znowu ludzie, których cenimy dla ich wiedzy czy pracy. Więc skądże się to wzięło, że mamy doprawdy do czynienia ze społeczeństwem psychopatów... Nauka rejestruje na każdym kroku fakty reagowania na byle drobnostkę przez kulturalnego inteligenta, uchodzącego za psychicznie zdrowego, w sposób wyraźnie przypominający postępowanie furjata. Co dopiero widzieliśmy tego człowieka w formie przyzwoitej stosunków towarzyskich i naraz krew wszystka zbiega mu do twarzy, poczerwieniał, oczy mu zabłyszczały wyrazem jakiejś niesamowitej dzikości, z jaką zrywa się przeciw swemu spokojnemu rozmówcy, a ten przeciwnie, zbladł, zadrżał jakby miał paść i zmiejsca straciwszy wszelką przytomność, ciska w przeciwnika czemkolwiek co mu pod rękę podpadło, mniejsza o to, czy to śmierć niesie czy zniszczenie otoczeniu...

Ludzie tego typu nie są jeszcze szaleńcami, medycyna nie zalicza ich do chorych umysłowo, to psychopaci, którzy potrafią zdobyć się na krok niedający się pojąć zdrowym rozsądkiem, krok niedający się niczem usprawiedliwić, krok, do którego przyczyn nie da się

dotrzeć w żaden logiczny sposób, krok, którego geneza pozostaje niedocieczoną. I oto stajemy przed owym sfinksem, jaki stanowi nieprzeliczone mnóstwo zagadkowych samobójstw czasów dzisiejszych, stajemy przed owym sfinksem, jaki stanowi nieprzeliczone mnóstwo zagadkowych zbrodni czasów dzisiejszych i nierozwiązanych właściwie, a roznamiętniających publiczność, wzburzających tłumy procesów sądowych.

Tego wszystkiego nie popełnili ludzie w stanie wyraźnie chorobowym, lecz nie ludzie normalni psychicznie, medycyna jednak nie umie poprowadzić tutaj ostrej granicy między stanem psychopatycznym a psychopatologicznym, tak kwestja jest trudną. Cały świat przestępczy, z którym poprostu poradzić sobie nie może dzisiejsze państwo, zapełniają właśnie psychopaci. Całe zastępy pesymistów widzących w życiu wszystko w barwach ponuro czarnych lub we wszystkim upatrujących sytuację beznadziejną i bez wyjścia, i wreszcie legiony samobójców, to przeważnie psychopaci. I także rzesza tych optymistów karygodnie lekkomyślnych, na wesoło biorących życie, ale je właśnie tem wpędzających w ślepy zaułek zmarnienia, rekrutuje się z psychopatów. A więc epidemja?

Tak, przeżywamy zarazę nerwicy podobnie do chorób zakaźnych. Ktoś z psychiatrów określił przeżywaną dziś przez ludzkość nerwicę jako zaburzenie stosunku jednostki do społeczeństwa, jako niemożność rozwiązania zagadnienia tego stosunku. Istotnie, wielu ludzi dzisiaj nie rozumie życia, nie jest w możności dostosować się do wymogów tempa przebudowy społecznej i ekonomicznej, życie ich oszałamia, powstaje dysharmonja między społeczeństwem a jednostką słabą, która traci grunt pod nogami, obawa nędzy, lęk o jutro niezabezpieczone, doprowadza łatwo do manji prześladowczej, następują stany

niepokoju, lęków niesamowitych, natręctwa myślowe, co się udziela otoczeniu i opinii, szerzy panikę i brak zaufania do społeczeństwa i państwa, z czego rodzi się dalsza epidemia.

I tak psychonerwice wkraczają przemocą w układ życia zbiorowego, decydują o ważnych urządzeniach społecznych, kształtują życie rodzinne i towarzyskie, zmuszają do liczenia się z nimi mężów stanu podczas pokoju, wodzów podczas wojny, przenikają już nie tylko do życia państwowego, ale i zbiorowego życia narodów. W okresie obecnej przebudowy społecznej, w okresie dzisiejszego kryzysu światowego, ten czynnik psychopatologiczny, ta psychopatyczna epidemia całych społeczeństw kulturalnych odgrywa jedną z ról kierowniczych.

A zatem mamy do czynienia z jedną z plag społecznych, które trapiły ludzkość w różnych epokach świata, ale na które jednak zawsze geniusz rodu ludzkiego znalazł lekarstwo. I tutaj zachodzi pewne podobieństwo z chorobami, jakie masowo tępiły całe ludy, a z którymi już się uporała medycyna, lub zapobiega im dzisiaj praca tych ludzkości dobroczyńców, którzy w puszcę ciemnoty zabobonów niosą pochodnię bogini Hygei. Zanim tedy świat nasz dojdzie do stanu, o którym ów lekarz londyński prorokuje, że zabraknie nam ludzi psychicznie normalnych, higiena psychiczna ustrzeże człowieka normalnego od psychopatii, a psychopatę od choroby umysłowej. Łatwo to powiedzieć, ale gdy się już do tego doprowadziło, że się po swem otoczeniu oglądamy daremnie za zdrowymi pod względem duchowym, toć chyba niełatwe zadanie czeka armję higienistów pod wodzą lekarzy psychjatrów i neurologów, by tak późno ratować społeczeństwo.

Tak jest istotnie, sprawa trudna, ciężka. Oni sami nie pomogą, nie poradzą. I właśnie z tego powodu, w poczuciu obowiązku obywatelskiego strażników zdrowia publicznego, po tę niezbędną pomoc i współpracę konieczną dla dobra sprawy, w interesie narodu i państwa, zwracając się do Was, Szanowni Państwo, którzy wraz z tymi, co tu w poprzednie lata taki sam kurs przechodzili, macie stanowić rozsypane po kraju pogotowie ratunkowe, pogotowie trudniejsze od takiego, co ma pracować w czasie epidemji np. cholery, bo ta rychło minie, pogotowie trudniejsze od tego, co w maskach gazowych pójdzie na wojnę, bo ta także tylko krótko trwać będzie, gdy tymczasem na całe pokolenia obliczać musimy naszą walkę z psychopacją.

Jakto — spytacie Państwo, cóż za związek ma ta sprawa, o której prelegent tyle tu mówi, ze sprawą, dla której słuchacze przybyli na kurs niniejszy. Jaki ma związek, na to odpowiem, zaślaniając się znowu powagą nazwiska prof. Wachholza, którego zdanie w ciągu kilkunastu lat padające z katedry medycyny sądowej, cytuje często jako wyrocznię świat naukowy już nietylko polski, ale i zagraniczny. Według niego, psychopata człowiek się rodzi, jest nim od chwili poczęcia, czyli on już na świat przychodzi duchowo upośledzony. Na to upośledzenie składa się oczywiście wiele przyczyn, a wśród nich rolę największą gra dziedziczność. Cechy zaś psychopatyczne dziedziczy się nietylko po rodzicach, ale i po dalszych przodkach, i dlatego to w zakładach psychiatrycznych bada się pilnie genealogję chorych tak daleko, jak tylko można.

Czyjemże tedy potomstwem są psychopaci — pytamy znakomitego uczonego. Alkoholików i wogóle narkomanów. A ci narkomani, ci alkoholicy, to także psy-

chopaci, bo ludzie normalni nie ulegają tak łatwo nałogom, nie przyzwyczajają się tak odrazu do narkotyków i nawet, gdy już w nałóg popadną, potrafią pozbyć go się szcześnie, gdy psychopata nie ma tyle siły woli, by się z niego wyrwać, wie, jakie on skutki za sobą pociąga, a jednak walczyć z nim nie umie, bo się już z tem upośledzeniem duchowem urodził i żyje i męczy się sam i zamęcza drugih...

A więc koło błędne tragedji, jakiej jeszcze świat nie widział. Tak, to jest ów kryzys duchowy, jaki świat dziś przeżywa. Dusza współczesnego świata zachorowała i dopóki ona męczyć się będzie w tem schorzeniu, dopóty wszystkie pogańskie boginie postępu nie przywrócą mu straconego zdrowia. Jakżeż tę chorą duszę świata uleczyć, cóż jest, coby mu dało uzdrowienie rzeczywiste. Lekarka dusz — religja — woła doń: odszedłeś od Boga, w którym miałeś duchowe zdrowie, wróć do Niego, ozdrowiejesz. A nauka, też jako dusz lekarka, nawołuje całym z tamtą zgodnie: oddaliłeś się zanadto od przyrody, która cię zdrowiem darzyła niezawodnem, żyjesz sztucznie, wbrew prawom natury, wróć do niej, a pozbędziesz się choroby i odzyskać zdołasz upragnione zdrowie, będziesz się cieszył życiem... Atoli świat, niczyich przestróg niepomny, jedną ma na wszystko odpowiedź: Co mi po życiu, ja chcę użycia! I właśnie taka, dla istoty człowieka anormalna odpowiedź jest momentem poczęcia psychopatji.

Dusza zdrowa pragnie życia, duszy chorej zachciewa się użycia. Każda zaś forma użycia jest z reguły nadużyciem i rodzi psychopatję, schorzenie duszy. Anormalny człowiek wyobraża sobie, że życie nie może mu dać radości i wpada na chorobliwy pomysł szukania jej sztucznie w użyciu. Zagadnienie to zresztą odwieczne. Człowiek zależnie od epoki i w każdym kraju inaczej, swoi-

ście, pragnął zawsze i wszędzie szczęścia, chciał się z życia radować, nawet życiem nacieszyć. I o ile cel życia właściwie rozumiał, nie byłoby w tem nic dziwnego. Jeżeli wokół niego przyroda na każdym kroku uśmiecha się pogodnem pięknem, tu się weseli uciechą słońca, tam gody życia wyprawia namiętnie, ówdzie aż tętni tańcem żywiołów, to czyż tylko człowiek pod brzemieniem trosk swego bytu miałby tak spochmurnieć i zgorzknieć, że radość stałaby się dlań rzeczą obojętną?

Właśnie, że nie. Szczęścia na ziemi wszak on się nie wyrzekał nigdy. I nie wyrzekł się nawet chrześcijanin, mimo że jego religja miast uciech tego świata ukazuje zaświatowe królestwo radości jako od tamtych wyższe i cenniejsze. Tylko człowiek sam, błędząc po manowcach i wertepach upadku, zamiast dążyć jedyną prostą, w szczęście wiodącą drogą prawdy, zamienia pełną błogosławionych ukojeń świątynię w ponury, grozę budzący konfesyjonał, u którego we łzach rozpaczy kajać się wciąż musi dlatego, że raz z życia zrobiwszy użycie, brnie bez końca w tragizmie wieczystych omyłek. I — oto już za młodu wołając »hej, nie zaznałem jeszcze radości życia, muszę więc sobie użyć życia!« — sam wplata się w tryby błędnego koła bez wyjścia, bo właśnie to użycie, ciągle gasząc światło radości prawdziwej, wprowadza człowieka w rozpaczliwy stan wieczystego nienasycenia i niezadowolenia, w którym dalej trzeba wciąż do nowych uciekać się środków użycia, a te właśnie rujnują pokolei wszelkie warunki istotnej radości życia.

Któż bowiem cieszyć się może radością, jeżeli nie człowiek, który nie zmarnował największego skarbu życia: zdrowia. Gdy je raz utraci, może być mowa o radości? Nauka odpowie, zali jest miejsce dla zdrowia, gdziekolwiek człowiek zmienił sobie życie w użycie, religja zaś

zawyrokuje, że dusza schorzała od użycia wpada w rozpacz, skoro utraciła możliwość, zdolność radowania się życiem. Socjolog i ekonomista orzekną, że i pod względem gospodarczym, warunkiem szczęścia ludzkiego są stosunki zdrowe, a nie stany chorobliwe, czyli, że gdzie życie normalne przeradza się w używanie, marnotrawienie, zawsze kończące się zabójczym nadużyciem, tam nastaje ruina materialna, a ta w sposób nieunikniony niszczy wszelką radość życia.

Gdziekolwiek nędza zagląda, tam jeszcze straszniej zązębia się owo błędne koło tragiczne, z którego nigdy niema właściwie wyjścia. Kryminolog z filmu własnej praktyki przesunie nam przed oczyma kawałkę scen życiowych, w których wszędzie w ślad za nędzą szła zbrodnia jedynie w poszukiwaniu szczęścia, radości życia. O, człowiek w pogoni za majakiem szczęścia, za złudnym jeno uśmiechem urojonego zadowolenia, gotów ważyć się na wszelką zbrodnię, a jeżeli ten miraż radości zacznie go prześladować, nie zawaha się przed samobójstwem. Bo czymże innym, jeżeli nie samobójstwem systematycznym, czyli powolnym, stopniowym zabijaniem samego siebie pod względem fizycznym i duchowym, jest stan narkozy, do którego ucieka się człowiek szukający w życiu sztucznej radości?

Sztuczne środki odurzające znane były ludziom od wieków niepamiętnych i na różnym stopniu kultury. Atoli tyłu narkotyków, ile ich ma dzisiejszy człowiek w użyciu, nie bywało nigdy przedtem. I nigdy i nigdzie nie było to objawem tak masowym, jak teraz jest wszędzie. To też śmiało rzec można, że poprostu cały świat dzisiejszy poddaje się codziennej, zwykłej, naturalnej operacji życia nie inaczej, jak w stanie znieczulenia. Od sfer kultury najwyższej po sutereny proletariatu ogarnęła ludzi psy-

choza narkozy. Jednego dnia, jednej nocy człowiek współczesny przeżyć już nie umie bez onego chloroformu dla duszy, jakim stają się wszelkiego rodzaju środki sztuczne znieczulające, usypiające lub podniecające, wszystkie dla organizmu ludzkiego szkodliwe, przeważnie zabójcze, a jednak każdemu dostępne na każdym kroku i o wszelkiej porze, używane przez mężczyznę i kobietę, nawet przez dziecko, bez wywoływania czyjegóż oburzenia — ponieważ ludzie anormalni, z których świat dzisiejszy się składa, uważają to za rzecz normalną i niema już komu oburzać się na to, gorszyć się tym stanem rzeczy, zabraniać, sprzeciwiać się — świat ogarnięty psychopatią...

Jak podczas wielkiej wojny świat przywykł do masowego mordowania, grabienia, niszczenia, z podeptaniem wszelkiego prawa Bożego i człowieczego, tak teraz nawyka do tej masowej psychozy, szerzącej przesąd wyłęgły w umysłach anormalnych w interesie psychopatów, jakoby człowiek dzisiejszy nie mógł się już obchodzić bez narkozy. To też nie razi go już żaden jej objaw choćby najwstrętniejszy, mimo że to niekiedy dotyczy np. własnej rodziny i w niej osób przedtem czci najgodniejszych. W przekonaniu człowieka, który stale jakichś sztucznych środków używa na rzekome znieczulenie codziennego bólu bytowania, a więc w przekonaniu alkoholika, bo alkoholizm należy dziś właśnie do objawów najpowszechniejszych nieszczęsnej psychozy, w jego wyobraźni stan narkotyczny, w jaki popada pod wpływem dawki trucizny, jest ową upragnioną radością życia — i do tego zabiegu on się właśnie ucieka tylko dlatego, że ma wrażenie, iż bez żeń życie byłoby bezbarwne i w tej szarzyźnie smutne.

Tymczasem — to jedynie tragiczne złudzenie, kosztujące nieraz życie ludzkie. Bo właśnie dopóki człowiek nie zacznie się zatruwać jakimkolwiek narkotykiem —

a trucizny te w coraz innej postaci bezkarnie rozpowszechniają się dziś w świecie w sposób nieprawdopodobny dla ludzi myślących normalnie, dopóty korzystając może z radości życia przyrodzonej, która potem pod zabójczym wpływem trucizny wypacza się, schodzi na manowce, zatracą naturalność i już nie może się inaczej objawiać, jak w postaci sztucznej, chorobliwej, zwyrodniałej.

A kiedy się zajrzy wgłąb duszy nieszczęsnych ofiar nałogu narkotycznego, otwierają się przed nami bezdenne otchłanie tragedji, które tę urojoną i sfałszowaną radość życia ukazują nam dopiero w świetle właściwym. Alkoholizm np. należy do tych objawów życia zwykłych przez to, że z nim nikt się tak nie kryje, jak z inną narkozą, wszak picie i jego następstwa odbywają się na oczach wszystkich, jak palenie tytoniu, a tymczasem jest to świat przedziwny, tajemny i trzeba tu dopiero zostać niejako wtajemniczonym, by pojąć całe piekło tego osobliwego świata sztucznej radości, kończącej się nie tylko ruiną zdrowia, ale i ostatecznym upadkiem człowieka. Kto bliżej nie pozna najnowszych wyników badań naukowych w tym przedmiocie, a które stanowią właśnie alkoholologję, ten nawet nie przeczuwa, co poza moralistą i pedagogiem, poza ekonomistą, ma tu do powiedzenia ciekawego fizjolog i internista, a nadewszystko neurolog i psychiatra, obok socjologa i kryminologa.

Jeżeli widzimy, że pod wpływem masowego narkotyzowania się zamieniamy świat szybko w ród psychopatów, to ludziom kulturalnym poprostu już nie uchodzi dzisiaj nie zaznajomić się z tak doniosłym zagadnieniem, a skutkiem nieuświadomienia pozwalać nadal szerzyć się wokół psychozie narkozy. Wraz z mnóstwem innych objawów zepsucia, podgryzających zdrowe korzenie społec-

czeństwa, rozpowszechnia świat dzisiejszy wszelką narkomanję pod cynicznie sfałszowanym hasłem radości życia. Już widocznie ostatnie generacje naszych przodków coraz bardziej musiały zaczynać temu hasłu hołdować, skoro potomkowie ich, dziedzicząc nienormalności psychiczne, rodzą się teraz przeważnie psychopatami. Jeżeli tedy współczesny świat prawie że nie zna już naturalnej radości życia i tak masowo, jak nigdy jeszcze w dziejach świata, podlega psychozie wszelakiej narkomanji z alkoholizmem na czele, to świadomie obciążając dziedzicznie całe potomstwo psychopatią, zmierza wprost do tego stanu, jaki mu prorokuje ów psychiatra londyński, którego statystykę przytoczyłem na wstępie.

Dlatego w interesie szczęścia narodu, tej istotnej radości życia naszych przyszłych pokoleń, leży zainteresowanie inteligencji, a przez nią jak najszerszych warstw społeczeństwa, zagadnieniem alkoholizmu, do tego zaś — poza wspomnianem przeze mnie tworzeniem kadr pogotowia ratunkowego, służyć mają właśnie doroczne Kursy alkoholologii. Podawane w nich najnowsze wyniki nauki w tej dziedzinie, przekonają, że zgodnie z tem, co zawsze mówiła religja, godnej człowieka, prawdziwej radości życia nie wolno bezkarnie szukać spomocą sztucznych środków trujących, bo wtedy nietylko rujnuje się mienie osobiste i państwowe, nietylko niszczy zdrowie jednostek, a drogą dziedziczności prowadzi do zwyrodnienia pokoleń następnych, ale jeszcze nieświadomie popełnia się zbrodnię większą: bo stając się winowajcą masowej psychopatii, a więc zabójczego dusz schorzenia, zabija się częśćkę istoty Boskiej, jaką jest dusza ludzka.

Film pijanej poczekalni.

W podróży po Śląsku tak mi raz fatalnie wypadło, że musiałem nocą kilka godzin przesiedzieć na dworcu kolejowym w Katowicach, w oczekiwaniu na swój pociąg, który na dobitkę złego skutkiem wypadku jeszcze się spóźnił wyjątkowo o pięć kwadransów. Była to noc z soboty na niedzielę i ruch pasażerów dało się zauważyć nader wzmożony. Od północy aż do pół do szóstej nad ranem spędziłem na krześle przy stoliku sali restauracyjnej, będącej jedyną poczekalnią drugiej klasy, solidnie, na sposób pruski zbudowanego dworca. Dość zatem było czasu na obserwację dla publicysty. A mimo zmęczenia i zwłaszcza dokuczliwego dymu z cygar, przypatrywałem się bez przerwy z zaciekawieniem temu zaimprovizowanemu filmowi, jaki przesuwiał się przed memi oczyma w ciągu kilku godzin nocnych w stolicy Górnego Śląska.

Wiadomo, że wzrok literata w podobnych razach widzi znacznie więcej aniżeli reszta publiczności, więc i moje oko żadnego nie pominęło szczegółu, do czego też miejsce miałem lepsze niż w kinie: przede mną defilował każdy nowowchodzący i każdy znowu śpieszący z tej sali do swego pociągu. W ten sposób przewinęło się w owym filmie żywym w ciągu nocy około czterystu figur; większość z nich zmieniała się szybko, ciągle ustę-

pując nowym, gdy kilkadziesiąt osób przesiedziało na miejscu po pięć i sześć godzin.

Kto byli ci ludzie — dokładnie trudno mi określić; wszak dzisiaj na ziemiach dawnego zaboru pruskiego rzadko kiedy da się odróżnić w krótkiej obserwacji chłopca czy robotnika od miejscowego inteligenta, bo z odzienia, z wyglądu, z mowy i zachowania się sądząc, zazwyczaj wszyscy są tam równi, nawet do siebie podobni łądząc, zwłaszcza jeśli idzie o Śląsk lub Pomorze. W każdym razie była to — jakbyśmy w innych stronach Polski wychowani — powiedzieli: tak zwana lepsza publiczność, gdyż działo się to w poczekalni klasy drugiej, dokąd portjer nie wpuści pod żadnym warunkiem nikogo z biletem klas trzeciej i czwartej. Dla tamtych obu przeznaczona osobna poczekalnia wspólna różniła się od mojej jedynie tem, że stoliki nie były nakryte serwetą. Zresztą tak samo zasnuwała ją mgła dymu tytoniowego; tak samo huczała wrzawą, z której co chwila wydzierają się wykrzykniki brutalne lub śmiechy jeszcze bardziej prostackie. I tu i tam jednaki był bufet i te same na stolikach napoje.

Dość, że na swoim ekranie miałem w ową noc — zgodnie z napisem u drzwi — tylko ludzi klasy pierwszej i drugiej. Otóż pomijając kobiety, których tam trafiło się wówczas wyjątkowo zaledwie kilka — zechcecie mi, państwo, uwierzyć, iż spośród kilkuset mężczyzn nikt do sali nie wchodził, ni z niej wychodził — trzymając się na nogach pewnie. Była to noc po sobocie, kończącej tydzień pracy i zarobku, noc zaczynająca odpoczynek niedzielny. Nie miałem sposobności spędzić tam innej nocy w podobnych warunkach, więc nie mogę twierdzić, że tak jest zawsze, ale dowiedziałem się na miejscu, że wtedy żadnej wyjątkowej nie było okazji do pijaństwa.

A jednak nie zauważyłem jednego pasażera, któryby albo przyszedł trzeźwy, albo do stolika zasiadłszy, nie kazał sobie podać kufła czy kieliszka. Wszyscy wypróżniali je szybko i powtarzali zamówienie nowych porcyj po wiele razy, więc nie dziw, że jeżeli przedtem nie weszli krokiem chwiejnym, to potem salę opuszczając, starali się nie zataczać, a wtedy krok ich stawał się komicznym jak u wesołków ekranowych — pomijając usposobienie ciągle podniecone, skłonne do wszczynania zwad na każdym kroku lub zaczepiania, napastowania nieznanomych.

Oczywiście widok aż kilkuset naraz ludzi nietrzeźwych w ciągu kilku godzin nocnych w poczekalni klasy drugiej jednego dworca, dał mi powód do mnóstwa głębszych refleksyj — i to wcale nie na ten temat, że ustawa przeciwalkoholowa, wprowadzona w całej Rzplitej przynajmniej na papierze i zapewniająca pijakom w Polsce pewien wypoczynek w noc z soboty na niedzielę — nie obowiązuje w województwie śląskim. Ale cóż z tego, że obowiązuje np. w województwie pomorskim? Otóż jak ten, poprzedzający godziny nabożeństw niedzielnych po kościołach śląskich, film pijanej poczekalni dworca katowickiego, który wrył mi się w duszę głęboką bruzdą smutku — tak mam zdawna w pamięci cały kinematograf własnych długotrwałych obserwacji na Pomorzu w różne dni tygodnia. A treścią ich było jedno: piją tam wszyscy, od starca do dziecka, na wsi i w mieście, w każdej sferze. A potem przyszła kolej na Poznań, na różne miasta i miasteczka wielkopolskie. Patrzałem zbliżka przez lat kilka i wyrobiłem sobie zdanie, że i tam piją wszyscy — piją po niemiecku. Picie codzienne, systematyczne, weszło tam w zwyczaj, wkorzeniło się tak, jak potrzeba zjedzenia obiadu. To niewątpliwie pamiątka po pruskich wychowawcach tych trzech dzielnic w okresie niewoli.

Inaczej znowu piło się przed wojną w Galicji — widziałem i pamiętam -- piło się na wsi w karczmie żydowskiej, w mieście w żydowskim szynku i w chrześcijańskich handerkach śniadankowych, restauracjach i kawiarniach, inaczej niż u braci spod Prusaka, ale piło się dużo, a dziś w wolnej Małopolsce pije się jeszcze więcej — kilkakrotnie więcej, mimo, że już na usprawiedliwienie nie można się żalić, iż to Wiedeń tak nasz lud rozpija perfidnie. Ale tamto wszystko to rozmiarami najmniejsze dzielnice Rzplitej. Największe zaś przestrzenie ziem naszych wróciły do wolnej Polski spod Moskale. I cóżby się okazało, gdyby tam dalej, na kresach wschodnich i bliżej, w województwach środkowych tak sfilmonować życie dzisiejsze, jak ową noc na stacji w Katowicach.

Nie trzeba przypominać, że Moskal, ten rosyjskiego społeczeństwa wyrzutek, którego do nas na służbę caratu przysyłano w mundurze rusyfikatora — pijanicą był notorycznym. Wiemy o tem wszyscy, patrzyliśmy na to przez całe lata własnymi oczyma. Że zaś tak już bywa w naturze ludzkiej, iż nie to się przyjmuje najłatwiej, co dobrym świeci przykładem, lecz zazwyczaj przeciwnie — widok złego jest najzaraźliwszy, przeto nie dziw wcale, że ta zaraza moskiewskiego pijaństwa, zawsze z rozpustą i przekupstwem chodzącego pod rękę — tak się rozlała, jak świerzbica po ciele społeczeństwa polskiego, zarówno na Litwie i Białorusi, na Wołyniu i Podolu, jak w całej Kongresówce, a już w życie samej Warszawy wżarła się tak w krew, że poprostu zagraża sercu narodu.

W dziejach Polski mieliśmy moment opętańczej pląsawicy nad własnym otwartym grobem; szaleńczy kulig zapustny na cmentarzysku swojej wolności — to tragiczne saskie ostatki. A czyjemże dziełem naówczas była

ta pijana rozpusta warstw przodujących w narodzie, jeżeli nie wrogów naszej niepodległości? Ich ministrom nie mogło na niczem bardziej zależeć, jak właśnie na gangrenie moralnej, któraby się rozeszła po wszystkich członkach naszego organizmu narodowego, dopadła mózgu, osaczyła serce, by wreszcie śmiertelne wszcząć zapasy z duchem Polski. W ciągu paru wieków chronią nas cudowne — niematerialne eliksiry życia przed zagładą, którą gotują nam sprzysiężone przeciw Polsce ciemne siły. Ostatnia wojna światowa pozzdierawszy brutalnie wszelkie woale dyplomatyczne, ukazała nam w nagiej prawdzie tajemny związek, jaki na stałą szkodę Polski łączył ręka w rękę naszego wroga ze Wschodu z odwiecznym wrogiem zachodnim.

Gdyby nam dzisiaj jakiś wielki film historjozoficzny przesunął przed oczyma pamięci wszystkich najgroźniejszych, najskuteczniejszych rusyfikatorów — ujrzelibyśmy pod każdą maską carskiego czynownika napewne typową twarz Prusaka, z wzrokiem zapatrzonym w berlińską rację stanu, za przykładem Niemki w roli carycy. Dobrze nam dalej wiadomo, że się w tym stanie rzeczy nic nie odmieniło zasadniczo, gdy Petersburg zmienił się w Leningrad, a za murami Kremla miejsce carów moskiewskich zajęli krwawi kaci sowieckiej czerezwyczajki. Dzisiaj międzynarodówka komunistyczna w Mińsku, Charkowie i Moskwie, jak w Berlinie, ma troskę największą w tem, że tamą jedyną do jej triumfu jest Polska — i cel najważniejszy, że wszystkiemi sposobami dążyć musi do tego, by ona znikła.

Przez całe już wieki jasny duch dziejów Polski zмага się z demonem zła naprowadzającym na nas ciągle mnogie wojska sił ciemnych. Dobrze wieszcz przestrzegał, że największem dla nas niebezpieczeństwem byłby narodu

duch zatruty. Otóż ten wiecznie na życie Polski w interesie jej złych sąsiadów czyhający Szatan zniszczenia ma na celu zaszczerpić jad trupi w krew naszego narodu. Tą gangreną zabójczą jest z kieliszka ród wywodzące zepsucie, które wszędzie i zawsze przeszkadzało nam do odrodzenia i paraliżowało wyzwolenie. Jak słynne saskie zapusty miały się stać narkozą, pod którą mogło dojść do Targowicy w epoce Trzeciego Maja; jak tumaniąca lud propinacja galicyjska służyła do rzezi Szeli w dobie przedwiośnia ludów, a w 70 lat później w godzinie zmartwychwstania Polski do barbarji hajdamackiej; tak ze strony pruskiego wychowawcy ziem Polski zachodniej przyuczanie wszelkich warstw społecznych do systematycznego codziennego alkoholizowania się, jako objawu dobrobytu i dowodu kultury, było dziełem zaiste djabelskim naszego wroga, a miało na celu takie stępienie umysłu inteligenta, by w nim zabrakło miejsca na wszelkie mrzonki polskie — i takie skretynizowanie ludu, by poza dobrym interesem nie znał wyższych aspiracyj nad kufel piwa o każdej dnia porze i butelkę koniaku na okazje uroczystsze.

Taksamo w zaborze rosyjskim — dążący do pograżenia nas na dno upadku, Demon zła zacierał ręce na widok postępów gangrenującej najlepsze sfery polskiego społeczeństwa zarazy, jaką szerzył: żywym przykładem moskiewski pijanica. Od wielkoksiażęcego satrapy i generał-gubernatora poprzez wszystkie generały i pułkowniki w armji, administracji, policji, cenzurze, szkole, teatrze i cerkwi — aż do ostatniego praporszczyka czy rewirowego i najlichszego urzędniczyny w izbie woźnych — każdy bezwstydnie wyciągał umazane w bagnie wieczystego złodziejstwa paluchy żandarmskie po łapówkę, by mieć za co chlać wódkę dniami i nocami i orgje rozpusty wy-

prawić po pijanemu w upadających szantanach, do których Rubel wciągał spod polskiego dachu najpiękniejsze dziewczęta na ofiarę dla molocha Wschodu.

Taki to groteskowo-tragiczny film przez lat stokilkadzieciąt kręcił nam Szatan zniszczenia, zmieniający co pewien czas na swej głowie czapę bojarską na czako grenadjerskie, to znów papachę kozacką na hełm krasnogwardzisty — ale zawsze tymsamym przejęty interesem, byśmy rozsiadłszy się w kinie swych spraw codziennych, mieli stałą szkołę życia na jego ekranie.

Niestety, przerażająco długo udawało mu się nie dopuszczać, byśmy poza nią mieli inną, swoją własną szkołę. I dlatego przez cały wiek niewoli przymusowo w jego pijanym kinematografie wychowywani, musieliśmy wreszcie dać tak osłabić moc swego charakteru, że ostatecznie on właśnie — ten publiczny pijanica - rozpustnik, a publicznego grosza nałogowy złodziej bezwstydnny, stał się naszego obyczaju mentorem. Żeśmy w nikczemności nie zmarnieli jako naród, takiego mając w szkole charakterów nauczyciela podłości, to zaiste cud i jeno dzieło owych — jak powiadam — eliksirów ponadmaterjalnych, życie nam ocalających w imię wyższych celów idei wiekuistej.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że z owej szkoły-trzęsawiska wyszła cała moralność naszego życia współczesnego. I to właśnie usprawiedliwia tyle u nas niedomagań obecnych życia publicznego, kiedy już tak dawno wzorem dla niego w naszym kraju przestała być dziewczka publiczna. I to właśnie wskazuje źródło, skąd się dziś bierze tyle w naszym życiu prywatnem ohydy — mimo, że już od lat kilkunastu zamiast owego pijanicy na ekranie życia codziennego, mamy własną szkołę wzorów swojej starej tradycji i to o wysokim typie wychowania narodowego. Niestety, wpływ zabójczy tak wieloletniego kina

filmów kryminalnych do tego stopnia zaciężył na duszy społeczeństwa, że mu się trudno z niego otrząsnąć.

Długoby jednak walczyć jeszcze z tą zmorą przeszłości nie było trzeba, gdyby dzisiejsza szkoła życia, przez którą przechodzą nowe nasze pokolenia, nie była kinematografem pijanym — jak owa niemogąca się na nogach utrzymać poczekalnia kolejowa w noc z soboty na niedzielę i to właśnie w stolicy kraju najtęższej pracy i najcenniejszych skarbów; kraju uważanego za tak drogi klejnot Rzplitej, jak Bałtyku polskie wybrzeże.

Rozpusta szerzona na naszych ziemiach przez długoletnich obcych okupantów, doprowadziła do tego, że rynek żywego towaru po szerokim świecie zaludniał się najbardziej dziewczętami wywożonemi z Polski — aż na koniec tak się tam za morzami do tego przyzwyczajono, że w pewnym kraju wyraz »polka« stał się synonimem kobiety publicznej. Jeżeli zaś dalej tak jak dzisiaj pić będziemy, to w podobny sposób między słowem pijak a Polak zatraci się różnica u cudzoziemców i niejedyn kraj, jak dziś już w Ameryce Stany Zjednoczone, zamknie przed nami porty z tego powodu jedynie.

My te rzeczy zazwyczaj bierzemy niestety tylko ze strony humorystycznej — gdy coraz szersze używanie napojów alkoholowych staje się istną tragedją narodową, z której nawet sprawy sobie nie zdają ani publicyści, ani działacze społeczni, ani kierownicy nawy państwowej.

Spróbujmy puścić w ruch film życia ludzkiego w zwierciadle alkoholologii, a nakręcony na podwórku naszej przeciętności — bez uciekania się nawet do sensacyjnych tematów jakichś warunków wyjątkowych. Oto współczesny żywot człowieka pocziwego od kolebki do grobu. Oczywiście przesada literacka — powie mi każdy — wszak tak źle nie jest, by człowiek zaczynał pić już od

kolebki. Ba, gorzej — bo ten początek przypada znacznie wcześniej nim się człowiek znajdzie w kołysce.

Dyrektor dużej szkoły publicznej w jednym z grodów wielkopolskich wpobliżu granicy, opowiada znajomym, że się spodziewa potomka, bo nie uchodzi, by długoletni wychowawca licznych rzesz młodzieży sam był bezdzietny. »Jak się urodzi syn — zaraz mu dam wódki. Niech się nauczy wcześniej i przyzwyczai, to mu potem szkodzić nie będzie. Mnie pić dzisiaj nie wolno, bom chory.« Mimo takich zapewnień, przyjaciele tego pedagoga wiedzą, że go codzień w mieście widzieć można pijanego; że alkohol dawno w nim wyniszczył nerki, to też lekarze pić mu nie pozwalają i dlatego żona go wyciąga z szynków, za co wciąż się nad nią znęca brutalnie. Jego pijaństwo stało się też przyczyną, dlaczego mu dzieci wymierają w pierwszych tygodniach lub giną jeszcze przedwcześnie. Zapewne więc i nowooczekiwany syn, zanim go ojciec wódką uraczy, już w zatrutym od poczęcia organizmie wszystkie jej skutki na świat przyniesie.

Z chrzcinami dyrektor nie myśli też długo czekać, już zgóry gości sprasza na tę uroczystość i dużo trunków na nią zamówił. Ano, wiadomo, chrzciny w życiu człowieka chwila ważna i jedyna — nigdy się już nie powtórzy. Toż sobie rodzice w tym dniu godnie poczynają. W pewnym domu zamożny gospodarz, sam tego podchmielony, wlewał w gardło wódkę masami gościom i domownikom, więc i żonie-położnicy ciężko chorej — i zastępującej ją przy noworodku mamce. Pierwszą odwieziono rychło do domu warjatów po zapaleniu mózgu, druga zaraz odeszła niepotrzebna, bo niemowlę u jej piersi zmarło jeszcze przy gościach — zabite silną dawką alkoholu w pokarmie.

Zato w innym domu dziecko przywitane huczną pijatyką w dniu przyjścia na świat, a zwłaszcza po chrzestnym obrzędzie, chowa się jakoś szczęśliwie. Raz i drugi wypito z maminej szklanki trochę piwa, to znów wujaszek dał mu skosztować wódeczki ze swego kieliszka, a gdy dziadzio przyjdzie i pije herbatę z rumem, pie-szczoszek dostanie z niej kostkę nierozpuszczoną cukru nasyconego wonnym alkoholem; ciocia zaś innych cukierków nigdy nie przynosi, jak pomadki czekoladowe z koniakiem w środku. Tak dzieciak rośnie oswojony od lat najwcześniejszych z tą trucizną i nawet sam do niej uczuwa pociąg, po ojcu już wrodzony, więc w cukierni między ciastkami wyszukuje takich, co maczane są w spirytualjach; w domu z kredensu ukradkiem wypija likiery; często umyślnie narzeka na ból brzuszka, bo wie, że wtedy dostanie na cukrze specjalnie przez rodziców używane krople, będące raczej mocną miętową wódką. A potem — na ławie szkolnej dziecko niedomaga, więc za poradą starszej daty lekarza lub tylko za namową doświadczonych przyjaciół karmi się je winem leczniczem lub innemi narkotykami na spirytusie. A święta i wszelkie uroczystości rodzinne, pobyt gości w domu lub u znajomych wizyta, toć zawsze okazja, by i dzieci wraz z dorosłymi uczestniczyły w tem, co zazwyczaj bywa tego treścią, a treści tej kwintesencją — alkohol.

Są jednak domy, w których nie trzeba na to sposobności wyjątkowych, bo w nich, zależnie od dzielnicy kraju i klasy społecznej, jakiś napój spirytusowy jest regułą na codzień, jak rosół czy herbata, a w takich domach między małoletnimi a starszymi domownikami już się różnic nie robi u stołu. Dawniej, kiedy pod względem świadomości o złem działaniu takich napojów było społeczeństwo naogół jeszcze masą ciemną, jednakowoż

instynkt rodzicielski przestrzegał nawet najmniej inteligentnych, by od pewnych napojów trzymać do czasu zdala młodzież, nie mówiąc nawet o dziatwie. Dziś zaś, gdy coraz bardziej przenikać może ta prawda do wszelkich sfer publiczności, instynkt starszych na tym punkcie tak stępieł pod wpływem ogólnej narkozy spirytusowej, że patrzą z zupełną obojętnością na dziecko sięgające w ich obecności po kieliszek.

Ale też zaiste jest rzeczą trudną dla alkoholika w roli ojca perorować na taki drażliwy temat własnym dzieciom. Wszak matka, nad ranem wracająca do domu z dancingu, nie ma ochoty strofować młodziutkiej córki, mimo, że zbyt długa nieobecność panienki w domu wydaje się nieraz podejrzaną.

Jak widzimy, sami rodzice nie powstrzymują swych dzieci od używania alkoholu. A już tam, gdzie dla nich urządzają domowe zabawy, inne dzieci do siebie na nie spraszając, traktują je po swojemu i zastawiają spirytualja. Istnieje np. zwyczaj w dzielnicach Polski zachodniej urządzania tak zwanych »przyjęcin« w domu katolickim, z którego dziecko było tego dnia u pierwszej Komunji (na wzór niemieckiego zwyczaju z okazji konfirmacji u ewangelików). Otóż te »przyjęciny«, na które schodzą się goście tłumnie i oczywiście także młodociani towarzysze dziewczątka czy chłopczyka, zamieniają się w libacje alkoholowe, pełne ordynarnej wrzawy pijackiej, a uczestniczy w tem cały czas dziecko, które ma zapamiętać sobie na całe życie wrażenie pierwszego przystąpienia do Sakramentu.

I wogóle każde ważniejsze zdarzenie życiowe, którego wspomnienie możeby nam ową górną przeżyłą chwilą przyświecać miało przez wszystkie lata następne, mamy zwyczaj zatapiać w błocie pijaństwa. Toż nieraz

można spotkać człowieka starszego, dziś już zapóźno zdającego sobie sprawę z alkoholizmu, jak z żalem opowiada o najwybitniejszych momentach własnej młodości, że mu wszystko przysłonił jakby tuman niepamięci, idący od oparów wielkiego pijaństwa, którem miało się tę ważną chwilę upamiętnić. Nie obeszła się bez tego matura, jak wszelkie akademickie egzaminy, wyzwoliny z praktyki, wstąpienie do nowego zawodu, podobnie jak wybór na zaszczytną godność, czy przyjęcie uroczyste do jakiejś korporacji. Tak później sprawa z małżeństwem, zaręczyny, a na wsi owe liczne obrzędy tradycyjnych swatów, tak dziś zapijane — inaugurują odrazu alkoholem cały okres niejako misterjum życiowego, które daje początek nowym pokoleniom.

Cóż z tego, że obiecujemy młodzieńca czy dziewczynę wychować już zdala od tego nałogu, gdy ich rodzice postarali się dać im z siebie wszystko, co się złożyć może na nieszczęście ofiary alkoholizmu, z wszelkimi złemi skłonnościami i perspektywą chorób dziedzicznych, aż po dom warjatów. Wiemy jak zazwyczaj forsownie alkoholizuje się człowiek w przeddzień ślubu przy okazji różnych pożegnań stanu kawalerskiego. Na zajutrz, tuż po sakramencie kościelnym, następuje libacja weselna, nieraz trwająca! bez przerwy aż kilkadziesiąt godzin, ale choćby jedną noc tylko, zawsze niestety, uczta ślubna polega na tem, by przyszli rodzice do aktu dającego życie nowemu człowiekowi, przystąpili z taką dozą trucizny alkoholowej w krwi swojej, iż żadne dziecko pierworodne nie jest wolne od przeklętych jej skutków. Mało tego. Przez następne miesiące przyszła matka w myśl przesądów, pije, w dalszym ciągu zatruwając owoc swojego żywota. I pije, kiedy go na świat już wyda, nie

pomnąc, że zatruwa pokarm, od którego najwięcej zależy będzie zdrowie całego życia jej dziecka.

Spytajcie specjalistów znających najnowsze wyniki badań naukowych w tej dziedzinie, a na podstawie tego, co wam o tem powiedzą, dojdziecie do wniosku, że każda alkoholu kropla, to z całym spokojem, nawet z cynizmem przez rodziców popełniane dzieciobójstwo. Katem losu własnego potomstwa staje się ojciec alkoholizujący się przed aktem poślubnym. Zbrodniarką jest matka, jadąc zabójczym alkoholem zatruwająca krew swoją, z której życie ma brać jej dziecko.

Odpuść im, Panie, albowiem nie wiedzą co czynią — modlił się do Ojca w niebie miłosierny Chrystus. A jeżeli dziś wiedzą? Jeżeli już ich nie usprawiedliwia dawna nieświadomość? Zapytajmy, kto są ci, co dziś używają alkoholu; zali to jedynie ciemna masa, do której nie doszły jeszcze wiadomości o tem, jak on szkodzi. Czyż zatem nie słyszeli o tej szkodliwości, o tem działaniu zabójczym spirytusowej trucizny wszyscy inteligenci, swoim nałogiem utrzymujący masowo handel, a tem samem i wyrób piwa, wina, rumu, likierów, koniaków i wszelakiej wódki. Wszak nie od dzisiaj dopiero alarmuje się tem społeczeństwo. Zatem wiedzą o niebezpieczeństwie — i mimo to pełne są wszystkie lokale, gdzie się tą trucizną handluje.

Film dzisiejszego życia, gdyby miał być szczerze prawdziwy, musiałby pokazać człowieka, który ciągle i wszędzie pije, a jeżeli sposobności do tego nie ma, to sobie nadzwyczajnych wyszukuje okazji, byle mieć powód do picia. Zdaje się, że niestety większych do tego niema na świecie specjalistów, jak Polacy, robiący to często przez narodową tradycję przysłowiowej gościnności staropolskiej, której nadziwić się nie mogą — nigdzie

do takiej bankietomanji nie przywykli cudzoziemcy, ile razy nas odwiedzają. Ale też nie przywykli oni spotykać po szerokim świecie kulturalnym takiego jak u nas próżniactwa, które obcemu przybyszowi zdradza wszędzie pełen o każdej porze handel śniadankowy i szynk wszelkiego kalibru, oraz wieczyście przepętniona kawiarnia i cukiernia, jak gdyby u nas nikt nie potrzebował pracować, a wszystkich stać było na wysiadywanie w lokalach publicznych za dnia powszedniego, właśnie w godzinach, w których wszędzie się pracuje. I tutaj znowu jeżeliby się chciało szukać właściwej przyczyny owego próżniactwa ogólnego — należałoby wskazać przyzwyczajenie się do picia, a bodźcem i okazją do tego jest oczywiście ta łatwość, z jaką każdy wszędzie ma możliwość zaspokojenia o każdej porze swojej namiętności, bo wszelki u nas lokal publiczny, bez względu na to, do jakiego właściwie mógłby służyć celu, zamieniono na wyszynk trunków — tylko różnej klasy.

I dzięki tym ułatwieniom, człowiek od lat najmłodszych, odkąd tylko ma już grosz w ręce, zdobyty zarobkiem uczciwym czy oszustwem, złodziejstwem, przepija go w knajpie i w domu, rujnując zdrowie własne, swojej rodziny i swego narodu; upadlając siebie i państwo, którego jest obywatelem; podrywając coraz bardziej podstawy moralne, na których opiera się ustrój społeczny. Każde święto będące pamiątką rzeczy wielkich o treści głębokiej, zamienia się przez pijaństwo w dzień hańby, nie tylko samych jego uczestników rujnujący fizycznie i materialnie, ale jeszcze spadający przekleństwem na przyszłe pokolenia, których narodzinom dał początek. I jak niema dziś w roku święta, któregooby człowiek nie splugawił swem opilstwem, tak w życiu człowieka niema już dni

w późny wiek pamiętnych, którychby nie zalało pijaństwo wstydem.

Tak oto marnie dobiega ten film ludzkiego żywota do sceny końcowej, którą tak często teraz bywa nagła śmierć przedwczesna jako nieuniknione następstwo alkoholizmu. A nawet pogrzeb jeszcze staje się w wielu wypadkach okazją do stypowych libacyj. Nie kończy się jednak film ów z pogrzebem, który właśnie najczęściej otwiera nowy, sensacyjniejszy akt kinowego dramatu. Oto występują dopiero na scenę ofiary niewinne zmarłego alkoholika. Pomyśleć tylko co za tłumy kretynów, idiotów, epileptyków, paralityków, histeryków, szaleńców, zbrodniarzy i samobójców zaludnią ekran filmu, którego pierwszą serją dopiero była owa pijana poczekalnia kolejowa.

Niestety zdaje mi się, że odkąd widziałem ją na dworcu stolicy kraju, w którym wszyscy stoją przez tydzień u warsztatu wytężonej pracy, to chyba w tych dzielnicach Rzplitej, gdzie obywatele mają czas cały tydzień spędzać noce w kabaretach, a dni u bufetu najeżonego butelkami, wszystkie już osady ludzkie zamieniają się właśnie w takie, niemogące się na nogach utrzymać poczekalnie.

Kiedy w zbołałych myślach snuję tragiczny scenariusz filmu naszego życia dzisiejszego — to mi się przez przymknięte powieki widzi cała ziemia polska w drgawkach *delirium* opilczego. Niema trzeźwych, nikt pewnym krokiem się nie porusza, nikt mocno ustać w miejscu nie umie — bo mu się pod nogami wszystko trzęsie z powszechnego zepsucia. Już poza mgłą dymów zabójczych i mroków nocnych zaczyna się rano rozwidniać. Oto na stację pociąg zajechał i ma powieść w świat. Cóż, kiedy wszyscy z kieliszkami w ręce zataczając się po pijanej

poczekalni, trafić nie mogą do drzwi, by się na szeroki tor prawdziwej wolności wydostać.

Czekam i wyglądam jakiejś na tym ekranie ponurym błyskawicy przerażająco jasnej, w której świetle ujrzawszy w całej ohydzie twarz demona zła — otrzeźwiałyby naród odrazu i na zawsze precz odrzuciwszy zdradny kieliszek z trucizną wieczystą, zawołał:

Przestań nas wodzić na pokuszenie!

W wyścigu pracy.

Jakże często w Polsce powtarzane bywa przy różnych okazjach wyrażenie Marszałka Piłsudskiego o naszej erze, która nastąpiła po krwawych zmaganiach się z żelazem w ręce, że musi to być *wyścig pracy*. Otóż mnie się zdaje, że tych mądrych słów, które lapidarnie trafiając w sedno rzeczy, o ile idzie o określenie charakteru naszych czasów, idących w przyszłość w zawrotnie przyspieszonym tempie życia, używa się zazwyczaj bez głębszego wnikięcia w ich głęboką treść. Miałbym tedy pewne zastrzeżenia.

Wyścig pracy. Na dźwięk tych wyrazów stają nam w myśli pewne obrazy. Więc ktoś z drugim idzie w zawody, ktoś chce innym sprostać w biegu, jeden drugiego przegania, zмага się z kimś w walce ostatecznej, wreszcie zwycięża. Ale mnie, jako abstynentowi, zaraz ciśnie się na myśl zestawienie w takich zapasach trzeźwego z nietrzeźwym. I każdy przyznać mi musi, że do mety łątwo i niezawodnie pierwszym dojdzie abstynent pełen sił i zdrowia, a zwłaszcza trzeźwej myśli, gdy tymczasem jego nietrzeźwy współzawodnik najdalej w pół drogi padnie wśród powszechnego śmiechu i drwin głośnych.

Podobnie z warształtem pracy. I tutaj wynik zawodów jednaki. Gdy przyjdzie godzina zapłaty, abstynent odda robotę na czas wykończoną precyzyjnie, bo mógł

pracować wytrwale, spokojnie, dobrze, a nie mógł mu sprostać niewolnik nałogu, ta nieszczęsna ofiara alkoholizmu, który zrujnował wszystko, czego właśnie trzeba nieodzownie w każdym wyścigu pracy.

A teraz jeżeli z jednostek przeniesiemy myśl na społeczeństwa, na narody, na państwa, to czyż możemy mieć co do tego jakiegokolwiek wątpliwości, że tak samo w każdego rodzaju wyścigu naszych czasów zwyciężyć będą mogły jedynie narody abstynentów, jedynie państwa trzeźwości. I oto wyraźna dla nas wskazówka, że wielkie, wszechogarniające hasło wyścigu pracy w świecie dzisiejszym, a więc wyścigu mięśni, nerwów i mózgów, nie może być inaczej realizowane, jak tylko pod warunkiem zupełnej trzeźwości.

Do niej zachęca nas ze względów etycznych każda religia; zaleca ją ze względów zdrowotnych nauka w wyniku swoich najnowszych badań; wymaga jej wreszcie w interesie własnym każdy pracodawca, zarówno jednostka, jak instytucja zbiorowa, zarówno firma prywatna, jak państwo, zarówno w rzemiośle, handlu i przemyśle, jak w zawodach wyzwolonych, czy służbie publicznej, cywilnej i wojskowej.

Weźmy pokolei pod uwagę posterunki służby państwowej i próbujmy znaleźć między nimi choćby jeden, któryby się mógł obejść bez trzeźwości. A więc siła zbrojna, obrona kraju przed nieprzyjacielem zagrażającym wolności, to na wypadek wojny; a w czasach pokoju — obrona ludności wobec klęsk żywiołowych, podobnie jak straż czuwająca bezustannie na pograniczach państwa, a wewnątrz kraju policja, pilnująca ładu, porządku i bezpieczeństwa publicznego, narówni ze strażami ogniowymi na wsi i w mieście, z wszelkiego rodzaju pogotowiem ratunkowym i wszelaką rezerwą Czerwonego Krzyża, Ligi

Obrony Powietrznej i Przeciwigazowej, Przysposobienia Wojskowego i tym podobnych organizacyj pomocniczych.

Otóż czy w tej, jak najszerzej pojętej, olbrzymiej armji Rzeczypospolitej, w latach pokoju i w potrzebie wojennej, wolno być przez jedną godzinę nietrzeźwym komukolwiek, od wodza począwszy, poprzez wszystkich oficerów i podkomendnych, aż do ostatniego szeregowca; czy wolno w dobie przeszkolenia i w godzinie wypełniania swego posłannictwa, na służbie i na wywczasach, bo nigdy niewiadomo, kiedy i jak znienacka ozwie się sygnał alarmowy.

Zastanówmy się, czy stanem nietrzeźwości może być zamacona, płodna w następstwa chwila, w której rodzi się ważne postanowienie wodza lub wogóle zarządzenie kierownika doniosłej akcji. Albo czy jego rozkaz, mający może zaważyć na obrocie sprawy, czasem na losach narodu, ba, na istnieniu państwa, miałyby być wykonywany przez podwładnych w stadjum zamroczenia, więc w nieprzytomności umysłu, w godzinie niezdawania sobie sprawy, jak się postępuje, co się robi. A zresztą choćby życie jednostki lub byt jednej rodziny, zależały od wypełnienia czyichś poleceń w stanie trzeźwym czy nietrzeźwym...

Ale wogóle z myślą o tych różnicach subtelnych, jakie zachodzą między obu stanami umysłu i sprawności ustroju ludzkiego, rozejrzyjmy się w życiu i jego różnorodnych okolicznościach, kiedykolwiek potrzeba za dni pokoju policjanta i pracownika organizacyj społecznych, sanitariusza i strażaka, sapersa i żołnierza wszelkiej innej broni.

Jakaś masowa katastrofa kolejowa; rozruchy uliczne w wielkiem mieście lub na terenie fabrycznym, strajki na kopalniach, bunt po wsiach; walka z rozszałym żywio-

łem przy ogromnym pożarze; akcja na szeroką skalę zapobiegawcza i ratunkowa przy olbrzymiej powodzi; albo przerażających rozmiarów epidemja, czy też masowy ruch terrorystyczny; nagły wybuch rewolucji, zamach stanu, rozpętanie się anarchji w normalnych stosunkach praworządnych; niespodziewany run na kasy oszczędności; jakiś nieprzewidziany przypadek masowej psychozy; z nagłą wybuchająca panika w tłumie stutysięcznym pod gołym niebem w czasie olbrzymiego zjazdu pielgrzymek, czy po rzuceniu bomby przed trybuny na wielkiej reprezentacyjnej rewji wojsk, a choćby w przepełnionym cyrku, kinie, teatrze.

Przecież to wszystko dzieje się gdzieś codzień i zdarzyć się może wszędzie, a taki moment tragiczny wymaga nadzwyczajnej przytomności umysłu, tej dosłownie trzeźwej myśli, jeżeli zaś sytuacja katastrofalna, naprzykład powódź, przeciąga się z doby na dobę i wytrzymuje uczestników akcji ratowniczej dniami i nocami bez przerwy w wyczerpaniu sił z bezsenności, a w ciągłym napięciu nerwów, to rzecz łatwo zrozumiała, że tu pożytek sprawie przyniesie jedynie organizm narkotycznymi środkami niewyniszczony i dlatego wytrwały na niespodziewane trudy, wytrzymały na przejścia targające nerwami, a przede wszystkim rozporządzający dowoli myślą jasną, niczem niezaćmioną, spojrzeniem bystrem, niczem niezamroczeniem, uwagą nałogiem nierozproszoną, umysłem zdolnym się skupić i powziąć postanowienie.

A doświadczenie wykazało, że w takich i tym podobnych wypadkach i kataklizmach czasu pokoju, taksamo, jak w zawierusze wojennej, szarpiącej nerwy ludzkie w strzępy, brał zawsze bezwzględny abstynent, jako stale trzeźwy, górę nad nigdy właściwie niezdolnym do przytomności umysłu narkomanem wszelakiego typu.

Ale może powie ktoś, że się tu wyszukuje jakieś wypadki nadzwyczajne, gdy tymczasem życie codzienne tylko na podstawie stałej lektury prasy brukowej możnaby określić jako składające się wyłącznie ze zdarzeń natury sensacyjnej, chociaż coprawda czasy ostatnie — może w następstwie masowej narkomanji — przedstawiają iście fantastyczny spłot nieprawdopodobnej naraz ilości tragedij i kataklizmów w życiu indywidualnem i zbiorowem. Weźmy zatem pod uwagę właśnie to życie szare, które się plecie z codzienności bezbarwnej — i, przypatrując mu się uważnie, osądźmy, zali jest i tu miejsce na swobodę w dziedzinie trzeźwości, o ile idzie o którykolwiek posterunek urzędowy.

A więc policja państwowa, a więc straż celna, a więc obrona pogranicza, a więc straż pożarna, a więc straż wojskowa pilnująca przeróżnych obiektów obrony państwa, czy w jej służbie tajemnic militarnych. Przecież w tym zakresie każdego bez wyjątku człowieka obowiązować musi hasło harcerskie »czuwaj« — które w poprzednich pokoleniach rycerstwa kresowego opiewało w Polsce »czuj duch!« A czujnością odznaczać się może tylko abstynent.

I tu odrazu miejsce powiedzieć, że nie idzie o to, by on był trzeźwym tylko, kiedy stoi na warcie, bo w tym momencie stać się może coś niebezpiecznego, a on tego w stanie półprzytomnym nie zobaczy, nie usłyszy, nie zrozumie. Gorzej: może się zdarzyć, że on będzie wtedy właśnie trzeźwym i zgodzi się mimo to na dopuszczenie jakiegoś niebezpieczeństwa, na spełnienie czyjegoś przestępstwa... Jakto? Ano poprostu. Ludzie są ludźmi i świat dzisiejszy bądź co bądź dalekim jest od doskonałości, unoszą się wciąż nad nim w powietrzu miazmaty zła, wiatr roznosi zarazki zepsucia, a są między temi zarazkami

szczególnie dla państwa niebezpieczne, dla stanu moralnego społeczeństwa groźne, bakterie przekupstwa. Czyż trzeba wyjaśniać, że tej pokusie najłatwiej ulegnie człowiek hołdujący nałogom i że właśnie z jego nietrzeźwości korzysta korupcja i przestępstwo.

Czy to będzie napad na skład broni, czy wysadzenie w powietrze magazynu amunicji lub wykradzenie planów mobilizacyjnych i map fortyfikacji, czy też oszustwo na cle lub przemyt na pograniczu, czy umyślne utrudnienie, opóźnienie akcji ratowniczej przy pożarze, czy jakiegokolwiek przez złoczyńców podejście policji, zamknięcie jej oczu i uszu, stępienie jej czujności — wszystko to jest możliwe tylko tam, gdzie zachodzi wypadek nałogowego hołdowania jakiejś narkomanji u funkcjonariusza służby publicznej.

Zbrodniarz nietylko wykorzysta godzinę nieprzytomności posterunku, bo taki może sam do tego nie dopuścić, albo przełożeni nie pozwolą mu w nietrzeźwym stanie objąć służby lub warty. Ale zbrodniarz świadomy rzeczy skorzysta z czego innego. On czasem traktuje z nałogowcem właśnie wtedy, gdy ten jest trzeźwy i gdy strasznie łaknie środków pieniężnych na zaspokojenie swojej narkomanji: on go wtedy kusi, pod jakimi warunkami dostarczyłby mu na to funduszków, a wie, że używanie tych środków odurzających już z niego musiało do ostatka wyprać wszelkie cechy charakteru abstynenta, jak honor i poczucie obowiązku. I na tem właśnie wygrywa zdrajca, terrorysta, przemytnik, defraudant, oszust i wszelaki złodziej, potrzebujący do powodzenia niecnego procederu koniecznie uspiania czujności policjanta, czy jakiego innego strażnika bezpieczeństwa i porządku publicznego.

A teraz wszystko to samo, co do tamtych kategorii, odnieśmy do pocztowców, do bankowców, dalej do wszelkich dykasteryj urzędników, a tu miejmy jeszcze wzgląd na precyzyjność maszyny biurowej, wymagającej systematycznej pracy w pełni trzeźwości, a jednocześnie, podobnie jak było tam, dotrzymania tajemnicy służbowej. Idźmy dalej. Zawód pedagogiczny: szkoła publiczna i zamknięty zakład wychowawczy. Jak tam wszędzie był wyścig czujności, tak tutaj warunkiem ciągła przytomność umysłu stale trzeźwego.

Nieinaczej w pracowni naukowej, kędy się rodzić mają odkrycia i wynalazki, coraz dalej w postępie kultury popychające kulę ziemską i coraz wyżej podnoszące człowieka, a nieraz wstrząsające w posadach świat dotychczasowych pojęć i poglądów. To jest ów wielki wyścig mózgów, do którego startować wolno chyba tylko na arenie bezwzględnej trzeźwości, a w którym do mety dochodzić mogą jedynie abstynenci, zupełnie taksamo, jak na biegunie przeciwnym — w zapasach sportowców, których wszystkie zalety zawodowe mają źródło jedynie w trzeźwości.

Atoli nie na sporcie bynajmniej, mimo jego przerostu dzisiejszego, polega wyścig pracy mięśni. Górnik i robotnik fabryczny, rzemieślnik i w każdym zawodzie pomocnik fizycznie pracujący, to armja potężna, która i indywidualnie i masowo zwyciężać dziś może w wyścigu życiowym jedynie trzeźwością i uczciwością, podczas gdy afery korupcyjne, skandale spekulacyjne, oszustwa i defraudacje, popełniane dla zdobycia grosza na hulanki lub tylko dla zaspakajania swego głodu narkotycznego, demoralizują społeczeństwo i rujnują państwo.

Któż może mieć zaufanie do aptekarza, lekarza, sanitariusza, jeżeli przekona się o ich nietrzeźwości, która

wszak zagraża nieraz życiu pacjenta. A cóż dopiero powiedzieć o komunikacji. Samolot i samochód, autobus i tramwaj, dorożka miejska i bryczka na wsi, okręt, łódź i prom na wodzie, czy pociąg kolejowy na lądzie — wszystko to dopóty bezpieczne, dopóki je prowadzi człowiek trzeźwy. Każda zaś katastrofa ruchu, która jest na porządku dnia dzisiejszego w stopniu nigdy niebywałym, ma swoje źródło pośrednio lub bezpośrednio napewno w narkomanji obsługi wozu, przyczem fakt, że maszynista, pilot, szofer, motocyklista, nie był w danej chwili nietrzeźwym, nie dowodzi niczego, ponieważ właściwym sprawcą katastrofy były następstwa używania środków odurzających, które w mózgu, w oku, w zmyśle czucia, zdążyły już poczynić spustoszenia napozór niewidoczne dla laika, i człowiek prowadzący pociąg lub wóz wydaje się niewinnym, wyruszywszy w stanie, jaki nie objawiał żadnych cech nietrzeźwości.

Z tego ani on, ani jego otoczenie, a przedewszystkiem jego przełożeni czy pracodawcy, nie zdają sobie wcale sprawy i przez to właśnie stają się sprawcami coraz groźniejszego, coraz powszechniejszego, kataklizmu w dziedzinie ruchu; a przecież ten ruch, to odbicie tempa życia dzisiejszego, to ten właściwy wyścig pracy, wyścig badań i odkryć naukowych, wyścig wynalazków technicznych, to zapasy mierzących nawzajem swe siły zawodników, zapasy, które mogą się odbywać jedynie w atmosferze trzeźwości, jeżeli mają prowadzić do mety zwycięstw.

Przebiegliśmy oto w myśli wszystkie posterunki życia współczesnego — i nie trafiliśmy na żaden, o którym dałoby się z czystem sumieniem powiedzieć, że mu wolno zapomnieć o zasadzie trzeźwości. A tymczasem my,

którzy niejako z urzędu *) trzymamy rękę na pulsie tego ruchu na to, by istotny stan rzeczy dokładnie poznawszy, kierować akcją społeczną zwalczania nałogów odurzających, możemy z czystym sumieniem powiedzieć, że niema stanowiska w służbie publicznej, że niema zawodu, w którymby się nie trafiała nietrzeźwość.

Dlaczego? Dlatego, że powzięte w ostatnim czasie, na podstawie badań i doświadczeń, orzeczenie nauki o zabójczym oddziaływaniu alkoholizmu na organizm ludzki, nie zostało jeszcze dostatecznie spopularyzowane w społeczeństwie, które, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, toleruje w zwyczajach towarzyskich i różnych obrzędach tradycyjnych używanie napojów odurzających i tą drogą tysiące ludzi, zwłaszcza dziedzicznie obciążonych skłonnością do narkomanii, wpędza w nałóg rujnujący im zdrowie i życie, a zagrażający przyszłości narodu i państwa.

I właśnie to trudne i ciężkie zadanie, by w tej dziedzinie stosunki w Polsce odmienić — nam przypadło w udziale. A więc nawoływać, by społeczeństwo zerwało nareszcie z zagrażającym kulturze na tle ogólnego postępu przeżytkiem utrwalania za wszelką cenę tradycji używania napojów odurzających i oszałamiających — dla rzekomego uczczenia wszelkiego rodzaju okazji świątecznych czy uroczystych w życiu prywatnym i publicznym; by zerwało stanowczo, ponieważ nauka dowiodła bezwzględnej szkodliwości alkoholu dla ustroju człowieka.

A więc zadaniem naszym jest szerzyć w społeczeństwie przeświadczenie, że nasz ruch przeciwalkoholowy nie ma na celu — jak sobie nieraz ktoś wyobraża i dlatego ramionami wzrusza — zajmować się tem i owem

*) Autor jest prezesem zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Walki z Alkoholizmem »Trzeźwość«.

indywiduum, notorycznie znanem z nałogowego pijaństwa, walającym się nocami po rynsztokach i raz po raz arestowanym za awantury, ponieważ są to ludzie bez nadziei chorzy i już dla społeczeństwa straceni; podczas gdy oddani do odpowiednich zakładów w stadium o wiele wcześniejszem, mogliby byli być uleczeni na pożytek własnej rodziny i kraju, a właśnie między nimi trafiają się jednostki wybitnie zdolne, w których talent zabiła narkomanja ze szkodą dla dobra publicznego.

My mamy na celu co innego. Takie nieszczęsne ofiary choroby woli, jako odstrasżające przykłady zmarnowania życia przez nietrzeźwość, my tylko ukazujemy młodzieży, więc w okresie wystartowywania nowych pokoleń w życiowy wyścig pracy mięśni, nerwów i mózgów. Ukazujemy jako przestrozę.

Ukazujemy tylko jako świetną, wymowną ilustrację do książki o treści niezmiernie interesującej, książki pełnej poprostu rewelacyjnych dla laika odkryć, poczynionych przez naukę na szarym terenie życia codziennego.

To alkoholologia, gałąź wiedzy oficjalnej jedna z najnowszych i dlatego też po dziś dzień jeszcze niespopularyzowana. A dajemy oną ciekawą książkę czytywać, dla tem trwalszego oddziaływania jej treści, przeważnie w żywym słowie. I właśnie te nasze pogadanki, odczyty, wykłady przeciwalkoholowe, a zwłaszcza doroczne systematyczne kursy, przedstawiające całokształt zagadnienia alkoholizmu i metody praktycznego zwalczania tej groźnej klęski społecznej (dotychczas tak bardzo lekceważonej przez społeczeństwo od dołu do góry we wszystkich jego warstwach), to są najważniejsze cele i zadania naszego ruchu w imię górnej idei trzeźwości.

Rozumiemy bowiem, że dopóki ogółu społeczeństwa nie uświadomimy w tych rzeczach, dopóty nie możemy

mieć nawet do niego o to pretensji, by się wyzbył tego przeżytku w ślad za tylu innemi przesądami i zabobonami staroświeckimi, które z zaśniedziałego podwórka naszego życia udało się już wymieść z pomocą miotły Higieny. A ponieważ uświadomić społeczeństwo należycie można jedynie wtedy, gdy się zaczyna od dziecka, zależy nam najwięcej na młodzieży. Żeby zaś do niej trafić, trzeba wprzód zaznajomić z tem zagadnieniem jej wychowawców. Stąd pochodzi, że przedewszystkiem świat pedagogiczny, a obok nauczycielstwa świeckiego i duchowieństwo, staramy się zainteresować kursami przeciwalkoholowemi.

W miarę możliwości, zależnie od środków, urządzamy nasze kursy uświadamiające wszędzie, gdzie się da po kraju, publicznie lub w obrębie pewnych instytucyj i uczelni. Ale największe znaczenie ma doroczny Kurs Alkoholologii w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie, z inicjatywy Ministerstwa Opieki Społecznej — i z jego funduszków na cele walki z alkoholizmem — organizowany przez Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem »Trzeźwość« — pod stałym kierownictwem redaktora najpoważniejszych w Polsce z tego zakresu czasopism, Jana Szymańskiego, który od początku powstania polskich urzędów ministerjalnych, powołany zaraz przez pierwszego Ministra Zdrowia jako w tej dziedzinie specjalista, prowadzi od lat kilkunastu w Departamencie Służby Zdrowia tak ważny i tak zarazem niezmiernie w naszych warunkach trudny, referat zwalczania alkoholizmu w Rzeczypospolitej.

Organizowany przez niego od lat dziesięciu w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie (którą tak często zwiedzają z zaciekawieniem cudzoziemskie wycieczki naukowe), nasz Kurs tygodniowy w porze zimowej, przy

udziale pierwszorzędných prelegentów spośród lekarzy i społeczników, teoretyków i praktyków, oświećła zagadnienie alkoholizmu ze stanowiska higieny, medycyny, psychiatrii, etyki, eugeniki, socjologii, prawa, ekonomji; oświećła z punktu widzenia polskiego i międzynarodowego. Audytorjum, liczące dwustu i więcej słuchaczy płci obojga, składa się z delegatów wszystkich województw polskich, a przeważają nauczyciele i kierownicy szkół zwykłych i specjalnych, obok nich zwykle dużo duchownych, oraz lekarzy i pracowników instytucji społecznych. Słuchaczy na te Kursy wysyłają kuratoria szkolne, wojewódzkie urzędy zdrowia i opieki społecznej, także organizacje zainteresowane w swej pracy tem zagadnieniem.

Chcąc sprawdzić, czy po takim kursie pozostaje ślad jaki, bo z chwilą, gdy świadectwo ukończenia go uwożą z Warszawy, rozsypują się co rok jego słuchacze po całej Rzeczypospolitej i — zdawałoby się — przepadają, przeprowadziliśmy ankietę między byłymi słuchaczami w liczbie blisko półtora tysiąca ludzi na przeróżnych stanowiskach, w rozmaitych dzielnicach kraju, na wsi i po miastach. I wyniki okazały się nadspodziewanie zadowalające. Procent odpowiedzi nadzwyczajny. A ktokolwiek odpowiadał, zapewniał, że wpływ, jaki na niego miał Kurs, trwa; że osobiście stał się abstynentem, ale i działaczem przeciwalkoholowym w swoim środowisku, prelegentem społecznym; że na przykład w zawodzie nauczycielskim szerzy dalej to uzyskane na Kursie uświadomienie; że pracuje w organizacjach młodzieży nad tem, by przestrzegać przed alkoholizmem, jako klęską niezawodną w wyścigu pracy.

Ten i ów przy tej sposobności żalił się, że luźne wysiłki nauczycieli dobrej woli nie dadzą nigdy tych wyników, jakie dałoby się w całym kraju osiągnąć przez

wprowadzenie alkoholologii do szkół jako przedmiotu obowiązującego. Otóż tego dawno my się domagamy od naczelnych władz oświecenia publicznego, w zasadzie usposobionych życzliwie do naszego ruchu. I już uchwale o nauczaniu alkoholologii (od przedszkola począwszy, a na akademjach skończywszy, na wszystkich stopniach szkoły publicznej), powzięła bardzo wysoka instancja, mianowicie Państwowa Naczelna Rada Zdrowia przy Ministrze Opieki Społecznej, w swojej Sekcji Zwalczania Alkoholizmu, w której obok dygnitarzy urzędowych i specjalistów ze świata naukowego, zasiadają też przedstawiciele naszego ruchu.

Zresztą tej zasadniczej podstawy uświadomienia społeczeństwa o niebezpieczeństwie alkoholizmu, jaką stanie się właśnie wprowadzenie alkoholologii do przedmiotów szkolnych, domagały się stale uchwały naszych sejmików przeciwalkoholowych, uchwały dorocznych zjazdów delegatów Kół Towarzystwa »Trzeźwość«, uchwały naszych Kongresów Przeciwalkoholowych ogólnopolskich, odbywanych przy gremjalnym udziale dostojników Państwa i Kościoła, kolejno we wszystkich dzielnicowych miastach i w stolicy, ostatni w 1931 r. w Krakowie, na skalę największą, jako jubileuszowy, bo dziesiąty zrzędu, pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Tego samego zdania bywały i takie zjazdy ogólnopolskie, tylko pośrednio naszem zagadnieniem zainteresowane, jak kongresy psychiatrów i neurologów lub lekarzy i przyrodników. Przypomniat znowu tę sprawę niezmiernie dla naszego ruchu doniosłą, Pierwszy Polski Zjazd Abstynentów, który odbył się w Warszawie w 1934 r. Na terenie Polski obradować też będzie w 1937 r. Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy, zaproszony do Warszawy przez Rząd Polski, który był reprezentowany przez spe-

cialnego delegata na ostatnim światowym Kongresie ruchu abstynenckiego w 1934 r. w Londynie; a już parę lat temu odbył się w Polsce Międzynarodowy Kongres Kolejowców Abstynentów.

Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem »Trzeźwość« (z siedzibą zarządu głównego w Warszawie na Rynku Starego Miasta) skupia na terenie ogólnopanstwowym działaczy przeciwalkoholowych bez względu na różnice poglądów społecznych i przekonań politycznych i stara się wytwarzać kadry pionierów idei abstynenckiej, którzyby mogli, zwłaszcza teraz z pomocą byłych słuchaczy naszych Kursów, szerzyć ten ruch po wszech zakątkach kraju. A są między nimi i wybitni pracownicy na tej niwie społecznej, skoro Zarząd Główny »Trzeźwości«, w myśl uchwał Zjazdów delegatów, wręczył już dyplomy członków honorowych kilkunastu ludziom zasłużonym w tej dziedzinie, duchownym, pedagogom, lekarzom, społecznikom — którzy bojownikami przeciwalkoholowymi są od ćwierćwieku, niektórzy i dłużej już niezłomnie i wytrwale świecą osobistym przykładem bezwzględnej abstynencji.

A powstało nasze Towarzystwo »Trzeźwość« przed laty kilkunastu, powołane do życia przede wszystkim dla zrealizowania świeżo wówczas przez Sejm Rzeczypospolitej uchwalonej Ustawy Przeciwalkoholowej, która była dziełem Jana Szymańskiego. Jej twórca i nieustrudzony potem obrońca przed zakusami alkoholowego przemysłu i handlu, jest też w ciągu ćwierćwieku jawnie istniejącego naszego ruchu — jego duszą, zwłaszcza od czasu, gdy w jego osobie, jako referenta ministerjalnego i organizatora Kursów państwowych, a jednocześnie redaktora głównego organu tego ruchu i właściwego naszej organizacji kierownika, w sposób jakgdyby symboliczny po-

dają sobie ręce akcja państwowa z akcją społeczną zwalczania w Polsce klęski alkoholizmu.

I właśnie »Trzeźwość« ma za zadanie być w tej dziedzinie główną współpracowniczką władz w zakresie zdrowia publicznego, higieny społecznej, lecznictwa narkomanów, opieki społecznej nad ofiarami nałogów narkotycznych, porządku i bezpieczeństwa publicznego przez alkoholików wiecznie zagrożanego, a poniekąd i w zakresie szkolnictwa, zwłaszcza oświaty pozaszkolnej.

Na tem ostatniem polu pod naszym wpływem powstała między innymi bardzo pożyteczna placówka w Krakowie: świetnie się rozwijający dział przeciwalkoholowy Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego, docierających do kilkudziesięciu ośrodków w czterech województwach.

Takie oto byłyby mniej-więcej cele i zadania naszego ruchu, który korzysta stale z cennej współpracy świata lekarskiego i któremu w każdej potrzebie służą chętną pomocą najwybitniejsi przedstawiciele nauki, a błogostawia zawsze Księżęta Kościoła. Oczywiście jeszcze mówić nie możemy o tem, że nas już ogół rozumie, ale coraz większem uznaniem darzy nas społeczeństwo, czego dowodem korzystna w ostatnich czasach odmiana w stosunku prasy codziennej do naszej akcji, dawniej na jej łamach najchętniej ośmieszanej dla schlebiania pewnej części publiczności, którą dla idei trzeźwości pozyskać zdoła dopiero dłużej trwająca propaganda prasowa, już bądź co bądź zaczęta w poczytnych gazetach. Do naszych zadań należy także dołożyć starań, by ta propaganda zakreślała coraz szersze kręgi, by porywała za sobą tłumy właśnie w imię ugragnionego zwycięstwa w wyścigu pracy i unicestwienia bezrobocia, w imię pokonania zniechwalonego kryzysu.

Na czym najbardziej zależy? Oto wpajać w publiczność, że w naszych zadaniach i celach na pierwszym miejscu jest zwalczanie używania napojów alkoholowych, podczas gdy niektórym się zdaje, że tu idzie jedynie o sprawę nadużywania. Owszem, do niedawna tak właśnie bywało. Jedni mawiali: »Nie chleј ordynarnej śmierdziuchy; jeżeli masz już pić, to porządne trunki.« A drudzy powiadali: »Nikt od was nie wymaga, byście się całkiem picia wyrzekali, owszem, pić można, czasem to nawet zdrowo, ale po co masz jeden z drugim upić się zaraz jak nieboskie stworzenie, kiedy przecież można pić umiarkowanie...«

Otóż to umiarkowanie było i jest strasznem oszustwem, które tysiące ludzi najzdolniejszych wymarnowało. Bo nie wiedziano jednego, o czym nas dopiero najnowsza wiedza nauczyła: że może być we wszystkim na świecie jakaś miara, tylko nie w używaniu alkoholu. Badania uczonych — na pochwałę abstynencji — dowiodły, że szkodliwszem od jednorazowego upicia się do nieprzytomności, jest stałe, codzienne picie umiarkowane, nie doprowadzające napozór do upicia, ale skrycie niszczące cały organizm, zwłaszcza mózg i wytwarzające stan ciągłej, acz niewidocznej dla laika, nietrzeźwości, która wywołuje na każdym kroku tysiące katastrof, prowadzi do powszechnej przestępczości, zamienia świat w szpital psychopatów — i staje się główną przeszkodą do osiągnięcia zwycięstw w dzisiejszym, bardzo przez kryzys powojenny utrudnionym wyścigu pracy, jaki się odbywa w ciżbie współzawodników na polu nauki, literatury, sztuki, techniki, sportu, w zawodzie wyzwolonym i służbie państwowej, cywilnej i wojskowej, w polityce i pracy społecznej, w rzemiośle i robocie fabrycznej, w przemyśle i handlu, wszędzie, gdzie trzeba, (a gdzież nie trzeba?) — zdrowych

mięśni, niestarganych nerwów i czujnej, przytomnej, jasnej myśli.

Celem naszego ruchu, zwalczającego zwyczaję używania napojów trujących i uświadamiającego o grozie następstw alkoholizmu, o niebezpieczeństwie wszelakiego odurzania się w narkomanjach, jest przekonanie społeczeństwa, iż toczy się w świecie turniej zapasów śmiertelnych między trzeźwymi i nietrzeźwymi; komu więc na zwycięstwie zależy — a znowu zapytam: komu nie zależy — niech w porę staje po naszej stronie, bo do trzeźwych należy przyszłość świata.

Idea odrodzenia.

Gdyby nasze społeczeństwo zrozumiało znaczenie trzeźwości, to w stolicy państwa zabrakłoby miejsca na ulicach i placach publicznych dla pochodów manifestacyjnych na cześć tej wielkiej idei. A tymczasem, poza pewnemi grupami świadomych entuzjastów ideowej walki z alkoholizmem, w imię szczęścia przyszłych pokoleń, ogół nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, do jakiego stopnia narodowi i państwu grozi niebezpieczeństwo w razie powszechnego lekceważenia sobie znaków ostrzegawczych dawanych społeczeństwu przez apostołów trzeźwości.

Na ich czele idą dziś uczeni, którym do walki z alkoholizmem kazały stanąć najnowsze wyniki badań naukowych, wykazujące, jakie spustoszenie ta trucizna z napojów codziennych wywołuje w mózgach ludzkich i jakie wnosi zwyrodnienie w potomność. Dalej w zastępie apostołów trzeźwości idą arcybusterze, którzy zagłębiwszy się w duchowe życie ludzi, nie mogli nie natknąć się na demona alkoholizmu, najgorszego dusz uwodziciela, zdolnego znieprawić najgorliwszych wyznawców, zdolnego podważyć najtrwalsze fundamenty moralności. Idą wreszcie wśród apostołów idei trzeźwości mężowie stanu, dla których alkoholizm staje się tym polipem, podgryzającym w państwie wszelką powagę władzy, staje się tą zło-

wrogą rdzą, która szybko przeżera do cna wszystkie śrubki i kółeczka skomplikowanej jak zegar wielkiej maszyny państwowej ładu i bezpieczeństwa.

I tworzą ów zastęp wytrwałych apostołów trzeźwości doświadczeni społecznicy, którzy w praktyce życiowej, ocierając się na każdym kroku o nieszczęsne ofiary alkoholizmu i przenikając codzien wytwarzane przez nie sytuacje bez wyjścia, musieli nabrać przekonania, iż u źródeł wszelakich kryzysów społecznych i ekonomicznych czai się zawsze ów szatan alkoholizmu, który, doprowadzając do ruiny moralnej i materialnej taksamo jednostkę, jak społeczeństwo, jest naprawdę najgorszym wrogiem człowieka i ludu, wrogiem jego dobrobytu i wolności, wrogiem niepodległości państw i narodów, wrogiem kultury i postępu cywilizacji, zagładą przyszłości rodu ludzkiego.

A tymczasem społeczeństwo nie zwraca uwagi na głosy przestróg, jakie się raz za razem odzywają spośród owego lekceważonego przez ogół zespołu, wznoszącego wysoko błękitny sztandar idei trzeźwości. Zazwyczaj w każdej epoce i w każdym narodzie ostrzeżenia proroków padają mimo uszu społeczeństwa, które dopiero zapóźno słowom ich słuszość przyznaje, żałując poniewczasie.

Otóż dlatego właśnie, by przestrogi nasze o istotnem niebezpieczeństwie alkoholizmu dla przyszłości, mogły być lepiej i powszechniej słyszane, otwieramy świetlice na użytek młodzieży i wychodzimy na ulice, by mówić do rodziców i wychowawców. A mówić głośno musimy, ponieważ groza niebezpieczeństwa rośnie. Wołać głośno trzeba tembardziej, że ten i ów powiada, iż w dobie kryzysu światowego i powszechnego bezrobocia, nie warto nawet na ten temat rozprawiać, skoro przecież ludzi nie stać na napoje alkoholowe.

To nieprawda. Ludzi nie stać dzisiaj na książkę, na teatr i inne wydatki kulturalne, nie stać na kształcenie młodzieży, na leczenie chorych, nie stać na normalne odżywianie, na zdrowe mieszkanie, na przyzwoite ubranie; ale, mimo wszystko, stać ich na to, co kulturę zabija i szerzy chamstwo, stać na to, co pochłania wszystkie zarobek z uszczerbkiem na utrzymanie i ubranie, na komorne, na rozrywkę, na oświatę. Bo stać ich na to, co zamiast trwałego zadowolenia i pożytku prawdziwego, daje tylko chwilowe odurzenie ze szkodą dla zdrowia ciała i z krzywdą niepowetowaną dla zdrowia duszy; stać ich na zabójcze środki odurzające, które więcej kosztują, niż niezbędne środki odżywcze.

Powiadają: kryzys, bezrobocie, jakiego jeszcze nie bywało, na każdym kroku znać skutki tego stanu rzeczy, w każdym zawodzie brak zarobków odbija się fatalnie. A tymczasem, mimo, że ten nałóg tyle kosztuje, papierosa prawie z ust nie wypuszczają i pali dziś taka masa ludzi, jakiej się nie widziało za czasów największego dobrobytu. Jeżeli zaś chcemy się przekonać, czy spowodu braku zarobków zaprzestano używania alkoholu, to się dowiedzmy poza monopolem o dochód tajnych gorzelni i pokątnych przemytników, a przede wszystkim szukajmy ze świecą tych szynków, które kryzys pono pozamykał. Wszędzie pozmniejszały się zarobki, ale nie tam, gdzie się handluje środkami odurzającymi, które ludziom uniemożliwiają trzeźwe rozumienie celów życia, trzeźwy pogląd na świat, trzeźwe ocenianie własnych postępów, trzeźwe poczucie swego sumienia.

Wszystkiego przywykli się ludzie wyrzekać w czasach kryzysowych, tylko nie chcą się wyzwolić z chorobliwych nałogów, które im zaciemniają trzeźwość w codziennem wypełnianiu czynności zawodowych. Czyż by-

łoby wokół nas tyle codziennych wypadków nieszczęśliwych, tyle na każdym kroku katastrof, gdyby ludzie hołdowali stale bezwzględnej trzeźwości? Czyż byłoby tyle ruin materialnych w handlu, przemyśle, zawodach wyzwolonych, zresztą wogóle w życiu, gdyby panowała w świecie trzeźwość, a nie orgja użycia? Czy widzielibyśmy dokoła siebie tylu naraz neurasteników, psychopatów, półobłąkańców, którzy świat nam zamieniają w dom warjatów, gdyby nie masowe używanie środków odurzających, które w ten stan anormalny muszą wprawiać ludzi normalnych, narażając na skarlienie jeszcze ich potomstwo.

I wreszcie, czy gdyby nie ten alkohol, który, jak nikt inny, umie w człowieku rozpętać bestję, wyzwolić instynkty zbrodnicze, stawałby się dziś świat takim kryminałem? Przecież my dziś już innem powietrzem nie oddychamy, o niczem innem nie mówimy, nie słyszymy nowin innych, nie czytamy o niczem innem, jak tylko ciągle i wszędzie o sensacji kryminalnej, której pełna jest gazeta, bo pełne jej jest nasze życie. A spytajmy uczonych, czy nam zaprzeczają, że w 90 procentach alkohol bywa winowajcą współczesnej przestępczości, zarówno na niwie wszelakiego oszustwa i złodziejstwa, jak w dziedzinie zbrodni, mordu czy gwałtu.

Czasy ostatnie przerażają nas jednym spostrzeżeniem, że między głośnymi kryminalistami coraz częściej zdarzają się ludzie inteligentni, uczestniczący nieraz w wyższych studiach, zajmujący w społeczeństwie nawet stanowiska wybitniejsze, ludzie niejednokrotnie bardzo zdolni, obracający się w sferze kulturalnej. Po pochyłości kryminalnej staczało ich coraz niżej zawrotne tempo użycia, które potrafi porządnemu pracownikowi pod wpływem alkoholu życie zamienić w wieczysty dancing bezmyślności lub rewję wyuzdania. Otóż ta atmosfera kryminalna,

zatruwając nam ducha społeczeństwa, zaczyna coraz większym niebezpieczeństwem zagrażać bytowi naszego państwa.

Rola, jaka nam wypadła w dziejach świata, wymaga bezwarunkowo wielkiej czujności i stałej przytomności na trudnym posterunku w samym środku Europy. Na tośmy właśnie odzyskali niepodległość, na tośmy z trudem krwawym spowrotem wywalczyli sobie wolność, by swoje przeznaczenie dziejowe pełnić należycie. Przy każdej okazji powtarzamy: Polska odrodzona. A przecież życie codzienne tyle nam przynosi niepokojących objawów, które każą podejrzewać w społeczeństwie raczej zwyrodnienie, a nie odrodzenie. Jeżeli kiedy prorocy narodowi wspominali z trwogą o duchu zatrutym w narodzie, to dziś w wyniku badań naukowych można twierdzić, że właśnie alkohol jest tą najgroźniejszą trucizną, która w żyły nasze wsacza zepsucie, od niego zaś niechybnie skarlejemy, zmarniejemy, zginiemy.

Niechajże nas Bóg przed tem nieszczęściem uchowa, jak nas ustrzegł przed zatraceniem polskości w obcej niewoli. Ale pamiętajmy, że jedno co nas teraz ocali przed zatruciem ducha społeczeństwa, to trzeźwość jako idea odrodzenia, idea, która nam zapewni przyszłość mocarstwową, idea, która nas wywiedzie z kryzysu, która da ludowi dobrobyt, a przyszłym pokoleniom szczęście i pokój.

Na stanowisku.

Gdy spowodu Tygodnia Trzeźwości, corocznie w Polsce urządzanego w lutym, na czyjeś pytanie — kto tę propagandę prowadzi — wyjaśniłem, że organizacje walki z alkoholizmem, usłyszałem raz takie zdanie: Przecież alkohol należy do wyrobów monopolowych, więc jakże państwo pozwalać może na walkę ze swym monopolem...

Tymczasem my z alkoholem nie walczymy, potrzebny on bowiem i państwu i społeczeństwu, a nawet zamało mamy go w użyciu, oczywiście tam, gdzie przynosiłby tylko pożytek, więc do silników u maszyn, samochodów, samolotów. Toteż ceniąc należycie jego wartość w technice i przemyśle, nie myślimy z nim walki prowadzić.

Natomiast wydaliśmy walkę nieubłaganą i bezwzględną alkoholizmowi, jako chorobie społecznej, a rozumiejąc pod tą nazwą wszystko, co z nałogu i zwyczajów używania napojów alkoholowych powstaje na nieszczęście człowieka, na zgubę społeczeństwa, na ruinę państwa. I tu nasza praca społeczna staje się robotą państwową.

Jej treść mieści się w tem wymownem słowie: Trzeźwość. Bo wyobraźmy sobie państwo bez trzeźwości. Toć byłby doprawdy obraz osobliwy. Popatrzmy w wielkiem mieście na ruch uliczny w dzień powszedni. Te tysiące

przechodniów śpieszących gorączkowo do swych zajęć, te krocie obywateli systematycznie załatwiających swoje sprawy... I ta masa wózków, rowerów, dorożek, taksówek, omnibusów i tramwajów, wozów ciężarowych... A za miastem na gościńcach auta i auta, autobusy, na kolejach pociągi osobowe i towarowe, na wodach łodzie i okręty, wreszcie nad głowami mieszkańców wsi i miast jeszcze samoloty...

Uprzytomnijmy sobie teraz chwilę, w której całe to królestwo ruchu nagle utraciło trzeźwość... Przecież ten nowoczesny pilot, szofer, maszynista, czy choćby ów staroświecki woźnica, prowadzi swój wóz, swój pociąg, dopóki jest trzeźwy. Z chwilą zaś, gdy on utracił trzeźwość, musi nastąpić katastrofa. Im więcej szerzyć się będzie alkoholizm, tembardziej masową stawać się musi katastrofa ruchu w życiu prywatnem i publicznem, społecznem i państwowem, aż doprowadzi do kataklizmu żywiołowego.

Otóż, gdy się zastanowimy nad życiem państwa, zobaczymy jasno, że to samo i we wszystkim innem zagrożą w momencie utraty trzeźwości, ponieważ jak w ustroju naszym mózg porażony jadem alkoholowym przestaje prowadzić człowieka, a wódką z nóg zwalony maszynista wykolei pociąg — tak obywatel każdy jest na jakimś odpowiedzialnym posterunku, jest na stanowisku wymagającym trzeźwości. Strażnik ogniowy czy dozora kamienicy, policjant na skrzyżowaniu ulic czy urzędnik w biurze, nauczyciel w szkółce wiejskiej czy profesor w pracowni naukowej, lekarz czy aptekarz, listonosz i bankowiec, ślusarz i zegarmistrz, aktor i sufler, operator kinowy i spikier radiowy — każdy jest w swoim zawodzie tem właśnie, czem pilot na aeroplanie i w jego bezwzględnej trzeźwości tkwi odpowiedzialność za całość aparatu,

za bezpieczeństwo mienia, za życie ludzkie, a pośrednio za dobro społeczeństwa, za powagę państwa.

I teraz pomyślmy, co by się stało, gdyby w tym wielkim świecie ruchu, w tym żywym świecie odpowiedzialnych obowiązków, naraz zapanowała nietrzeźwość. Przecież w życiu społeczeństwa, przecież w ustroju państwa, jak w organizmie każdej istoty żywej, polega wszystko na mechanizmie w ruch puszczonym z dokładnością kółeczek w zegarze. W nietrzeźwym stanie praktykowana niesumienność kupca, nieakuratność rzemieślnika, lekko-myślność przemysłowca — działa w masie podobnie, jak systematyczna malwersacja na poczcie lub w spółdzielni jak oszustwo na dostawach wojskowych, jak fałszerstwo defraudantów w kasie oszczędności, jak korupcja w magistracie... Bo wszędzie tam utrata trzeźwości jest niczem innym, jak opuszczeniem stanowiska na warcie fortecnej przez żołnierza pijanego, jest niczem innym, jak prowadzeniem pociągu przez maszynistę nieprzytomnego skutkiem libacji alkoholowych.

A tymczasem żołnierzem na strażnicy wieczyście zagrożonej, a jednocześnie kolejарzem na lokomotywie pędzącej w wieczność, jest w czasach dzisiejszych każdy obywatel Państwa Polskiego. Tej ciągłej czujności ducha, tej trwałej przytomności umysłu, tej stałej trzeźwości całego w pełni zdrowia ustroju, wymaga nieodzownie od Polaka współczesnego mocarstwowe stanowisko naszej Rzeczypospolitej, w wir dziejów rzuconej w pośrodku Europy między dwa rozhukane żywioły. Wymaga zarówno od lotnika, jak marynarza, mechanika i piekarza, kupca jak górnika, robotnika i fabrykanta, artysty i uczonego, studenta i nauczyciela, konduktora i bankowca, lekarza i policjanta, wymaga taksamo od najniższego urzędnika, jak od pierwszego ministra, wymaga od żołnierza i wodza.

Jako naród nie dbając o trzeźwość, zmarnielibyśmy, jak każda alkoholizmu ofiara w porę nie leczona należy. Troszcząc się zaś o trzeźwość powszechną, nie tylko państwo ocalimy od zagłady w erze jakichś groźnych niebezpieczeństw światowych, ale w wyścigu pracy i na turnieju idei znajdziemy się u mety między pierwszymi. I dlatego walka z alkoholizmem jest pracą dla zdrowia narodu i dla dobra państwa. Jest pracą jednocześnie dla dobrobytu ludu i skarbu państwowego. Jest ocalaniem od ruiny materialnej i deprawacji duchowej, jest leczeniem kryzysu gospodarczego i moralnego. Jest wielką akcją etyczną, religijną, bo chroniąc od przestępczości, zapobiegając zbrodni, ratuje dusze. Jest wreszcie szerzeniem prawdziwej radości życia, którą zna tylko człowiek trzeźwy lub wyrwany z piekła udręczeń nałogu.

Zwycięstwo kobiety.

Dla obserwatora stanów ciśnienia kultury w społeczeństwie, mógłby za czuły barometr posłużyć niekiedy afisz teatralny. Tytuły sztuk, ich rodzaje, ilość przedstawień pewnego typu widowisk, wszystko to w zestawieniu statystycznym ma swoją wymowę. I tutaj właśnie era naszych dni różni się ogromnie od pierwszych lat powojennych, a cóż dopiero od epoki przedwojennej. Rzuca się nam w oczy przede wszystkim uderzająca różnica w nazwiskach autorów. A zastanawia zwłaszcza coś, czego nigdy przedtem nie było.

Oto pamiętamy, że tak niedawno jeszcze, bo tuż przed wojną światową, pisało się w recenzjach teatralnych komunały mniejwięcej takiej treści, że kobieta obdarzona talentem pisarskim może harcować dowoli na polu beletrystycznym, wszak poczytność ówczesna powieści Rodziewiczówny szła u nas w zawody z Sienkiewiczem, a na Orzeszkową pono zwrócili uwagę aż rozdawcy nagrody Nobla. Jeżeli zaś idzie o poezję — pisywało się wtedy — to kobieta, o ile porwie się na epos, może wyjątkowo osiągnąć wyżyn, na jakie wzbiła się Konopnicka. Dramat tylko, choćby dla najświetniejszej pisarki, zawsze przed kobietą zamknie swoje wrota, ponieważ poprostu mózg jej nie pomieści nigdy konstrukcji scenicznej.

Toteż powtarzało się wtedy stereotypowo, że Zapolska to już nietylko w polskiej, lecz wogóle w światowej literaturze fenomen. Poza nią jedną, jakiegokolwiek pióro niewieście próbujące wstępu za kulisy, uchodziło za grafomanję i to tak bezapelacyjnie, że się przed nią istotnie na cztery spusty zamykały dyrekcje teatralne i wziąć się na nią nie dawali nawet najczulsi na protekcję zakulisową reżyserowie. Żeńskie nazwisko wtedy mogło figurować na scenie dla dzieci, w teatrzyku amatorskim na imieniny ciotki czy kierowniczkę szkoły, ale na afisz prawdziwego poważnego teatru dostać się nie mogło. Pamiętamy to dobrze, przecież to czasy tak niedawne...

I naraz co za odmiana. Już nie publicysta, ale publiczność widzieć musi, że pod tym względem afisz się odmienił w stolicy i na prowincji, w teatrze małym i wielkim, w sztuce poważnej i lekkiej, i że to już nie coś wyjątkowego, przeciwnie, nawet kobieta właśnie wypiera tu mężczyznę, jej sztuki idą częściej i gęściej, mają rozgłos, zdobywają dobre recenzje i są traktowane całkiem poważnie przez tych samych krytyków, którzy ongi udowodnili czarno na białym, iż najbardziej utalentowanym piórem pisząca kobieta nie posiada zmysłu teatralnego, brak jej poczucia sceny... Jakże to się stać mogło, że tak kilka lat zaledwie upłynęło i jakaś czarodziejska różdżka literatom w Polsce mózgi poodmieniała, a przynajmniej w nie powkładała kulisy, rampę i wszelkie rekwizyty niepotrzebne powieściopisarkom...

Ba, kiedy jednocześnie z tym objawem niebywałym idzie zwycięstwo kobiecego pióra i na arenach dawniej dlań dostępnych wprowadzie, na których jednak do mety zazwyczaj dochodził jeno mężczyzna. Któż w tej chwili prym trzyma w naszej twórczości powieściowej, jeżeli nie

kobieta. A co się dzieje na niwie poezji... Tosamo w prasie wszelkiego rodzaju: redaktorka, publicystka, feljetonistka, reporterka, fachowa sprawozdawczyni, w każdym dziale pobija mężczyznę, literata czy dziennikarza, pobija kobieta, która z triumfem opanowuje wszelkie dziedziny sztuki i zwycięsko wkracza w najwyższe podwoje nauki, weszła w szranki techniki, pozajmowała masowo postęunki pracy społecznej, ruguje kolegę z zawodów wolnych, sięga po wszelkie urzędy publiczne...

Aż popłoch zaczyna budzić ten zalew kobiecości, nawet w sferach uznających bez zastrzeżeń jej równouprawnienie, a dowodem takiego zaniepokojenia stają się i występy publiczne pokonywanych kolegów, zwykle bardzo niefortunne, które zaraz muszą oczywiście rozpętać wśród niewiast piszących burzę. Otóż taka namiętna dyskusja, jaka się niedawno temu na łamach prasowych na powyższy temat toczyła, mnie nasunęła refleksje całkiem niespodziewane w podobnej polemice, napozór ściśle literacko-artystycznej. Przyszło mi na myśl zastanowić się, skąd wzięło się niedające się zaprzeczyć zwycięstwo kobiety nad mężczyzną. Jeżeli jako argument na to, że mózg kobiety jest upośledzony w porównaniu z męskim, przytacza się spostrzeżenie, iż niewiast genialnych wcale nie spotykamy, a np. wielka nasza uczona Curie-Skłodowska jest tylko wyjątkiem — to mam wrażenie, że na takie sądy z naszej strony czas jeszcze zakrótki. Kiedyż to miały wyhodować się między kobietami genjusze nauki, skoro pamiętamy, że zaledwie 40 lat temu pierwszą na ziemiach polskich słuchaczkę przyjęto na uniwersytet lwowski. Był to wtedy fenomen, wyjątek, jak nazwisko aktorki Zapolskiej na afiszu w roli dramatycznej autorki. Od owego czasu jednak nastał już zalew kobiecości i w biurze wszelakiem, i na wyższych uczelniach, i na

wyżynach dramaturgji. Poczekajmyż nieco na następstwa w postaci genjuszów kobiecych w nauce i w twórczości artystycznej. Wszak codopiero trzymaliśmy tę »słabszą« połowę przed bramami akademij, zdala od katedry i laboratorium, wogóle zdala od życia publicznego...

Aliści zważmy zarazem, że prawo zwyczajowe trzymało ją także zdala od lokalu publicznego. Przed nią zamykała go tradycja. Wiekami całemi w życiu niewiasty żywiołem przyrodzonym niejako był dom rodzinny, podczas gdy mężczyzna dowoli hulał w karczmie. I nawet wtedy, gdy sobie i dom własny zamienił na karczmę, nieomal bronił do niej wstępu kobiecie. Otóż w myślach moich rodzi się pytanie, czy nie tutaj właśnie należy szukać przyczyny owego nam współczesnego zwycięstwa kobiety nad mężczyzną w postaci dzisiejszego zalewu kobiecości. Sami mężczyźni przyznają, że to, co w tej chwili w literaturze polskiej tworzy pióro niewieście, należy w wielu wypadkach nawet wyżej cenić od przeważnej części twórczości męskiej.

Jeżeli się nad tem zastanowi działacz społeczny, pracujący na niwie propagandy trzeźwości, któremu nie są obce wyniki badań najnowszych nad tem, jaki wpływ na mózg i na jego czynności subtelne miewa alkoholizm, to musi go uderzyć właśnie ta okoliczność, iż mężczyzna przez setki lat zatruwał sobie cały ustrój pijaństwem, którego przez ten czas nie uprawiała kobieta. Rozważmy, ile tego jadu alkoholowego wsączało się w ciągu szeregu pokoleń w mózgi męskie, podczas gdy umysły niewieście nie podlegały temu niszczącemu działaniu. Może nauka, której dzieckiem jeszcze młodem jest prowadzona od ćwierćwieku zaledwie gałąź wiedzy pod nazwą alkoholji, dojdzie sama, co w atmosferze dzisiejszego życia, co w zwyczajach współczesnych, co w systemie odży-

wiania czy w sposobach użycia, mogło właśnie przechylić tę szalę równowagi dotychczasowej, co mogło ostatecznie zadecydować o stanie mózgu i nerwów w ustroju mężczyzny, że naraz widocznym się staje upadek jego twórczości w porównaniu z twórczością kobiety, która nagle dopuszczona nareszcie do współzawodnictwa z nim na nowych polach, dostała możliwość wykazania, jak inaczej pracuje mózg jej nie wyniszczony wiekowym zatruciem.

Gdyby ktoś jednak zauważył, że w czasach, gdy pisał Prus, Sienkiewicz, Kasprowicz, Żeromski, warunki były takie same, co w tej chwili, więc podobnie jak dzisiaj, można było powołać się na ich przodków i wykazać obciążenie dziedziczne alkoholizmem, a przecież dawnych pijaków potomkowie właśnie doszli do wyżyn twórczości umysłowej — to odpowiem, że różnica zachodzi tu znaczna na niekorzyść pokolenia dzisiejszego. Mianowicie trudno nawet porównywać alkoholizm poprzednich pokoleń z alkoholizmem kilku generacji ostatnich. Przypatrzmy się dzisiejszemu przemysłowi alkoholowemu, dzisiejszemu handlowi trunkami, a zorjentujemy się, że one przy szalonym rozwoju środków komunikacyjnych doprowadziły do tego, iż gorący trunek we wszelakiej postaci włazi poprostu na każdym kroku w oczy i w ręce każdemu pić chcącemu, czy o tem niemyślącemu, a kompletna przemiana zwyczajów towarzyskich i wogóle życia po miastach, nastrecza sposobność do picia tak masowego, o jakim nie śniło się nigdy naszym poprzednim pokoleniom. Dziś człowiek zamożny czy z trudem o byt walczący, inteligent czy proletariusz, żyjący w mieście, przepędza pół życia w lokalach publicznych, mających nazw mnóstwo co do rodzaju, ale w gruncie rzeczy będących szynkiem. A nawet człowiek publiczny, polityk i społecznik, trawi

jeszcze mnóstwo godzin w klubach, biurach i stowarzyszeniach, gdzie ma na miejscu bufet z trunkami, czyli i te godziny, w których nie przebywa w kawiarni, w barze, w restauracji, w kabarecie, na dworcu i w pociągu, również dają mu okazję do używania napojów alkoholowych, co znowu prowadzi do takiego przyzwyczajania się do nich na codzień, że wywołuje potrzebę sięgania po nie i w domu. I oto zmiana życia domowego na tryb życia alkoholika.

Zestawmy to dzisiejsze, codzienne używanie przez wszystkich na codzień trunków z owem tęgiem piciem przodków, które odbywało się przy okazji dopiero, i to zazwyczaj tylko w święta, gdy zwykły dzień pracy mijał przy kielichach jeno opojom notorycznym i próżniakom sławetnym. Nauka nowoczesna poucza nas, że inaczej na organizm działa taka libacja raz na pewien czas odbywana i nawet do ostatecznego doprowadzająca upicia, a zgoła inaczej ta rzekomo niewinna, codzienna dawka alkoholu, bez której krocie tysięcy ludzi współczesnych obywać się już nie umieją, niby bez papierosa, a co tak przeżera mózgi i serca, co tak wyniszcza nerwy, tak zatruwa potomstwo, aż do zdegenerowania.

Jeżeli to pod rozwagę weźmiemy, to jasne nam się stanie, że następstwa podobnego życia ogółu społeczeństwa w ostatnich lat dziesiątkach, mogą stać się widoczne dopiero właśnie w tem pokoleniu, u którego z przerażeniem zaczynamy obserwować wyjąłowanie umysłowej twórczości tej »mocniejszej« połowy męskiej, i to do tego stopnia, że od jej miernoty odbija dzieło artystyczne i praca naukowa połowy »słabszej«, do niedawna w swojej masie, pomijając wyjątki, trzymanej jeszcze zdala od karczm, a zatem jeszcze z mózgiem niezatrutym do cna

alkoholem i z nerwami niestarganemi trybem życia alkoholików dzisiejszych.

Tak niewątpliwie, jak mi się zdaje, powstało to zadziwiające dzisiaj zwycięstwo kobiety naszej w literaturze i w sztuce, w dziedzinach tej nawet twórczości, która bywała jeno udziałem mężczyzny. I rodzi się pytanie, czy ten zalew kobiecości, który już nawet nieraz przeraża dramaturgów naszych, nie powinien stać się jakoby przestrogą. Oto poetka, powieściopisarka, autorka dramatyczna i artystka, oto filozofka, prawniczka, oto społecznica, publicystka, oto urzędniczka, nauczycielka i lekarka, spycha z pola działania kolegę w zawodzie i triumfalnie jego zajmuje miejsce ku powszechnemu uznaniu i dla dobra sprawy, a dzieje się to dlatego, że jej ustrój jeszcze nie zrujnowany tem wszystkim, co dotychczas stanowiło wyłącznie męskie grzeszki, sekretne i jawne, w postaci wszelakiego zepsucia i nałogów, w brawurze młodości i w sile wieku. Zwycięstwo swoje zatem zawdzięcza dziś kobieta temu zdrowiu swemu dotychczas moralnemu i nieprzepietemu mózgowi.

Któż zajmie jej miejsce skolei, jeżeli ona, jak się to już niestety daje coraz szerzej obserwować, zacznie, wraz z uprawnieniem, wprowadzać w swoje życie — zabójcze nałogi mężczyzny — i narówni z nim hołdować masowo narkomanjom pod sfałszowanym hasłem radości życia.

Mózg olbrzymiego organizmu.

Zabierając się raz do zorganizowania Tygodnia propagandy trzeźwości, wybrałem się między innymi do prezesa jednej z największych Dyrekcyj kolejowych w sprawie udziału jego pracowników. A ten mi powiada:

— Trzeźwość — ależ ja nie wiem, czy jest druga dziedzina życia publicznego, czy jest drugi zawód, gdzieby trzeźwość była tak niezbędną, jak komunikacja wogóle, a kolej w szczególności. Przecież cała sprawność kolejnictwa zależy właśnie od trzeźwości jego pracowników. Toteż nasza administracja idzie panom całkowicie na rękę w zwalczaniu alkoholizmu i tylko z wdzięcznością wita waszą pracę na terenie kolei.

Kiedyindziej, w czasie międzynarodowego Kongresu Kolejowców Abstynentów, odbywającego się w Polsce, rozmawiam z jednym z naczelników lekarzy kolejowych zagranicą — i pytam go, jakie ze stanowiska zdrowia stawiałyby wymagania kolejowcom.

— A — powiada — służba kolejowa ma swoje szczególne właściwości i z punktu higieny uważałbym za warunki niezbędne i podstawowe: zdolność panowania nad sobą, szybkość decyzji, umysł jasny, spostrzegawczość, wytrwałość, uwagę, łącznie ze stanem fizycznym wykazującym dużą odporność organizmu w zmiennych warunkach pracy, temperatury, wilgoci i t. p., no, a o tem wszyst-

kiem mówić i myśleć możemy dopiero tam, gdzie udało się zwalczyć alkoholizm.

Rozmawiam znów na ten temat z jednym z naszych dygnitarzy kolejowych. I ten ogromną objawia przychylność dla naszej akcji, rozumie całą doniosłość sprawy i sam nader poważnie zapatruje się na nią. Uważając bowiem kolej za organizm potężny, życiem tętniący, nie-mogący mieć nigdy spoczynku, widzi w ogromnej rzeszy jego pracowników mózg tego organizmu — właśnie spowodu tej stałej czujności, tego wysiłku myślowego, tego napięcia nerwowego kolejowców w służbie. Wszak od tego mózgu zależy sprawność i bezpieczeństwo ruchu, życie podróźnych, całość powierzonego mienia państwowego i prywatnego. Cóż zaś jest warunkiem nieodzownym należytego funkcjonowania mózgu, jeżeli nie jego trzeźwość, to jest zupełna swoboda systemu nerwowego, niczem niehamowana możliwość zdawania sobie sprawy ze zjawisk zewnętrznych, zdolność szybkiej orjentacji i decyzji, poczucie świadomości i odpowiedzialności. Trzeźwość umysłu posiada zaś każdy człowiek zdrowy, wypoczęty przed pracą, nieodbiegający myślą w czasie swych zajęć do innych spraw, interesujący się w ciągu swych zajęć tylko własnym warsztatem pracy. Otóż czy nie alkoholizm bywa właściwą przyczyną najliczniejszych wypadków utraty trzeźwości — pyta mnie ów wysoki urzędnik kolejowy.

Wśród rozmowy porównywaliśmy armję kolejowców z armją zbrojną. Zwrócił uwagę na zasadniczą różnicę. Żołnierz na wojnie jest wykonawcą woli dowódcy; o zwycięstwie decyduje wprowadzie wysiłek zbiorowy, wywołany jednak rozkazem jednostki. Tymczasem każdy kolejowiec ma w swoim zakresie, pod odpowiedzialnością osobistą i karną, powierzoną sferę samodzielnego dzia-

łania i każde jej uchybienie w dokładnem spełnieniu obowiązku może narazić powierzone dobro na szkody nieobliczalne, a jego samego i współpracowników i wszystkich podróżnych na utratę, jeśli nie życia, to przynajmniej zdrowia.

W pociągu pędzącym, parowóz milionowej wartości powierzony jest maszyniście i palaczowi. Byle zaniedbanie w obsłudze, zlekceważenie sygnałów... i już katastrofa, a więc kalectwo lub śmierć kolejowców i podróżnych, nawet dziesiątkami, zniszczenie taboru kolejowego, drogich towarów, straty skarbu państwa idące w miliony dzisiaj, a wzrastające przez konieczność wypłaty odszkodowań... Podobna odpowiedzialność ciąży na kierowniku pociągu, podobna i na konduktorze hamulcowym. A dyżurujący ekspedjent pociągów, a zwrotniczy, przełokowy na stacji, nadzorca szlaku czy dróżnik na linii... To wszystko razem naprawdę mózg organizmu kolejowego. A wiadomo, że nauka wykazała, iż najniebezpieczniej działa alkohol na mózg w organizmie ludzkim. Czyż może tedy kolej w interesie swoim i w interesie państwa nie pragnąć — rzekł do mnie ów dygnitarz — by od tej groźnej trucizny ocalono jej mózg?

Kiedy w Krakowie na ogromną skalę organizowałem ogólnopolski Kongres przeciwalkoholowy, pojechałem do stolicy zapraszać na uroczyste otwarcie ministrów. Przybywam do ministerstwa komunikacji. Tu spotykam się z zupełną życzliwością, z uznaniem, ze zrozumieniem, tu wyraźnie zajmuje się takiesamo stanowisko, jakiem w swojej sprawie zauważył poprzednio u wspomnianych wysokich urzędników kolejowych. Pan minister z tych samych względów, o których mówili mi tamci, widzi jak najchętniej robotę społeczną zmierzającą do otrzeźwienia społeczeństwa, w którym pracowników kolejowych wraz

z rodzinami jest przecież cały miljon; owszem, nawet czynnie popiera na terenie kolei tępienie nałogu i zwyczajów pijackich, planową walkę z alkoholizmem.

Zastanawiam się nad tem wszystkiem uważnie. A zatem na sprawę walki z alkoholizmem patrzą, jak miałem dość sposobności się przekonać, władze kolejowe przychylnie, udzielają jej nawet swego poparcia, o ile zachodzi tego potrzeba. Otóż dlaczego w takim razie — pytam — piękna idea Abstynenckiej Ligi Kolejowców ma na terenie naszych kolei jeszcze tak mało popularności, dlaczego nie zagarnęła w swoje szeregi ogółu pracowników wszelkich sfer od dołu do góry i od góry do dołu?

Zdaje mi się, że do tego trzebaby tylko dobrą wolą natchnąć to nieliczne grono ludzi, co tej idei służy, a obliczając siły swoje jako niewystarczające ze względu, że ich garsteczka naprzeciw wielkiej rzeszy, poddaje się zwątpieniu czy zniechęceniu... Niekiedy z takiego zwątpienia w siły własne wyprowadzić zdolna jedna gwiazdka nadziei — gdy błysnie na szarem niebie niewiary... niebie słabych dusz naszych. Niechże więc gwiazda umiłowanej idei tak natchnie dobrą wolą mizerne grono ludzi szczerze tej sprawie oddanych — że ich usilne zabiegi przestaną być nadaremne; że ich nawoływania serdeczne nie będą głosem wołającego na puszczy; ale, że właśnie naraz ich działalność się ożywi i zacznie wydawać błogosławione skutki — albowiem ci, co po dziś dzień byli głusi na głos ich przestrogi, usłyszą i pójdą za nimi — a porwą za sobą i tamtych, co byli ślepi, bo nieuświadomieni o wielkiem niebezpieczeństwie, jakie grozi od owej powodzi alkoholizmu, żywiołowo ogarniającego coraz szersze warstwy społeczeństwa... Tylko trochę dobrej woli, a praca nad otrzeźwieniem towarzyszy, jeszcze nałogowi dziś hołdujących — wyda owoce upragnione.

I wtedy ów dygnitarz kolejowy, o którym tu mówiłem, przestanie się niepokoić o mózg organizmu, który stanowi rzesza ogromna pracowników komunikacji, mózg, dla którego alkohol jest tem niebezpieczniejszą trucizną, że zagraża stałej trzeźwości najpoważniejszego żołnierza Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — obowiązane go czuwać na straży jej wolności i niepodległości.

Pacjent abstynent.

Ruch przeciwalkoholowy w Polsce toczy się poważnie poza światem lekarskim, który wszak — zdawałoby się — miałby prawo właśnie nim kierować, mając w tych rzeczach najwięcej do powiedzenia.

I co za osobliwe zdarzają się paradoksy... Oto zapraszam do zarządu organizacji, mającej na celu walkę z alkoholizmem — lekarza. Wymawia się: »E, co tu ma medyk do roboty, to sprawa bliżej obchodząca społeczników...« Kiedy indziej staram się namówić działacza społecznego, by do tej akcji przystąpił. »Dajcie mi z tem spokój, to kwestja interesująca chyba lekarzy«.

Organizuję ogólnopolski Kongres przeciwalkoholowy, uderza mnie brak referenta w pewnej dziedzinie, idę do uczonego socjologa, pokazuję program prowizoryczny. Profesor go studjuje z najwyższym zainteresowaniem, siedzi nad nim godzinę, liczy tematy, doliczył się blisko setki i nie może wyjść ze zdumienia: »Wie pan, że byłem pewny, iż poza fizjologiem i neurologiem nikt tu głosu nie zabierze...«

Organizowałem znowu na większą skalę Kurs alkoholologii, wydrukowałem program, zebrało się wykładów 40. Trzeba było widzieć, jakie to zdumienie wywołało na Uniwersytecie: sekretarz biegał od rektora do dziekana, dziekan wołał kolegów, wszyscy się dziwili, że udało się

w tym przedmiocie opracować aż tyle tematów. Tymczasem mogło ich być 10 razy więcej, ale kursu nie dało się tak rozszerzać...

Z tego wszystkiego widać, z jak ogromnem mamy tu do czynienia zagadnieniem — i jak dziwnie mało do tychczas zdają sobie z tego sprawę sfery naukowe wogóle — poza garstką psychiatrów, poza kilkoma zaledwie jednostkami ze świata higjeny, które podawszy rękę działaczom społecznym, służą tej sprawie z zapałem i z ofiarnością przykładną. Inni zaś, ogół lekarzy, jak o tem np. świadczy sprawa zrealizowania, a dziś istnienia Koła Lekarzy Abstynentów, ciągle jeszcze trzymają się na uboczu. A właśnie pod ich adresem niejako, dla ich zawodowego użytku, chciałbym tu rzucić kilka uwag, przytoczyć kilka spostrzeżeń, parę charakterystycznych przykładów, które może więcej powiedzą, niż referat specjalisty...

Najpierw sięgnę w dawne lata. Pod koniec poprzedniego stulecia żył lekarz, zażywający wielkiej powagi, cieszący się dużem wzięciem, szeroką za sobą mający praktykę jako prymariusz największego szpitala. Przychodzi do niego pacjent uskarżający się na dokuczliwe bóle głowy, urzędnik w sile wieku, z najlepszej inteligencji.

— Pijasz pan kiedy stare wina? — pyta.

— Nie stać mnie na to!

— A piwo, porter?...

— Nie lubię.

— Tęgą starke, śliwowicę?...

— Wogóle tego nie używam...

— Otóż to źle, zaordynuję panu kilka butelek mocnego konjaku.

Porada powtarzała się jeszcze kilka razy. Rodzina pacjenta zaciągała lichwiarskie pożyczki na nowe baterje

butelek, które dały początek chronicznemu alkoholizmowi i wpędziły w grób przedwcześnie ojca rodziny...

W kilkanaście lat później w tym samym szpitalu ordynował młody, bardzo zdolny asystent. Lecząc chore dziewczątko przy pomocy dużych dawek alkoholu, wpadł w rozpacz na myśl, że to sprowadzić musiało śmiertelne zapalenie mózgu. Zwierzył się staremu profesorowi, lecz ten go wyśmiał. Asystent wtedy rozpił się i odebrał sobie życie w zamroczeniu.

Do krakowskiego neurologa, prof. Piltza, przywiozła matka z Ukrainy dorastającego syna, któremu zagrażał alkoholizm, odziedziczony po ojcu i dziadku. Wystarczyła jedna rozmowa lekarza z młodym pacjentem, by go uleczyć na całe życie. Do tegoż profesora w klinice krakowskiej przybiegła fanatyczna abstynentka poradzić się, czy można się zgodzić na opinię ich domowego lekarza, że męża jej w ciężkiej grypie da się uleczyć jedynie konjakiem, gdy on alkoholu nigdy nie używa. Odradził. Mąż wyzdrowiał. Lecz za kilka lat, a było to już po śmierci dra Piltza, znalazł się na jego klinice w *delirium tremens* — na skutek kilku butelek, wypitych na jakimś bankiecie...

Takie i tym podobne wypadki ciągle obijają się z nazwiskami i szczegółami o nasze uszy, jako ludzi mających w robocie społecznej do czynienia masowo z klęską alkoholizmu, z którą tak nam trudno walczyć — przypuszczam — przeważnie dlatego, że w naszej akcji rzadko tylko poprze nas decydujący w takich razach głos lekarza.

Po jakimś odczycie przeciwalkoholowym, który wygłosiłem z ramienia Uniwersytetu Jagiellońskiego w cyklu Wykładów Powszechnych, otoczyło mnie, jak zwykle zresztą w takich razach, kilka matek żałujących się na swoje tragedje z synami - alkoholikami. Jedna z nich powiada

że nie wie co o tem myśleć. Oto chodzi na wszelkie takie wykłady z zaufaniem ze względu na powagę instytucji naukowej, która je organizuje, czyta wszelaką literaturę popularno-naukową na ten temat z zaufaniem do powag, które tam głos zabierają. Tymczasem ile razy powtórzy słyszane argumenty przed jakim lekarzem praktykującym, zawsze się spotka — jak zapewnia — ze sceptycznym uśmieszkiem: »Przesada, przesada, nie taki diabeł straszny, jak go malują... W miarę, to i alkohol bardzo dobry na zdrowie...«

Otóż proszę mi powiedzieć, co ma zrobić pacjent, który jako zdecydowany abstynent, sam wierzy w szkodliwość alkoholu i drugich o niej zapewnia, jeżeli mu wypadnie w chorobie zwrócić się po poradę do lekarza. Niezawsze i nie wszędzie pacjent-abstynent ma do dyspozycji lekarza-abstynenta, o którym wie zgóry, że należy do sympatyków jego idei lub nawet do działaczy abstynenckich. Nieraz zdarzy się, że szukając specjalisty, trzeba tamtego ominąć. Zresztą na prowincji trafić się może tak, że innego wpobliżu nie będzie, a ten, co jest, właśnie wyśmiewa się z abstynencji. Proszę zrozumieć stan psychiczny tego pacjenta, proszę uwzględnić jego obawy, jego podejrzenia, jego wątpliwości. On nie mógłby już mieć zaufania do najniewinniejszego leku na spirytusie, a tu mu ktoś lekkomyślnie proponuje właśnie kurację alkoholową, która »tem lepiej poskutkuje, im bardziej organizm do tego nieprzyzwyczajony...«

A pacjent abstynent bądź co bądź przestał być u nas taką rzadkością w gabinecie lekarskim, jaką lat temu kilkadziesiąt był ścisły jarosz, któremu chciano zalecać surowe mięso skrobane lub krwią ociekające bifsztyki... Każdy kurs alkoholologii — a od lat 10 co rok odbywa się taki kurs w Państwowej Szkole Higieny, nie licząc

innych po miastach prowincjonalnych — przysparza setki stałych abstynentów. Inne dziedziny akcji społecznej tworzą też ciągle rosnące zastępy abstynentów, między którymi przecież znaleźć się mogą pacjenci lekarzy nieabstynentów. I tacy lekarze muszą liczyć się z psychiką takich swoich pacjentów, nie mogą sobie lekceważyć ich nawet i fanatycznego w tej sprawie usposobienia.

Jakiejże delikatności wymaga ze strony lekarza i badanie, i ordynacja, i kuracja w podobnych wypadkach. Proszę mi wierzyć, że abstynent, bynajmniej do żadnego bractwa nienależący, sprawy swego przekonania o niebezpieczeństwie alkoholizmu niewiążący z żadną sektą, jest z reguły jednak do tego stopnia drażliwy na tym punkcie, jakgdyby był fanatycznym wyznawcą jakiejs sekty, niedozwalającej używania alkoholu ze względów religijnych.

Trzeba się z tem liczyć, że większość abstynentów stała się nimi nie z takich przyczyn, wyjątkowych dziś wśród inteligencji, tylko poprostu pod wpływem literatury propagandowej popularno-naukowej, pod wpływem kursów, na które corocznie kuratorja szkolne nauczycieli, a władze wojewódzkie i samorządowe urzędników swoich lub działaczy społecznych, posyłają dla przeszkolenia.

Ludzie ci uwierzyli, bo raz usłyszawszy tyle argumentów przekonujących inteligenta, nie mogli nie uwierzyć, że alkohol jest niebezpieczny dla zdrowia ciała i duszy, dla życia jednostki i społeczeństwa, dla bytu rodziny i państwa. A uwierzywszy na podstawie wykładów naukowych, popartych taką wymową, jaką mają cyfry statystyki lub jeszcze od nich wymowniejsze pokazy kliniczne w zakładach neurologiczno-psychiatrycznych, albo przykłady z osobistej praktyki wybitnych kryminologów — czyż mogli nie zostać abstynentami zdecydowanymi, nawet fanatykami abstynencji. Tacy zaś, jak łatwo przewidzieć,

w roli pacjentów stają się u lekarza w jego gabinecie, czy w czasie jego u nich wizyty domowej, tak barometrycznie czuli na najsłabsze ciśnienie alkoholowe, że należy unikać tego rodzaju propozycji i najsłabszej, jeżeli się nie chce stracić reszty zaufania...

Atoli dla nas, abstynentów, naukowo przekonanych o potrzebie wyeliminowania alkoholu pod każdą postacią z wszelkich dziedzin życia — tego stanowczo jeszcze mało. Łatwo zrozumieć, że taki abstynent pragnie jako pacjent radzić się i leczyć jedynie u lekarza-abstynenta — i dlatego my, działacze abstynency, życzyć musimy ruchowi przeciwalkoholowemu w Polsce, by w interesie swego rozwoju zdobywał coraz więcej lekarzy-abstynentów na stanowiska swych duchowych kierowników i czynnych przywódców. Oby do tego przyczynić się mogło nowopowstałe Koło Lekarzy Abstynentów.

Czem się pochlubimy wobec gości?...

Zanim zacznę mówić o polskiej rzeczywistości w dziedzinie alkoholizmu i abstynencji, pozwolę sobie na chwilkę zajrzeć poprzez ocean, aż do Ameryki. Wszak na każdym zjeździe działaczy przeciwalkoholowych w ostatnim dziesięcioleciu odwracaliśmy się z zaciekawieniem w tamtą stronę, pytając w zaniepokojeniu, gdzie jest prawda, skoro z tych, co państwo prohibicji odwiedzili, jeden zapewniał, że odkąd konstytucja wykreśliła alkohol z życia obywatela Stanów Zjednoczonych, istny raj zapanował pod sztandarem gwiazdzystym, a drugi opowiadał, że słyszał na miejscu wiele o piekle sprowadzonym na ziemię Waszyngtona przez prohibicję, ale sam widział niewiele, ponieważ całą podróż odbywał w stanie ciągłego upojenia.

Dziś, kiedy się tam nareszcie skończyła owa niemal legendowa walka z przemytnikami owocu zakazanego, już i my w Europie znamy całą na ten temat prawdę. I tylko żałujemy, że Radio, które z takim upodobaniem puszcza na fale eteru we wszystkich odmianach tango pijackie, nie połączyło nas z Nowym Jorkiem w momencie epokowym, kiedy po zniesieniu prohibicji sucha Ameryka odetchnęła w sposób mokry. Przecież dla nas, abstynentów, którzy zalecając Sejmowi wprowadzenie Ustawy Przeciwalkoholowej, przestrzegaliśmy przed prohibicją w Polsce, do niej jeszcze nieprzygotowanej przez nale-

żyte uświadomienie społeczeństwa od dziecka o istocie alkoholizmu, byłoby rzeczą niezmiernie interesującą usłyszeć zza oceanu, to, ryk dzikiej dżungli zagłuszające, wycie ludzkiej bestji, jakim wtedy Amerykanin w wielomiljonowej masie powitał przywrócenie mu wolności pijaństwa.

Zato napewne operatorzy filmowi postarali się, byśmy w kinach całego świata mogli na ekranie dobrze się przyjrzeć innemu — na większą skalę obrazowi, fenomenalnemu w historii kultury, ale w dziejach odwiecznych kultu alkoholu całkiem normalnemu, jaki Ameryka wyprawiła dla uczczenia Stulecia Postępu. Taką nazwę miała wszechświatowa wystawa w Chicago na jubileusz stulecia tego nowego miasta-olbrzyma. Otóż mam na myśli zamknięcie uroczyste tej imponującej wystawy, na której w ciągu roku 50 milionów gości zostawiło 60 milionów dolarów.

Nas, którzy walczyliśmy o trzeźwość społeczeństwa i pracujemy nad tem, by pokolenia następne przestrzec przed klęską alkoholizmu, musiały przejść do głębi, wstrząsające duszą kulturalnego człowieka, opisy scen, jakie się tam rozgrywały przy udziale 300 tysięcy ludzi. Na pożegnanie wystawy cały dzień wszyscy pili, kiedy więc o północy strażnicy z pomocą policji spróbowali opróżniać z tłumu pawilony, aleje i place na terenie wystawowym, nie mieli już do czynienia z trzeźwymi. Oto alkohol zamienił te krociowe tłumy ludzi kulturalnych w bestję ludzką o instynktach pierwotnych, która wyjąc nieludzko, wpadła w dziki szal niszczenia i grabienia, a przypominała pijaną tłuszcę w pierwszym etapie rewolucji bolszewickiej.

Dla uczczenia stulecia postępu, najnowocześniejsi wandale kulturalnego Zachodu zdemolowali i splądrowali

wszystko co im pod ręce popadło, a wśród bijatyki wzajemnej nie tylko odbierali sobie nawzajem zagrabione cenne eksponaty, ale jeszcze niszcząc urządzenia dekoracyjne, wrzucali wartościowe przedmioty do stawów. A kto najwięcej łamał krzesel, stołów, kto rozbijał latarnie i tłukł zwierciadła, rozdzierał kulisy teatralne, porywał kosztowne, rzadkie okazy roślin, to kobiety i dzieci, gorzej pijane od mężczyzn i napełniające przez całą noc teren wystawowy krzykiem niehumanym wśród nieprawdopodobnych orgij i szaleństw, a często aktów zezwierzęcenia, w jakie tylko wódka zdolna jest wepchnąć człowieka cywilizowanego.

My, abstynenci, znamy te sprawy do cna. Ale nie tylko my wiemy z przebiegu dziejów ludzkości o tem, że zawsze i wszędzie owoc zakazany budził pożądanie słabej natury człowieczej. Zdajemy sobie tedy dobrze sprawę z tego, że moralności nie ugruntuje w społeczeństwie policjant, że kraść nie oduczy ludzi samo więzienie, że więc żaden przepis policyjny nie powstrzyma ludzi od kieliszka. Rozumiemy, że jeżeli systematycznym pouczeniem o groźnych następstwach alkoholizmu nie przekonamy już młodzieńszaka, to nie pomoże mu głośny zakaz katechety w szkole »nie pij«, przeciwnie, spotkawszy swego nauczyciela w stanie nietrzeźwym i widując nacodzień w ręku ojca butelkę, postara się o zdobycie półzłotówki, by naśladować dorosłych, zwłaszcza, że mu w tem przyjdzie z pomocą monopol skarbowy, wypuszczający w handel detaliczny buteleczki miniaturowe, nawet dla żebraków dziś dostępne.

Mógłby mi ktoś zwrócić w tem miejscu uwagę, że przecież u nas obowiązuje przepis o niesprzedawaniu wogóle wyrobów spirytusowych młodzieży. Aliści niestety my, tak blisko stojący tego tragicznego zagadnienia, wiemy,

że mimo to dzieciom małym, już nietylko wyrostkom, nieuczciwy szynkarz bez ceremonji da butelkę takich czy innych rozmiarów, ponieważ przywykł, że na inne przepisy tej samej ustawy w podobny sposób patrzy przez palce ten, kogo powinienby się obawiać. Od początku istnienia ustawy, aż do chwili zniweczenia jej w ostatnim czasie, lekceważono ją tak powszechnie pod naciskiem przemysłu alkoholowego, bądź co bądź możniejszego od społecznej akcji przeciwalkoholowej, że przestał sobie z niej cokolwiek robić byle karczmarz, poczuwający się zresztą do obowiązku przysparzania jak najwięcej dochodów Monopolowi, któremu ma do zawdzięczenia stałe i niebyłe zarobki.

A kiedy po świecie powionął wiatr antiprohibicyjny, kiedy nawet ta Finlandja, którą abstynenci wszystkich krajów ukazywali sobie jako niedościgły wzór doskonałości, zerwała pieczęcie z wrót dawno zamkniętej karczmy, cóż dziwnego, że i w Polsce pozwolono zatriumfować szynkarzowi. Przecież to nawet w interesie poszanowania autorytetu władzy, lekceważonego latami przez niewykonywanie ustawy lub tolerowanie jawnego deptania jej zasadniczych przepisów.

Stoimy poważnie zamyśleni nad świeżym dekretem rządowym, którym ostatecznie przetrzebiono niedobitki znowelizowanej już ustawy przeciwalkoholowej, aż do zniesienia prawa opcji lokalnej. W oczach strony przeciwnej uważa się to za cios stanowczy. A cóż my na to, my, którzyśmy tyle sił, tyle energii, tyle mozolnych prac włożyli w walkę o utrzymanie tych zdobyczy. Co mamy wobec tego począć teraz? Czy mają nam opaść ręce bezradnie i zwątpić mamy w triumf naszej idei?...

Otóż pragnąłbym gorąco, by ogólnopolski Zjazd abstynentów jak najgłośniej i jak najdobitniej oświadczył,

że w walce z alkoholizmem, my, społeczni bojownicy o trzeźwość narodu i państwa, przestajemy wzywać policjanta na pomoc. Bez względu na to, co będą zawierały obowiązujące przepisy policyjne na temat dozwolonej godziny, dozwolonego punktu, dopuszczalnego procentu i t. d. i t. d. — my dbajmy o jedno: by wzmogła się w Polsce społeczna akcja jak najszerszego uświadamiania o tem, co to jest alkoholizm i dlaczego należy go z wszystkich sił zwalczać. Jeżeli każdy obywatel, wchodząc w życie, sam sobie zda sprawę z tego niebezpieczeństwa dla jednostki i dla ogółu, a więc zrozumie czem ono grozi narodowi i państwu, napewne zbędne się staną ustawy, regulujące sprawę, czy na weksel wolno się upić w hotelu, a na kredyt pić nie wolno w szynku, oraz czy można podać wódkę na dworcu kolejowym wcześniej, niż na godzinę przed odejściem pierwszego rannego pociągu, albo czy wojewoda ma prawo zezwolić na szynk w odległości 60 m. od koszar lub szkoły.

Przeszkoliliśmy dotychczas z trudem tysiąc kilkaset osób na Kursach alkoholologii. Znaczna ich część tworzy zwarte Koło byłych słuchaczy kursów w Państwowej Szkole Higieny. Otóż to będą kadry instruktorów, bez których nie uda nam się tej walki prowadzić w terenie. Atoli wszystko nie wystarczy, jeżeli nie zrealizujemy nareszcie postulatów, jakie stawiały wszystkie pokolei nasze zjazdy i kongresy przeciwalkoholowe, co też poparły jednomyślne uchwały instancji tak poważnej i wysokiej, jak istniejąca przy Ministrze Opieki Społecznej, Państwowa Naczelna Rada Zdrowia w swojej Sekcji dla zwalczania alkoholizmu, a te postulaty brzmią stale jednako: wprowadzić alkoholologję do szkoły i uczyć jej począwszy od przedszkola, poprzez wszystkie stopnie zakładów naukowych, a skończywszy na wyższych uczelniach.

Sprawa ta nabrała takiej aktualności, żeśmy sobie powiedzieć powinni, iż dołożymy wszelkich możliwych starań, ba, szturm poprostu przypuścimy gdzie należy, by nareszcie do skutku doprowadzić uchwały tylu poważnych zgromadzeń uczonych i społeczników o systematycznej nauce alkoholologii nowoczesnej w polskiej szkole. Kiedy się około tego zakrzątniemy, może przecież zainteresujemy zagadnieniem alkoholizmu ogół społeczeństwa, jeszcze pod tym względem obojętny. A nie zainteresujemy go, dopóki nie poruszymy opinii publicznej, którą należy wstrząsnąć szeregiem obrazów realnie prawdziwych, a malujących w pełni grozę niebezpieczeństwa dla przyszłych pokoleń, o ile nie wzniesie się tamy dla powstrzymania żywiołowo wzmagającej się narkomanji. Na to, by za sobą porwać społeczeństwo, musimy dla swojej idei zdobyć sobie całą prasę bez względu na jej poglądy społeczne i polityczne.

My w walce o trzeźwość narodu i państwa, stanowimy naprawdę jednolity blok bezpartyjny, któremu bez zastrzeżeń, jak żadnemu innemu stronnictwu, służyćby mogły dla wspólnego dobra człowieka i Polski, wszelkie organy prasy, bo trzeźwość, jako idea, stała się pilną aktualnością dla każdej bez wyjątku kategorii obywateli i obchodzić dziś musi lekarza i sędziego, nauczyciela i kapłana, urzędnika i żołnierza, policjanta i marynarza, kupca i adwokata, studenta i robotnika, obchodzi prawodawców i pracodawców, rzemieślników i przemysłowców, włościan i mieszczan, inteligenta i analfabetę. Powiedzmy, czy jest kto, kogo nie dotyczy, jeżeli stała się tragedją najpowszechniejszą matki i żony, zarówno w mieście jak na wsi.

A jednak — pytajmy, kogo ta sprawa tak naprawdę szeroko obchodzi, jeżeli na Zjazd abstynentów z całej

Polski wystarcza lokal jednej szkoły, zamiast jakiegoś wielkiego parku, zdolnego pomieścić dziesiątki tysięcy delegatów, w tym rodzaju, jak widzimy na fotografiach ze zjazdów zorganizowanych w różnych innych sprawach we Włoszech i w Niemczech. Oto dowód, jakie kręgi dotychczas zatoczył w Polsce ruch abstynencki. Więc uprzymiśmy sobie, jak wygląda nasza sprawa wobec wszechświatowej manifestacji na cześć idei trzeźwości, która przecież ma się rozegrać w naszej stolicy, skoro właśnie do Polski zaprosił Rząd Rzeczypospolitej następny Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy. Ze wszystkich części świata zjadą się gremjalnie do Warszawy różnorodni pionierzy abstynencji i z tą samą ciekawością, z jaką oglądać będą egzotyczne dla wielu z nich przybytki naszej indywidualności narodowej oraz dzieła polskiej kultury, zechcą z zakresu swej specjalności poznać wszystko, czem Polska może się pochlubić w walce z alkoholizmem.

Otoż my, polscy działacze przeciwalkoholowi, mamy obowiązek nad tem się zastanowić, co uczestnikom światowego Kongresu pokażemy w referatach na poszczególnych sekcjach samego kongresu i na związanej z nim wielkiej wystawie, oraz poza nim, w kraju. Zarówno na Wystawie poznańskiej kilka lat temu, jak potem w Warszawie na Wystawie zorganizowanej na Zjazd Polaków zagranicznych, stoisko Monopoli spirytusowego przedstawiało się imponująco. Ale nie to pokazać zechcemy gościom-abstynentom ze świata. A tymczasem Amelin po dziś dzień jest tylko jeden, a poradni kilka na terenie państwa 35-miljonowego. Gdzież jest ta sieć przychodni przeciwalkoholowych i poradni do walki z narkomanjami po ośrodkach zdrowia, których praca przyniosłaby takie wyniki w każdym zakątku kraju, jak np. robota dotych-

czasowa na Mokotowie, a Świack w dziedzinie leczenia alkoholików. Zapewne, że niejednemu z gości zaimponuje magnacki pałac w Świacku, ale gdy nas spytają, ile mamy nowoczesnych lecznic po kraju rozsypanych, a na ten cel wyłącznie przeznaczonych i prowadzonych z uwzględnieniem postępu w tej dziedzinie na Zachodzie, to może trochę będziemy w kłopotcie.

Kongresy wszelakie w Polsce mamy zwyczaj zatapiać w kielichu polskiej gościnności tak dalece, że gość zagraniczny zapomina wreszcie o wszystkim, co widział i słyszał, a najlepiej zachowuje w pamięci, co jadł i pił na stu przyjęciach. Tymczasem wyjątkowo inaczej postąpimy z tym kongresem, miejmy tedy na uwadze, że nasi goście na trzeźwo oglądać będą nasze postępy w zakresie zwalczania alkoholizmu, i na gwałt zabierzmy się do przygotowania społeczeństwa na przyjęcie w Warszawie Kongresu Międzynarodowego abstynentów. Jeżeli idzie o przemysł alkoholowy, to podejmując gości obcych, nie potrzebujemy sięgać po wyroby zagraniczne, bo w najlepszym gatunku pochlubić się możemy rodzimymi i to nawet pieczętowanymi herbami najwyższej arystokracji.

Ale jeżeli weźmiemy wojującą z tym możliwym przemysłem nowoczesną alkoholologję, która nie może pochlubić się ani staroświeckim miodem Zagłoby czy winem piwnic Fukiera, ani hrabiowskimi rosolisami, książęcami likierami, ni arcyksiążęcem piwem, to z wyrobów krajowych eksponaty kongresowe dość będą — mówiąc między nami — ubogie. Wprawdzie czasopisma specjalne mamy świetne, lecz ich nakład cyfrowo śmieszny. A już bibuła propagandowa, a już afisze kolorowe spod ręki tęgich ilustratorów, widne na placach i w lokalach publicznych, po szkołach, koszarach i dworcach, to rzeczy mityczne w robocie polskiego abstynenta, który na taki

luksus środków znikąd zdobyć nie potrafił. Dalej tablice, modele, jako pomoce naukowe przy wykładzie popularnym, jakżeśmy w te rzeczy niezasobni. A podręczniki alkoholologii, a dzieła naukowe, a broszury specjalistów. Jest kilka książek kapitalnych, jest parę broszur, których mogliby nam i obcy pozazdrościć, ale na Polskę, w innych dziedzinach wiedzy tak bogatą, to kompromitująco zamało.

Statystyki, wykresy w wyniku ankiet, dają obraz zaledwie kilku szkół i z kilku tylko miejscowości, przeważnie już daty przestarzałej, gdy byłoby rzeczą niezmiernie dla nas pouczającą zdobyć wyniki ankiety obejmującej całokształt szkoły polskiej. A gdzież ankiety z innych środowisk? To też prelegent wykładający na naszym kursie operuje ciągle datami statystyk zagranicznych i z konieczności powołuje się na obce powagi, ponieważ badań naukowych z zakresu alkoholizmu uczonych polskich mamy bardzo mało. Powymierali przeważnie ci, którzy je z pasją prowadzili, teraz zaś, ilekroć zwrócimy się do wybitnych profesorów z prośbą o referat, otrzymujemy odpowiedź: Ja się zagadnieniem alkoholizmu nie zajmowałem bliżej, więc to dla mnie przedmiot nieznany. Albo: Nie mam czasu ni środków na specjalne badania z tego zakresu. Wobec takiego stanu rzeczy referenci nasi po dawnemu cytują zdania kilku znakomitości zagranicznych sprzed wielu laty, gdy tymczasem alkoholologia po świecie rozwija się i postępuje niezmiernie szybko, a my nie wiemy, co nauka polska decyduje się powiedzieć ostatecznie na temat dziedziczności lub związku alkoholizmu z gruźlicą, z rakiem, z reumatyzmem, z wenerją, z próchnicą zębów.

Czekamy na najnowsze orzeczenia nauki naszej w sprawie małych dawek, w sprawie oddziaływania alkoholu na organizmy mało odżywione, na karmienie ma-

tek itd. itd. Wyglądamy nowych prac polskich uczonych z dziedziny psychiatrii i neurologii, psychologii, charakterologii, higieny psychicznej, kryminologii. Oczekujemy od naszych alkoholologów nowych i na polskim materiale opartych prac z zakresu katastrof ruchu i wogóle wypadków nieszczęśliwych, pożarów, to znowu przestępczości nieletnich, prostytucji, z dziedziny sportu i wychowania fizycznego.

Niech nam polscy alkoholologowie opracują gruntownie alkoholizm jako zagadnienie etyczne, kulturalne, gospodarcze, społeczne, państwowe, niech nam w cyfrach wykażą, jak wygląda np. obciążenie opieki społecznej przez alkoholizm, albo niech statystyką udowodnią, że alkoholizm w procesach sądowych nie daje procentu dominującego itd. itd. w nieskończoność, ponieważ literatura nasza specjalnie alkoholizmowi poświęcona ma jeszcze braki ogromne, luki dotkliwe, z którymi porać się musi każdy prelegent w swojej praktyce, gdy sobie wybierze jakikolwiek temat, bo gdzież ma szukać danych, chcąc mówić o alkoholizmie w wojsku, albo o związku alkoholizmu z walką z żebractwem, czy o statystyce samobójstw na tle narkomanji.

Wszystkiego tego spodziewamy się od nauki polskiej na wszystkich wszechnicach krajowych.

My, działacze abstynency, mając wkrótce gościć u siebie Kongres światowy, zdwoimy teraz ochotnie działalność społeczną, by wobec obcych udowodnić, że Polska, jeżeli jeszcze światu w trzeźwości przodować nie może, to jednak, pomimo wszelkich przeciwności, nad tem usilnie pracuje, by następne pokolenia weszły już w życie ze szczerem przeświadczeniem o nieodzownej potrzebie powszechnej abstynencji.

Przekleństwo życia.

Kiedy ostatnia wojna światowa rozpętała się już na miarę nigdy przedtem nieznaną, pewnemu biskupowi takie słowa nasunęły się na usta w zapale kaznodziejskim:

Jakże chcecie, by Bóg waszej modlitwy o przyjście Królestwa Jego na ziemię miał wysłuchać, skoro świat cały, od ostatniego nędzarza do monarchy, gwałci masowo odwieczne przykazanie Boże: Nie zabijaj! Jak możecie wymagać, by Król królów na mieszkanie stałe upodobał sobie tę potworną, rzekami krwi bratniej obryzganą rzeźnię, w jaką zamieniacie całą ziemię skutkiem wzajemnej zawiści, złości, nienawiści?

Otóż zdaje mi się, że pewna odmiana słów owego biskupa, biadającego nad wojną, może się w zupełności nadawać na poparcie szlachetnych poczynań ludzi dobrej woli w kierunku zmniejszenia czy osłabienia niemniej potwornych następstw innej a stałej plagi rodu ludzkiego, żywiołowej już dzisiaj klęski alkoholizmu. Czyjeż serca, czyjeż, powiedzmy tylko, wargi nie powtarzają codziennie »Przyjdź Królestwo Twoje«? A kędyż to, spytajmy, zapanować ma ono wymodlone Królestwo Boże? Zali w karczmie, wielkiej karczmie, na którą cały świat zamieniają ludzie, a między nimi i ci niestety także, którzy codzień w pacierzu błagają Ojca w Niebiesiech: »Zbaw nas ode złego«.

Tak czy owak idea Królestwa Bożego na ziemi jest programem, dążeniem społecznem wszelkich wyznań, narodów i stronnictw. A trudno zaprzeczyć, że w istocie zamiast grunt gotować pod ten idealny chram Boży, w jaki miałyby się przeistoczyć życie powszednie ludzkości — rujnujemy powoli wszelkie gmachy publiczne i domy prywatne, a na ich miejsce wnosimy karczmy i karczmy, same karczmy!

To bynajmniej nie przesada. Wszak człowiek najkulturalniejszy, gdy się raz zgodzi na napełnienie kieliszka alkoholem, potrafi ostatecznie w karczemną izbę zamienić nie tylko swoją jadalnię i wykwintne salony, nie tylko swój gabinet pracy intelektualnej, ale nawet sypialnię własnej żony, ba, nieetykalny pokój dziecinny.

Bo alkohol właśnie ma to do siebie, że pod jego działaniem zatracą się poczucie niedozwolonego; zacierają się granice nieetykalności, świętości; zanika człowieczeństwo, pozostaje jedynie natura zwierzęca.

Otóż to samo zjawisko staczania się z lawiną alkoholizmu na coraz niższy poziom upadku jednostki choćby z wyżyn cywilizacji, obserwować możemy na społeczeństwie. Obok świątyń na chwałę Bożą, powstawały pod wpływem kultury w ciągu wieków pałace poświęcone kultowi wiedzy, poezji, muzyki, sztuki. Wszystkie te instytucje nieznacznie a systematycznie zamienia człowiek w karczmę, wnosząc wszędzie tam nie tylko karczemny obyczaj, ale co groźniejsza, nawet swoistą ideologję wylęgłą w atmosferze oparów alkoholizmu.

Czyż nie widzimy tego wódką cuchnącego zalewu, jak szeroko sięga w dziedzinie piśmiennictwa i sztuki coraz wyżej, coraz brutalniej? Czyż nie z knajpy bierze dziś natchnienie poezja, przynajmniej ta najmodniejsza? Czy muzyka nie nasiąka wyziewami opilczemi murzyń-

skiego dancingu w jego formie najdzikszej, najnieestetyczniejszej, najniekulturalniejszej? Czy teatr i kino, będące wszak najskuteczniejszym narzędziem dla propagandy etycznej w najwyższym tego słowa znaczeniu, nie stały się chronicznym terenem zarazy karczemnej, a jej transmisją radio, to na Boskich falach przeczystego eteru roznoszące wraz z dżezbandową melodią taneczną ordynarnie ogłupiających śpiewek, wykrzyki gorączki pijackiej z nocnych kabaretów, czyli z eleganckich, szampańskimi korkami strzelających spelunek-szynkowni.

Powiedzmy to w czystej polszczyźnie: poprostu z karczmy. Żebyś zaś był lepiej rozumiany w swych wywodach, oświadczam, że dla mnie karczma nie jest symbolem tylko alkoholowego pijaństwa, ale i wszelakiego duszę ludzką zatruwającego nałogu; synonimem jest wszelkiej demoralizacji i korupcji, defraudacji i łapownictwa, karciarstwa i hazardu; synonimem pornografii, prostytucji; obrazem zwyrodnialstwa; symbolem wszelkiego gwałtu nad etyką w życiu prywatnym i publicznym: bo tego wszystkiego właśnie karczma kolebką jest i szkołą!

Otóż ta karczma, zależnie od klasy społecznej i postępów cywilizacyjnych zmieniająca swój wygląd, ale w gruncie rzeczy wszędzie i ciągle tasama, zaprzęta sobą urzędy, sądy, parlamenty; bierze na swoje usługi prasę; zapełnia swemi ofiarami szpitale, sanatoria, zakłady dla obłąkanych, a jednocześnie więzienia, domy poprawcze, sierocińce, przytułki dla dzieci anormalnych, schroniska podrzutków... Ta karczma rujnuje państwo i społeczeństwo moralnie, fizycznie i ekonomicznie; paraliżuje wszelkie próby zdrowych urządzeń społecznych, unicestwia akcję szkoły, wypacza poczynania Kościoła. Ona to zabiła dom, rozbiła rodzinę, zatraciła urok wdzięku kobiecego, wniosła chamstwo w życie towarzyskie i umysłowe, spodliła życie

publiczne. Ta karczma zdemoralizowała najzdrowsze warstwy ludu, zdegenerowała rasę; ona zmniejszyła siłę pracy, zacieżyła na polocie myśli, wyjąłowiła cudowne ogrody serca, zatruiła wszelkie płody ducha.

To przecież karczma zniweczyła autorytet nauczyciela, wodza, dostojnika. Ona stała się życiem dnia dzisiejszego, jego treścią i celem. Do tej karczmy zaś uciekamy się nie tylko dla zabicia robaka smutku lub żalu, jędzy złego sumienia czy jeno ćmy nudy, ale i wtedy, gdy nic nie dolega, gdy piersi rozpiera właśnie wesołość, zadowolenie. Wszakżeśmy wszystkie zwyczaje tradycyjne, obrzędy o treści najgłębszej, przerobili szcasiem na obchody kultu pijaństwa. Spotkanie przyjaciół czy krewnych, schadzka kochanków, matura czy promocja, zdobycie posady, awans w urzędzie, habilitacja uczonego, jubileusz dostojnika, wernisaż czy premjera, zjazd polityczny, kongres naukowy, święto czyichś zasług dla narodu, odsłonięcie pomnika bohatera, sprowadzenie do kraju zwłok wielkiego poety, wszystko jednakowo czcimy — bankietami, a więc pijatyką, jak imieniny, chrzciny, ślub i pogrzeb, siewy i dożynki, sobótki i zaduszki, Nowy Rok i Maj, Boże Narodzenie i Wielkanoc, wszystko sprowadzamy do pamiątki kieliszka, i święto religijne, narodowe, rodzinne zamykamy w rytuał karczmy.

Trudno zaprzeczyć, że właśnie w dzień Bogu poświęcony najwięcej bożkowi alkoholowemu hołdujemy, poprostu naigrawając się z wszelkich praw przyrodzonych, z nakazów religii i państwa, z przykazań sumienia, serca i rozumu. Powiedzmy, czy to jest rzeczą moralną, jeżeli człowiek na podobieństwo Boskie stworzony wybiera sobie właśnie dzień święta Bożego na to, by świadomie pod wpływem alkoholu zamieniać się stopniowo w istotę w postępkach swych niżej stojącą od bydłęcia.

Żeby właśnie wtedy, gdy większość ludzi modli się, odprawia nabożeństwa, oddaje się kontemplacji, odbywały się największe libacje, najstraszniejsze orgie pijackie; by lokale uciech najpodlejszych otwierały się właśnie w dni uroczystości najpodnioślejszych; by powagę święta gwałciły dzikie wrzaski i bełkoty nieludzkie ofiar pijaństwa; by ciszę spoczynku niedzielnego zakłócały zreguły najpowszedniejsze bójk i burdy awanturujących się bez końca pijaków...

Gdyby jakiś gigantofonograf pozbierać mógł wszystkie złe słowa, brzydkie wyrazy rynsztokowe, ohydne, grozę budzące przekleństwa, wypływane w dzień spoczynku świątecznego przez usta, które rozwiązał wymowność podniecający alkohol... Gdyby jaki radjotelepatyczny aparat pochwytać mógł wszystkie wibrujące na falach eteru wstrętne myśli, podłe, nikczemne, potworne, jako emanacje mózgów w ten dzień świąteczny oszołomionych, odurzonych, porażonych jadem alkoholowym... Gdyby można było jakimś wynalazkiem filmowym uwiecznić na ekranie wszystkie naraz zbrodnie świata, jakich sprawcą w jedną niedzielę stał się tylko alkohol... To pod koszmarnem wrażeniem takiego obrazu ludzie zdemolowaliby chyba wszystkie na kuli ziemskiej szynkownie, uwierzywszy przecie, że gazy trujące mniejby raz wyrządziły szkody ludzkości, niż czad alkoholowy, ciągle, powoli, skutecznie zabijający ród człowieka na ziemi.

A toć wcale nie przesada metafory literackiej, albowiem widzimy, że alkohol jest tylko początkiem wszelakiego wątku zła, od niego zaczyna się rozwijać czarodziejski kłębek szatańskiej nici, którą człowieka pętają harpie zepsucia. Tryskające z kieliszka źródło jadów demoralizacji wypływa zrazu tym wyrazem plugawym, tą anegdotką sprośną czy śpiewką wyuzdaną, które nie rodzą

się na trzeźwo, lecz tylko tam, gdzie strzelają korki szampańskie i musują wina, gdzie się leje koniak i sączą stare likiery, albo gdzie się kuflami żłopie piwo, gdzie się cuchnącą chleje gorzałkę lub parzy kiszki denaturatem. A potem z oparami spirytusowemi kurzą się z głów zachcianki wszeteczne, z poskręcanych okowitą zwojów mózgowych wypełzają myśli brudne i niskie, z czkawką pijacką rodzą się zamysły złodziejskie. I dopiero przez alkoholowe omroczenie zakrada się do duszy majak zbrodni.

Albo czy nie przez rznięte szkło kieliszka cedzi się kusicielski szept Mefista? Wszakże najczęściej do czarów spirytusowych ucieka się uwodziciel. A potem czy na trzeźwo ofiara jego odważy się zanurzyć w błotną kąpiel zawodowego wszeteczeństwa? I znowu, żeby w niej nadal trwać, raz za razem nieszczęsna wzywa na pomoc alkoholowego narkotyzera. Co za przedziwne historie opowie nam socjolog na temat tej nierozdzielnej pary, jaką stanowi narkomanja z rozpustą. Jak znów lekarz specjalista zwierzy się nam z tajemnic swego zadżumionego wstydem gabinetu, że winowajcą całej gehenny wenerji nie kto inny, tylko alkohol.

A miraż zdrady małżeńskiej czy nie najczęściej wstaje przy dźwięku kieliszków? Najlepszy mąż i ojciec, znany szeroko z serdecznych uczuć rodzinnych, przeradza się w tyrana swego domu z chwilą, gdy się zaprzeda Bacchusowi. Syn, który w latach dziecięcych czcił rodziców, rozpiwszy się po śmierci ojca, poniewiera matkę, za każdym powrotem z szynku znęca się nad nią nieludzko. Z chaty swojej na tułactwo bezdomne wygnają starego ojca dzieci rodzone, skoro je raz opętała karczma...

To mi przypomina sztukę poety Rostworowskiego, który zdziera bezlitośnie zasłonę z tragedji ciemnej chałupy na wsi naszej, ponurej tragedji rodziny chłopa pijaka,

co się stał niewolnikiem karczmarza. Oto rodzice zabijają dla dolarów podróżnego, który w chacie ich zasnął twardo po odwiedzeniu wprzód zajazdu — i dowiadują się wkońcu, że zamordowali własnego syna, który z Ameryki wrócił pomóc im w nędzy zarobionym tam groszem. Krwawa niespodzianka, straszna w swej grozie. To jest na deskach teatru grany propagandowy wykład: alkohol a moralność. Niestety, rzecz zanadto ponura, zbyt przynębiająca, by mogła nam służyć do celów propagandowych, czego u nas właśnie tak dotkliwie brak dzisiaj, zwłaszcza jeżeli idzie o stronę etyczną alkoholizmu.

Poszedłem raz do kina poznać film amerykański »Grzechy ojców«, ponieważ w recenzjach natrafiłem na wzmiankę o prohibicji. Rzecz ta nie ma właściwie na celu wykazać widzowi, że wódka wogóle jest zabójczą, tylko że przy prohibicji należy wystrzegać się jej dlatego, iż przemysłowcy do swych potajemnych wyrobów używają denaturatu tak bardzo niebezpiecznego, że — jak w tym wypadku — poraża wzrok synowi, który upił się fabrykatem przemycanym właśnie przez ojca. Ale jest w tym obrazie scena, która budzi głębsze refleksje.

Rzecz dzieje się w czasie, gdy w Stanach Zjednoczonych zapadła uchwała zabraniająca wyrobu i sprzedaży alkoholu. Właśnie zbliża się godzina, w której ma wejść w życie prohibicja. Moment, niby u nas środa popielcowa, mająca zaskoczyć karnawałowych taneczników jeszcze w wirze szalonej galopady na sali balowej. Otóż rzucono tam na ekran tłumy amerykańskie, które w dziękopiętaniu starają się w ostatniej godzinie zdobyć ile się da upragnionego alkoholu; nie tylko zakupują go masowo na zapas, ale i na zapas wypijają — mimo, że już fizycznie nie mogą.

Z obrazu, potraktowanego tam jako monstr-groteska, wyłania się ku nam tragizm niewoli, w jaką popadł człowiek, zrobiwszy sobie złotego cielca naszych czasów z butelki. Niby w niesamowitym tańcu świętego Wita czarownic średniowiecznych, kłębi się dzisiejsza ludzkość w konwulsjach obłędu opilczego dokoła' ukrytej w butelce bogini. I gdyby z góry Objawienia zeszedł w tej chwili na ziemię nowy prorok, mógłby nadaremnie czytać tłumowi swoje tablice Bożych przykazań. Na każde z nich pokolei odpowiadałby mu tylko bełkot nieprzytomnego pijaństwa. Od pierwszych bowiem, odnoszących się do jego stosunku względem Stwórcy, do ostatnich, normujących jego życie osobiste, rodzinne i społeczne — człowiek zalał treść wszystkich potopem wódki i w niej umorzył sens ich nakazów.

W niej znalazł źródło każdej winy. W niej znajduje też i rozgrzeszenie, gdy nad jego głową rozlega się przypomnieniem głos trąby sumienia publicznego: Nie zabijaj — nie cudzołóż — nie kradnij! Odpowiedzią jest na wszystko niewzruszona zatwardziałość obojętności. I moraliscie, który na to rozpętane dokoła niego w różnorodnej postaci, acz z jednego źródła mętne szumiące zło, spogląda z zadumą wielkiego smutku, wydaje się, że to tam kędyś wysoko między ziemią a niebem, na szczycie Golgoty Idei zbawczego Dobra ukrzyżowano Prawdę jedyną — a tu na padole rozgrywa się tylko szulernia namiętnie zapamiętała o szaty Odkupiciela świata.

W pałacu Sztuki na Wystawie Polski Współczesnej w Poznaniu wisiał wielki obraz prof. Pautscha, rektora akademii krakowskiej: Ukrzyżowanie. Nie moment dziejowy, lecz niejako syntezę największego dramatu ludzkości oddał malarz, wbrew tradycji a symptomatycznie dla dzisiejszej twórczości, z rozmachem przeraźliwym niemal

odrażającego realizmu. Otóż z tego ogromnego tryptyku kolorami krzyczącego, obchodzi mnie w tej chwili jedno skrzydło i scena u stóp wiszącego po lewicy łotra złego.

Mrok nocy grzechu rozświetla latarka cynizmu, a przy jej blaskach niesamowitych wypełzają chucie najnikczemniejsze, wybucha wściekłość gniewu, strzelają błyski żądzdy niepohamowanej, w powietrzu pełnem — zda się — dźwięku srebrników Judaszowych, dyszą zapasy śmiertelne roznaśniętych szulerów, hazardujących życie na ostatnią kartę.

Odwróćmy ze wstrętem i z politowaniem oczy od szubrawego oblicza tych szalbierzy, zbójców i morderców uosabiających zwyrodnienie i upadek ostateczny człowieka. Skąd mogła wynieść ta podła zgraja złoczyńców — jeżeli nie ze spelunki karczemnej, gdzie fetor szynkwasu owionął ją mrokiem zbrodni...

Nie dom czysty, zaciszny, od ohydy ulicy odgrodzony kwiatami w oknach; dom karmiący mlekiem uczuć rodzinnych, co są zarazem elementarzem moralności społecznej; ale zapluty, hałaśliwy zajazd publiczny, dla wszystkich zawsze na ścieżaj bezwstydnie rozwartą karczmą — miast zielenią doniczek, wabiąca przechodnia szeregiem butelek w oknie; szynk pojący ludzi zgnilizną moralną, złością i zawiścią; szynk, w którego zaduchu lęgnąć się muszą mikroby lenistwa i rozwiązłości, opilstwa i obżarstwa; szynk, którego atmosfera zaraża chciwością i szachrajstwem; szynk, którego niskie podniety muszą pchać w rozpustę; szynk, kryjący za swemi brudnemi kulisami szulernię — oto jest kolebka i szkoła zbrodni; zbrodni niczem, nieokiełznanej, żadnego hamulca praw Boskich ni ludzkich nieuznającej; zbrodni, której nieprzeczuwane możliwości są poprostu nieogarnione i dlatego taką grozę niepokoju o przyszłość muszą budzić w publiczście.

Życie rosyjskie przeszło właśnie przez taką szkołę rozpijającego do ostatecznych upodleń domu publicznego, karczmy. Aż wreszcie wydało z siebie katownię krwawej czerezwyczajki bolszewickiej, której zbrodnicość doszła przecież do rozmiarów nieprzeczuwanych możliwości. A kiedy nowi tyrani zabrali tam człowiekowi wszystko, od najmarniejszej własności materialnej do najbezcenniejszego skarbu, jaki dlań stanowiło prawo do życia duchowego, ten podwójnie obrabowany niewolnik, zmagający się z głodem, chłodem i rozpaczą, a niemogący się obronić napadom złodziejskim band miliona zdziczałych dzieci bezdomnych, wiecznie pijanych, roznoszących wszy i zarazę — wzdycha dziś ciężko i marzy po cichu...

Czytałem swego czasu list ukradkiem z głębi Rosji wysłany, zdradzający nastrój tych dusz umęczonych. Otóż ten Moskal, którego przez tak długie czasy — wiadomo, że nie z jego winy — ideałem życia było upić się na umór w domu publicznym, ma dziś jedno pragnienie: swój dom, własny domek rodzinny z firankami nad oknem i z kwiatami w oknach. »Nie macie pojęcia — powiada — jak my tu dziś wszyscy miłujemy kwiaty, z jak serdecznym upragnieniem do nich wzdychamy.«

Tragedję tych smutnych dusz ja dziś doskonale rozumiem, ponieważ poznałem ją zbliska, na miejscu, sam będąc w niewoli bolszewickiej, aż u granic Azji i potem w samej Moskwie. Kiedy stamtąd uciekając, przejechałem w męce całutką Rosję wszcz, niemal od Kaspijskiego morza po Bałtyk, miałem sposobność napatrzeć się, jak dalece nic naprawdę nie zostało owemu biednemu człowiekowi do życia, na gruzach tego ogromnego domu publicznego, rozbrzmiewającego przez dziesiątki lat wrzawą pijacką. Rozumiem go dziś w całej pełni, gdy w zatęchłej zgniliźnie życia zaczyna nareszcie marzyć o kwiatkach

w oknie, symbolizujących te wyższe, bezcenne wartości duchowe, które wraz z tablicami biblijnymi zdeptała w błocie zbrodni zgraja zbójów, wypełzła ze spelunki szulersko-pijackiej; tasama, co ukrzyżowała Ideę najwyższej moralności ludzkiej: czystość, dobro, prawdę i sprawiedliwość.

Obywatelskim obowiązkiem ludzi dobrej woli, którzy podjęli u nas walkę z alkoholizmem jako klęską społeczną i ekonomiczną, ale nadewszystko plagą moralną, jest coraz głośniejsze przestrzeganie narodu przed tą ostatecznością otchłani, w jaką musiałoby nieuchronnie runąć społeczeństwo, gdyby coraz powszechniejsze używanie narkotyku alkoholowego, doprowadziło ogół do rozpijania, więc do stanu, w jakim nastaje zupełne znieczulenie etyczne.

A proszę mi wierzyć, że nad samą krawędź tej zdradliwej przepaści wiodą wszystkie ścieżki udeptane i wszelkie manowce nieprzeczuwane, wychodzące z karczmy, bez względu na to, jak w swej kameleonowości ona się dzisiaj nazywa. Wiedzie ten czarny szlak zagłady poprzez niebezpieczną odmianę obyczajów, z którą zanika błogosławiony dom rodzinny, sam ze wszystkim przenoszący się do domu publicznego, do karczmy, a gdziekolwiek jeszcze trwa nadal, to przynajmniej w swoje ciche ściany wprowadza ów przeklęty dom publiczny — karczmę. A tuż za tem idzie z waporem! alkoholizmu rozbić rodziny, tudzież chamstwo atmosfery karczemnej.

Idzie w ślad za tem nadmierne spoufalenie się ludzi płci odmiennej; bez głębszego powodu i celu, niechybnie prowadzące do zdrożnego zbliżenia się seksualnego. A dalej wciąganie w bachanalje męskie jeszcze i kobiety. Idzie wreszcie naśladowanie przez nią męczyzny także i w tych wszystkich złych stronach jego trybu życia,

które były przedtem na szczęście tylko męskiej połowy ludzi udziałem. Wywiera to wpływ z jednej strony na zanik kobiecości, będącej wdziękiem naturalnym niewiasty, a z drugiej prowadzi do zatury wstydlwwości, stanowiącej jej urok wrodzony. Jakle są tego następstwa, wiadomo już nadto dobrze i nie trzeba aż moralisty, by ubolewać nad niepożądanemi objawami coraz powszechniejszego obnażania ciała przez płci obydwie w sposób bezczelny, wcale nie ze względów na zdrowotność — a więc ten uprawiany publicznie bezwstyd na letniskach i plażach, w sporcie i zabawie, wogóle w modzie ubioru i stroju.

Licuje z tem oczywiście piosenka już nie swawolna, ale wyuzdana, która z knajpy wyszła na ulicę, a dostała się do salonu i biura; która dziś brzmi w ustach już nie pijanego rozpustnika, lecz pensjonarki i za uczciwą uchodzić chcącej żony, ba, w usteczkach niewinnych dziecka wyuczonego bezmyślnie przez własną matkę.

Jeżeli w imię ocalenia rodziny, a przez nią szczęścia przyszłych pokoleń, nie wyrzekniemy się alkoholu, to duch dziejów gotów rzucić na nas przekleństwo za zmarnowanie odzyskanej z tak masową ofiarą wolności, zatracenie Polski w powszechnym szynku dnia dzisiejszego. I oto staje mi w myśli mistrzowskie dzieło naszego malarstwa, kapitalny obraz realistycznego pendzla, tak przedziwnie mocno i trwale do uczuć i myśli widza, dzięki świetnej technice przemawiający swą treścią, swą ideą, że gdyby go propaganda abstynencka wydała jako artystyczny plakat kolorowy dużych rozmiarów, masowo rozlepiony wszędzie, gdzie się ludzie gapią i gdzie rzucałyby się w oczy tłumom ludu, napewno w walce z alkoholizmem zdziałałby stokroć więcej dobrego, niż wszystkie kazania i odczyty nasze na temat: Alkohol a moralność. Tytuł obrazu: »Przekleństwo«, autorem — popularny, za-

granicą nawet sławniejszy niż w kraju, malarz rodzajowy Józef Męcina Krzesz.

Treścią tej barwnej kompozycji jest z porywającą siłą ekspresji malarskiej przedstawiona groza alkoholizmu i krzyk protestu przeciw jego ohydzie i krzywdzie. Cóż wyobraża? Ano nic więcej nad ów szynk, o którym ja tyle tu mówię i dlatego właśnie na zamknięcie swego referatu sięgnąłem po taki, pełen zaiste impetu propagandowego obraz tego w wielkim stylu ilustratora polskiego. Scena w szynkowni prawie zwyczajna, namalowana naturalistycznie. Jakieś dziewczki wyuzdane, jakieś spod ciemnej gwiazdy przedmieścia figury wokół stolika szulerów przy szklanicach i butelkach. Lokal zapewne gdzieś nieopodal wielkich fabryk. Na wódkę i karty, na pijaństwo i pokątną rozpustę idzie tu lekko, jak z dymem machorki puszczany — zapracowany ciężko grosz robotnika, własność porzuconej w nędzy rodziny.

A właśnie w imię tych opuszczonych dzieci, w imię tego poniechanego domu rodzinnego — występuje tu z gestem tragicznym bohaterka obrazu. Żona i matka. Biedna robotnica. Ofiara męża i ojca pijaka. Już z równowagi wiary niewieściej wytrącona, wyzuta z resztek nadziei odmiany, wybiegła z domu w porywie miłości macierzyńskiej — zdecydowawszy się przekroczyć z płaczącym na rękę dzieciątkiem plugawy próg nory, co jej zabrała męża i żywiciela dzieci, co jej dom zrujnowała, co jej ukradła szczęście rodzinne, co ją wtrąca w rozpacz. I oto ona, co dla tego sercem wybranego towarzysza miała tyle umiłowania i przywiązania jako dla ojca ich dzieci — teraz, gdy mąż wciągnięty przez podłych kompanów - karciarzy w odmęt bagna życia karczemnego, znalazł sobie lepszą przyjaciółkę w wódce, i wszelkie błagania i prośby na nic się nie zdały, tylko ją w coraz gorsze wtrącają upoko-

zenia — nie może już zdobyć się na nic innego, jak na przekleństwo. Właśnie z tem strasznem słowem rozpaczy wpadła do wnętrza pełnej ludzi szynkowni i stoi wpośrodku z krzykiem rozdzierającym ludzkie serca.

A mąż? Czy jest coś bardziej tragicznego w tej dla pijackiego nałogu charakterystycznej zatwardziałości, jak odpowiedź męża na rozpacz nieszczęsnej kobiety. Wszak jemu wstyd byłoby ulec żonie ze względu na towarzyszy pijatyki, ze względu na spoglądające na awanturę małżeńską pijane ulicznice. Więc udaje, że sobie z jej krzyków nic nie robi.

Ot, baba. Ale on wyższy nad babskie biadanie — ani ruszy się z miejsca, kart i kompanji poniechać nie myśli. Nawet gry nie przerywa. Przeciwnie, jeszcze babie pokaże naumyślnie, że dalej pić będzie. I niby na nią nie zważając, nie słysząc jej słów wcale, kapitalnym gestem triumfującego alkoholizmu, jakby na pokrzepienie wpatrzonej weń hałastry karczemnej — powolutku podnosi do ust wódkę. Oto synteza syzyfowych prac działaczy społecznych w walce z plagą pijaństwa.

Te na płótnie Krzesza dokoła gęby ludzkie albo wcale nie reagujące na krzyk nieszczęsnej ofiary alkoholizmu, albo tylko drwiąco się uśmiechające na jej wyklanianie wódki — toć właśnie wierny obraz zachowania się społeczeństwa wobec coraz głośniejszych, coraz groźniejszych ostrzeżeń akcji ratowniczej. Mało kto uwierzy w orzeczenia nauki o spustoszeniach wywołanych przez alkohol, nikt sobie nic nie robi z ruiny, jaką on szerzy. A tu i ówdzie jeszcze ktoś szydzi z tej klęski, jak owe ciemne figury w mroku podłej nory na płótnie Krzesza.

Ta z podniesioną w niebo ręką, a z dzieckiem na piersi kobieta rozpaczająca wobec nieczułych na głos przekleństwa pijaków — to wcielenie propagandy przeciwalkoholowej.

Przez usta tej biednej żony i matki krzyczy w niebogłosy miljon kobiet we łzach upominających się o swą krzywdę serdeczną:

Precz z szynkiem przeklętym, który wciąga naród na dno nędzy moralnej, a na bruk ulicy wyrzuca tysiące dzieci opuszczonych, rosnących na bandytów i sutenerów, na wyrzutki i zakały społeczeństwa.

Przez jej usta krzyczy sponiewierana godność kobiety, zamęczanej przez budzącego odrazę pijaka, obdarzanej przezeń dziećmi kretynami, na których utrzymanie i wychowanie sam nie zarobi. Przez jej usta krzyczy ta bezdenna krzywda, że niema dlań większej hańby i tragedji nad to, że jest żoną pijaka. Krzyczą te jej zsinia-czone plecy, te podbite oczy, te skopane piersi, co karmić mają jego dzieci.

I krzyczy burzący się w niej wstręt na myśl o ohydzie moralnego brudu, o jaki musiał na nocnych wertepach ocierać się mąż wracający nad ranem po pijanemu i zarażający potem przyszłe jej potomstwo jadem chorób nieuleczalnych.

A tyle jest bólu bezmiernego w krzyku tej w miliony idącej ofiary alkoholizmu, że gdyby kiedy jakiś wszech-możny sędzia ludzki mógł o jego dalszem istnieniu w świecie zawyrokować, to napewne ogrom krzywdy, jaką kobiecie i jej dzieciom wyrządził alkohol, wystarczyłby do zdecydowania, by jednym wyrazem prawa znieść raz na zawsze przeklęty szynk z powierzchni ziemi — i tym jed-nym wyrokiem mądrym i wysoce humanitarnym wydzwignąć z upadku moralność człowieka.

Doświadczenia prohibicyjne ostatnich lat po świecie przekonały moralistów i prawodawców, że na nic nie przyda się choćby najsurowszy zakaz picia, jeżeli wpi-erw gruntu nie przygotowujemy przez należyte uświadomienie

już od dziecka począwszy, dlaczego pić nie należy. Dopóki samo społeczeństwo, i to cały jego ogół, nie dojrzeje do tego momentu jasnowidzenia, że trzeba bezwzględnie zmorę w postaci karczmy wyprzeć z wszystkich dziedzin życia prywatnego i publicznego, dopóty patrioci nasi ani marzyć nie mogą o Polsce naprawdę odrodzonej. A na cóż byłoby nam wskreszenie Ojczyzny polityczne, gdyby się naród nie odrodził. Tymczasem jaką młodzież mieć będzie Polska, taką przyszłość narodu i państwa, przede wszystkim właśnie państwa.

Burząc do gruntu karczmę dnia dzisiejszego, kładziemy zdrowe podwaliny pod Boży dom słonecznego Jutra. Ono nie może być brudem Nocy ciemności splugawione tak, jak nasza chwila dziejowa, atmosferą kryminalną zapowietrzona. Alkoholizm zaś z całą plejadą narkotyków cywilizacji nowoczesnej do tego stopnia zdeprawował duszę społeczeństwa, że świat — niby ów mędrzec starożytności — z latarnią musiałby szukać człowieka, gdyby sam na chwilę otrzeźwiał z zamroczenia narkotycznego. Boć człowiek w głębokiem tego słowa znaczeniu, to istota świadoma swojej działalności. A z chwilą, gdy społeczność kulturalna dzisiejszego świata cywilizowanego wzięła rozbrat z trzeźwością, jakże można wśród niej domagać się poczucia odpowiedzialności za czyny człowieka; jak nawet można wymagać zdawania sobie przez niego sprawy z myśli i uczuć, skoro w następstwie samozatrucia i jednocześnie obarczenia dziedzicznego, zwyrodniały w nim instynkty, woła osłabła, charakter zmarniał, znikczemniał.

Otóż propaganda trzeźwości na podłożu uświadczenia zapomocą kursów alkoholologii, to walka o człowieka, to nieodzowny fundament pod szkołę charakterów, z której wyjść musi przyszłość narodu. Bardziej niż inne

społeczeństwa, potrzebuje dziś tej szkoły Polska dlatego, że nad złamaniem w nas mocy charakteru tak usilnie pracował wiek potrójnej niewoli. Toteż oddawna szlachetni działacze patriotyczni zdawali sobie u nas dobrze sprawę z tego, że wychowanie w Polsce musi być szkołą charakterów, a zatem walką przeciwko karczmie. Nasza akcja przeciwalkoholowa, na której czele stoi Towarzystwo »Trzeźwość« ze swą centralą warszawską, oraz grupa organizacyj katolickich scentralizowanych w Poznaniu, na to jest, by działacze ideowi z przekonaniem poszli burzyć w gruzy aż do fundamentów karczmę dzisiejszego życia, by na jej miejsce powstać mogła szkoła czystości myśli i uczuć; akademja siły woli i niezłomności charakteru; świątynia służby obywatelskiej dla szczęścia Rzeczypospolitej, a przez Polskę dla dobra ludzkości, dążącej wszak po kataklizmie przeklinanej wojny do błogosławionego pokoju Bożego ludzi dobrej woli... Czemże, jeżeli nie najcięższą chorobą woli jest epidemia psychopatji w następstwie masowej narkomanji?

Na teatrze wieków, tam gdzie się rozgrywają dzieje świata, napewne w kulisach stoi na nikczemnej straży demon alkoholizmu, by nie dopuścić do stałej dobrej woli między ludźmi i narodami; tej dobrej woli, która ma w wyrokach Pańskich zapewnić nam trwałą pokój na ziemi... Jeżeli na tem zależy nam szczerze, to w imię etyki i kultury zwalczajmy z wszystkich sił owego demona alkoholizmu, zanim w swoim złowrogim interesie on w nas złamie wolę zmagania się z jego mocą.



Książka niniejsza, wydana z zasiłku Ministerstwa Opieki Społecznej przez Oddział Krakowski Polskiego Towarzystwa Walki z Alkoholizmem »Trzeźwość«, zawiera odczyty literacko-publicystyczne prezesa zarządu głównego tegoż Towarzystwa, włączone do programu Wykładów Powszechnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, a wygłoszone pierwotnie w Państwowej Szkole Higieny w Warszawie na Kursach Alkoholologii i na ogólnopolskich Kongresach Przeciwalkoholowych w Krakowie i Wilnie.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.

Copyright by Kazimierz Kalinowski — Kraków — Poland.

Druk ukończono w styczniu 1936.

T R E Ś Ć.

W walce o człowieka	3
W ślepym zaułku	20
Krzyk nagiej duszy	36
Polskie być albo nie być	54
Truciciel ducha	68
Dziedzictwo pierworodnych	77
Narodziny nałogu	82
Świat chorych dusz a radość życia	95
Film pijanej poczekalni	111
W wyścigu pracy	127
Idea odrodzenia	144
Na stanowisku	149
Zwycięstwo kobiety	153
Mózg olbrzymiego organizmu	160
Pacjent abstynent	165
Czem się pochlubimy wobec gości?	171
Przekleństwo życia	181

KAZIMIERZA KALINOWSKIEGO

niektóre utwory i prace wydane oddzielnie:

- U WRÓT AZJI. Co widziałem nad Uralem. — Warszawa. Dom Książki Polskiej. 1934.
- WIARA W CZŁOWIECZEŃSTWO. Na marginesie Szkiców Adama Szymańskiego. — Warszawa. Dom Książki Polskiej. 1933.
- KAZIMIERZ STABROWSKI. Sylwetka malarza - poety. — Poznań. Księgarnia Uniwersytecka. 1927.
- PIEŚŃ UKOJENIA. Poezje liryczne. — Poznań. Księgarnia Uniwersytecka. 1927.
- GWIAZD ZAWIERUCHA. Poematy. — Poznań. Księgarnia Uniwersytecka. 1927.
- HUFIEC PIERWODĄCYCH. Powieść. — Poznań. Wyd. »Żołnierz Wielkopolski«. 1926.
- Z OPARÓW KRWI. Powieść o wojnie. — Warszawa. Wyd. W. D. Wilkoszewskiego. 1922.
- PIEŚNI SKAUTÓW. Śpiewy i deklamacje dla harcerzy. Z muzyką F. Starczewskiego. — Warszawa Księgarnia M. Arcta. 1916.
- ZŁOTE KRÓLIKI. — Warszawa. Księgarnia M. Arcta. 1914.
- W NOC PRZEDŚLUBNĄ. Powieść. — Kijów. Księgarnia L. Idzikowskiego. 1912.
- SOMOSIERRA. — Warszawa. Wyd. T. Nasierowskiego. 1908.
- O MICKIEWICZU. — Warszawa. Księgarnia M. Arcta. 1904.
- O KSZTAŁCENIU CHARAKTERU. — Warszawa. Księg. M. Arcta. 1902.
- INNY ŚWIAT. Baśnie fantastyczne. — Warszawa. Księgarnia Spółki Wydawniczej. 1901.
- LEGENDY. — Warszawa. Księgarnia Spółki Wydawniczej. 1901.
- ZA SIĘDMIU GÓRAMI. Baśnie. — Warszawa. Księg. M. Arcta. 1900.
- ULUBIENIEC KOBIET. Powieść, 2 tomy — Warszawa. Biblioteka Nowości. 1900.
- O JEZUSOWEJ MATCE LEGENDY. — Lwów. Wyd. »Słowa Polskiego«. 1898.

Wydawnictwa Towarzystwa »TRZEŻWOŚĆ«,

Warszawa, Rynek Starego Miasta L. 38.

- TRZEŻWOŚĆ JAKO IDEA ODRODZENIA. — Warszawa. 1935.
- W WYŚCIGU PRACY. — Warszawa. 1935.
- CZEM SĄ KURSY w społecznej akcji przeciwalkoholowej. — Warszawa. 1934.
- ZNACZENIE ZAGADNIENIA ALKOHOLIZMU. — Warszawa. 1933.
- DROGOWSKAZY. — Warszawa. 1929.
- KARCZMA DZISIEJSZEGO ŻYCIA. — Warszawa. 1929.

✱KSIĘGARNIA✱

ANTYKWARIAT



395845 F

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

**Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu**

CM 313725



000-313725-00-0